OBŁĘD NARODÓW
Dlaczego nigdy nie dogadamy się z Izraelem

OPOZYCJA W WATYKANIE
Kim jest kardynał Müller, który krytykuje Franciszka

GABRIELA MUSKAŁA
Pamięć, wspomnienia i odjazd po muchomorach

ERA JUMBO JETA
Najsłynniejszy samolot świata lata już pół wieku

Kraków 3 marca 2019 nr 9 (3634) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Gdyby Polska była normalnym krajem

Mamy wyniki badań

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

eko-tourist
od 1989 roku

POLSKA – EUROPA – ŚWIAT

JUŻ OD 30 LAT ORGANIZUJEMY NIEBANALNE WYCIECZKI!

NOWOŚĆ W NASZEJ OFERCIE: **16-DNIOWA WYPRAWA**

CHINY

HISTORIA I WSPÓŁCZESNOŚĆ

08–23 IX 2019

- wyjątkowo bogaty i ciekawy autorski program
- słynne atrakcje z listy światowego dziedzictwa UNESCO (WHS)
- 3 tys. km niezwykłych doznań i wrażeń w kameralnej grupie
- opieka polskiej, mówiącej po chińsku pilotki

CENA: 5500 zł + koszt biletu lotniczego Lufthansa (ok. 2700 zł)

Szczegółowy program:

eko-tourist.krakow.pl

Zabytki Pekinu, Wielki Mur, grobowce dynastii Ming, Datong, Jaskinie Yungang, masyw Wutai Shan, zabytkowe Pingyao, wodospad Hukou na Żółtej Rzece, stara stolica Xi'an, Muzeum Terakotowej Armii, Groty Longmen, klasztor Shaolin, Qufu – miasto Konfucjusza, święta góra Taishan i inne atrakcje...

ORGANIZUJEMY:
- wycieczki objazdowe
- wycieczki tematyczne
- wyprawy egzotyczne
- rajdy konne
- wyjazdy narciarskie
- wycieczki szkolne

OFERUJEMY:
- atrakcyjne programy wycieczek
- profesjonalną organizację
- sprawdzoną i kompetentną kadrę pilotów oraz licencjonowanych przewodników
- nasze 30-letnie doświadczenie w organizowaniu imprez wyjazdowych

REALIZUJEMY:

imprezy na zamówienie
- firm
- szkół, uczelni
- stowarzyszeń, klubów
- a także grup koleżeńskich i rodzin

EKO-TOURIST sp. z o.o.

ul. Radziwiłłowska 21/4, 31-026 Kraków
+48 12 422 88 63, +48 12 422 70 03
biuro@eko-tourist.krakow.pl
/EkoTourist

Wpis do Rejestru Organizatorów Turystyki i Pośredników Turystycznych nr D/80/2000/155/2004 oraz Gwarancja Ubezpieczeniowa dla Touroperatorów Towarzystwa Ubezpieczeniowego Signal Iduna.

KS. ADAM

Boniecki: *Nasz potoczny dyskurs o Kościele*

Autorzy książki „Doktryna Polaków" chcieli ustalić, jaki jest stan politycznej świadomości obywateli w sprawach ogólniejszych niż doraźne. Rezultatem współpracy specjalistów w zakresie klasycznej filozofii politycznej i współczesnej empirycznej socjologii jest opis „klasycznej filozofii politycznej w dyskursie potocznym Polaków" (to podtytuł książki; rozmowa z jednym z jej autorów, prof. Krzysztofem Zagórskim, w Temacie Tygodnika).

Na mapę klasycznych doktryn politycznych autorzy nałożyli wyniki empirycznych badań. Najpierw więc pokazali szeroką paletę tych doktryn: od Arystotelesa, Platona, św. Augustyna i św. Tomasza, przez Machiavellego, Hobbesa, Hume'a, Burke'a, de Maistre'a, Marksa, Proudhona, Bakunina, Kropotkina, Leona XIII, po Rothbarda i Buchanana. Ujęli ich poglądy w pięć istotnych kategorii: człowiek, społeczeństwo, własność, władza i państwo, a następnie z ankiet wydobyli to, co pozwoliło zidentyfikować poglądy Polaków na naturę wymienionych wyżej kategorii zjawisk. W konfrontacji tych poglądów z istniejącymi systemami filozofii politycznej zrekonstruowali obraz filozofii politycznej Polaków „w dyskursie potocznym".

Okazało się, że „doktryna polityczna Polaków" daleka jest od jednorodności i zideologizowania, oraz że stanowi ona „mozaikę ideową dominujących współcześnie nurtów politycznego myślenia". Rekonstrukcja owej „doktryny politycznej w dyskursie potocznym" pozwala na identyfikację politycznych postaw Polaków, ich ocen politycznej rzeczywistości, ich dążeń oraz oczekiwań.

Przy lekturze tej książki towarzyszyło mi pytanie, co przyniosłyby podobne badania przeprowadzone wśród polskich członków Kościoła katolickiego. Czym on jest w „potocznym dyskursie Polaków"? *Ecclesia quid dicis de Te ipsa?* Kościele, co mówisz sam o sobie? Definicji, którymi w ciągu wieków Kościół siebie określał, jest wiele, co wskazuje na ewolucję jego samoświadomości. Samoświadomość pierwszych wieków, taka, jak ją opisał autor Listu do Diogneta (schyłek wieku II), różniła się od tej z późniejszych epok. Historycy eklezjologii uznają, że Sobór Watykański II był w tym procesie wydarzeniem przełomowym. Znamienne, że Polski Synod Plenarny, którego idea powstała w 1987 r., wyznaczył sobie jako programowy cel pracę nad wzmocnieniem, a tam, gdzie jest to konieczne, nad przywróceniem samoświadomości eklezjalnej wiernych Kościoła w Polsce, wychodząc z założenia, że ta świadomość jest albo bardzo słaba, albo nawet w zaniku.

Co dziś ma na myśli 32 919 805 (według Małego Rocznika Statystycznego Polski 2018) polskich katolików, mówiąc „Kościół"? Wprawdzie ci, co raz w tygodniu chodzą na Mszę św., wyznają wiarę w „jeden, święty, powszechny i apostolski Kościół", ale czy rzeczywiście ich rozumienie Kościoła (będącego, jak widać, przedmiotem wiary) pokrywa się czy choćby spotyka z tym, co o sobie mówił Kościół na Soborze Watykańskim II?

Choć mówimy „Wierzę w jeden, święty...", to czy Kościół w naszej świadomości nie jawi się nade wszystko – jeśli nie jedynie – jako wielka, bardzo ziemska instytucja? Nie jak w listach św. Ignacego z Antiochii (przełom I i II wieku), w których wszystkie przejawy Kościoła są jakby sakramentami, ziemskimi przejawami tego, co ostateczną prawdę posiada w niebie, a widzialna organizacja Kościoła odtwarza uporządkowanie Kościoła niebiańskiego. Cóż, Kościół z czasem oddala się od swych początków, rozszerza na coraz więcej miejsc i z konieczności wykształca instytucje bardziej stabilne. Zmierza ku formie, którą o. Congar nazwie „episkopatem monarchicznym". Nie miejsce tu na analizowanie przyczyn przerostu w Kościele ról funkcjonalnych nad charyzmatycznymi. Kiedyś mówiło się, że Kościół ubogiego Chrystusa w kolejnych epokach obrastał w dekor z tego świata jak strój kardynalski.

Po Soborze strój kardynalski zdecydowanie uproszczono. Kościół też, ale chyba jeszcze nie na tyle, żeby nie stwarzał problemów w „potocznym dyskursie" o Kościele. ©℗

TP

„Tygodnik" znów na szczycie

„Tygodnik Powszechny" jedynym tygodnikiem opinii w Polsce, którego sprzedaż w 2018 r. wzrosła – wynika z danych ZKDP, zaprezentowanych przez Press.pl. Spośród ogólnopolskich tygodników opinii tylko „Tygodnik Powszechny" poprawił sprzedaż w 2018 roku w porównaniu z 2017 rokiem.

Średnia sprzedaż ogółem „Tygodnika Powszechnego" w 2018 roku wzrosła o 13,4 proc. – podaje portal Press.pl.
To już szósty rok z rzędu:

- 2013 – największy wzrost sprzedaży wśród tygodników opinii
- 2014 – jedyny tygodnik ze wzrostem sprzedaży
- 2015 – największy wzrost sprzedaży
- 2016 – jedyny ze wzrostem
- 2017 – jedyny ze wzrostem
- 2018 – jedyny ze wzrostem

Dziękujemy, a nowe Czytelniczki i nowych Czytelników gorąco witamy: rozgośćcie się!

REDAKCJA

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

22 Polska-Izrael: wyjście z obłędu
DARIUSZ ROSIAK
W sprawach przeszłości wojennej nie dogadamy się z Izraelczykami, zanim nie dogadamy się sami ze sobą, czyli być może nigdy.

32 Kuracjuszki
DOROTA BORODAJ
Dawne opozycjonistki internowane w Gołdapi i młode aktywistki: czy jedne mogą nauczyć drugie strategii oporu przeciw rzeczywistości?

36 Miłosierdzie go nie przekonuje
KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI
Zarzuca Franciszkowi, że kieruje Kościołem podług reguły jezuitów. Kim jest kard. Gerhard Müller, który wyrasta na ikonę opozycji wobec papieża?

46 Wyspa frustracji
JAKUB MEJER Z GRECKIEGO ARCHIPELAGU NA MORZU EGEJSKIM
Uchodźców na Lesbos przybywa mniej niż kiedyś, ale zostają tu na dłużej.

78 Złote gody słonia
MARCIN ŻYŁA
Jumbo jet, ikona lotnictwa, lata już pół wieku. To jedność techniki, człowieka i wspomnień.

64 Po muchomorach
ROZMOWA Z GABRIELĄ MUSKAŁĄ, AKTORKĄ:
Babcia dzień i noc chodziła po mieszkaniu i pomstowała. Kiedyś powiedziałam: „Babciu, błagam cię, za chwilę zdaję maturę, nie mogę się uczyć". Na co babcia: „Muszę mówić! Gdybym nie mówiła, tobym się udusiła!".

BEATA ZAWRZEL / REPORTER // ALICJA SZULC / TEATR POWSZECHNY // CHARLIE YAXLEY / UNHCR / ONZ // JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA GAZETA // KRZYSZTOF TADEJ / FOTONOVA // GETTY IMAGES

6 Szczyt ostatniej szansy
EDWARD AUGUSTYN

6-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Polska-Izrael: wyjście z obłędu
DARIUSZ ROSIAK

26 Tajne państwo z kartonu
MARCIN MATCZAK: *Prezes Kaczyński zapragnął władzy ukrytej*

29 W imię oglądalności
ANNA GOLUS: *Czy bohaterowie reality show wiedzą, w czym naprawdę biorą udział?*

REPORTAŻ

32 Kuracjuszki DOROTA BORODAJ

WIARA

36 Miłosierdzie go nie przekonuje
KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

40 Więzień historii
ROZMOWA Z O. JÓZEFEM PUCIŁOWSKIM OP, HISTORYKIEM: *Kardynał Mindszenty był odważny i jednocześnie politycznie naiwny*

42 Laickość po francusku
ANDRZEJ STANISŁAW CHANKOWSKI

ŚWIAT

46 Wyspa frustracji
JAKUB MEJER

50 W cieniu Rosji i populistów
DOMINIK WILCZEWSKI: *Jaki polityczny kurs obierze Estonia*

TEMAT TYGODNIKA

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

12 Gdyby to był normalny kraj
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Czy Polska porzuciła normalność, zmierza do niej, czy też wreszcie ją odnalazła? Jaka jest ta nasza polska normalna ziemia obiecana?

16 Poszukiwacze sprzeczności
Z PROF. KRZYSZTOFEM ZAGÓRSKIM, SOCJOLOGIEM, ROZMAWIA RAFAŁ WOŚ:
Doktryny politycznej Polaków nie da się wpisać w spójną tabelkę. Zawsze coś tu się nie będzie zgadzało. I to nas łączy.

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **45** SZYMON HOŁOWNIA **63** ANDRZEJ STASIUK **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ZYGMUNT JANUSZEWSKI
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

52 Przymiarki do ideału
PIOTR TARCZYŃSKI: *W partii Demokratów walka o nominację partyjną do wyborów prezydenckich już ruszyła*

55 Narzeczona dżihadu
PATRYCJA BUKALSKA: *Shamima Begum chce wrócić do kraju*

HISTORIA

56 Życie i sprawy Stefana Michnika
PIOTR LITKA: *Kim jest człowiek, którego ekstradycji Polska żąda dziś od Szwecji?*

NAUKA

60 Kosmiczna choroba
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *W stanie nieważkości czyha mnóstwo zdrowotnych zagrożeń*

KULTURA

64 Po muchomorach ROZMOWA Z GABRIELĄ MUSKAŁĄ, AKTORKĄ

68 Budowniczy
MARCIN WICHA: *Józef Sigalin był świetnym architektem, dla którego władza stała się narzędziem*

72 Śpiący rycerze
ANITA PIOTROWSKA: *Oscary 2019*

74 Niebieski plasterek
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Córka trenera”*

76 Kręgi zła
LEKTOR *o książce „M jak morderca. Karol Kot – wampir z Krakowa”*

ZMYSŁY

78 Złote gody słonia
MARCIN ŻYŁA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Robert Mugabe, były przywódca Zimbabwe, który doprowadził kraj do ruiny, spędził swoje 95. urodziny samotnie i w ciszy – **WOJCIECH JAGIELSKI** *wyjaśnia, dlaczego mieszkańcy Zimbabwe wzdychają za poprzednim prezydentem* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Lamża czyta Naturę
Jak wykorzystać ogrom danych klimatycznych? Czy badanie kory ruchowej myszek może nam mówić coś o nas samych? – *na pytania odpowiada* **ŁUKASZ LAMŻA** *w programie popularnonaukowym Centrum Kopernika* **powszech.net/czytamynature**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

SZCZYT OSTATNIEJ SZANSY

Efekty watykańskiego spotkania na temat pedofilii w Kościele nie zadowalają wielu, ale wcale nie są małe. Żaden biskup nie może już twierdzić, że to nie jego problem.

EDWARD AUGUSTYN

Ofiary seksualnej przemocy księży i członkowie organizacji Ending Clergy Abuse (ECA) na „Marszu po zero tolerancji". Rzym, 23 lutego 2019 r.

ANTONIO MASIELLO / GETTY IMAGES

Oczekiwania były mocno rozbudzone. Trzydniowy zjazd w Watykanie wszystkich przewodniczących episkopatów Kościoła katolickiego, którzy wraz z papieżem dyskutowali o seksualnym wykorzystywaniu dzieci i ich ochronie w przyszłości, zakończył się niedzielną mszą, przemówieniem Franciszka i... poczuciem rozczarowania. Czy słusznie?

Papież umie zaskoczyć, spodziewano się więc kto wie jakiej sensacji. Może grupowej dymisji kolejnego episkopatu, może obciążenia winą konkretnych biskupów, kardynałów, papieży... Środowiska zrzeszające ofiary księżej pedofilii demonstrowały na placu św. Piotra przeciw zatajaniu przestępstw. Przedstawiciele fundacji Nie Lękajcie Się przekazali papieżowi swój raport o pedofilii w Polsce. Świat obiegła fotografia Franciszka całującego w rękę Marka Lisińskiego, prezesa tej fundacji, w dzieciństwie wykorzystanego seksualnie przez księdza. Media lubią statystyki: do tysięcy ujawnionych przypadków pedofilii dodano 384 przestępstwa w polskim Kościele i nazwiska 24 biskupów, podane w tym raporcie, którzy mieliby je tuszować. W wyjaśnienia i sprostowania i tak nikt nie uwierzy.

Katolicy konserwatywni też wiązali ze szczytem własne nadzieje. Ich przywódcy – kardynałowie Brandmüller i Burke, znani z wcześniejszych oskarżeń Franciszka o odstępstwa od doktryny – opublikowali list otwarty do uczestników szczytu. Protestowali przeciw łączeniu przestępstw seksualnych z klerykalizmem, gdyż – ich zdaniem – przyczyną pedofilii jest

homoseksualizm, „źródło wszystkich plag w Kościele”.

Jedni i drudzy mogą czuć się rozczarowani. Próby wprowadzenia do dyskusji wątku homoseksualnego skutecznie blokował abp Scicluna (sekretarz Kongregacji Nauki Wiary i jeden z organizatorów szczytu): „Za pedofilię odpowiada grzech pożądliwości. Osoby o homoseksualnej orientacji nie są na niego bardziej podatne niż heteroseksualne”. A spotkanie miało przebiec tak, jak zostało zaplanowane: na słuchaniu świadectw ofiar, konferencji i modlitwie. Narzucone zostały nie tylko tematy wystąpień ekspertów, ale i punkty do dyskusji w grupach. Nie podjęto żadnych decyzji. Zresztą szczyt nie miał do nich prawa – leżą w gestii papieża lub prefekta Kongregacji Nauki Wiary. *Motu proprio* – papieski dokument zmieniający prawo w kwestii nadużyć seksualnych – było gotowe już przed spotkaniem. Na dniach zostanie ogłoszone.

Efekty szczytu nie zadowalają żądnej krwi opinii publicznej, ale – przyznajmy – nie są wcale małe. Biskupi wracający do swych krajów nie będą już udawać, że to nie ich problem. Mają świadomość, że nie tylko pedofilskie czyny są przestępstwem, ale także próby ich tuszowania. Wiedzą, że procedury postępowań muszą być przejrzyste, i że trzeba zdać z nich sprawę nie tylko przed władzą zwierzchnią, ale i wspólnotą. A nadużycia wobec dzieci, owszem, występują też gdzie indziej – w rodzinie, instytucjach świeckich, przemyśle pornograficznym czy seksturystyce – ale nie zmniejsza to, jak mówił papież, „monstrualności przestępstw popełnianych przez ludzi Kościoła”.

Teraz komitet organizacyjny przekształca się w grupę roboczą, która wdroży konkretne pomysły Franciszka. Będzie to *vademecum* dla biskupów, wyjaśniające krok po kroku, jak postępować wobec oskarżeń o pedofilię. Zaraz potem – specjalne grupy do pomocy episkopatom nieradzącym sobie z problemem, zapowiadane przez abp. Sciclunę w wywiadzie na naszych łamach [„TP” nr 8/2019 – red.]. I dalsza, mozolna reforma instytucji.

Czas najwyższy. Zwłaszcza że za drzwiami czekają kolejne skandale, do których warto byłoby znacznie lepiej się przygotować. ©℗

Relacje z kolejnych dni szczytu na stronie:
powszech.net/szczyt-pedofilia

Rzecznik woła na puszczy

MICHAŁ OKOŃSKI

Wpis Ziemkiewicza, tweet Biedronia, dowcip Kukiza, kaskady żartów Pawłowicz, retoryczny popis Sikorskiego – nie trzeba się nurzać w najmroczniejszych zakątkach internetu, by dojść do przekonania, że mowa nienawiści nie ma politycznych barw, a minister czy redaktor potrafią posługiwać się złym słowem równie łatwo jak bardziej stereotypowy hejter. „Dla wielu godność drugiego człowieka nie stanowi już oczywistej granicy swobody wypowiedzi” – zauważa w liście do premiera Rzecznik Praw Obywatelskich, przedstawiając 20 rekomendacji dotyczących walki z mową nienawiści.

Dziś przestępstwem z mowy nienawiści jest zachowanie, którego tłem jest czyjaś przynależność narodowa, etniczna, rasowa czy religijna – zwraca uwagę Adam Bodnar. Polskie prawo nie bierze więc pod uwagę hejtu czy pobicia ze względu na orientację seksualną, tożsamość płciową, niepełnosprawność czy wiek. Ale oprócz rozszerzenia definicji RPO proponuje też np. uwrażliwienie administratorów portali na kwestie moderowania, filtrowania i usuwania komentarzy, które mogą stanowić mowę nienawiści, wprowadzenie formularzy umożliwiających zgłaszanie online bezprawnych treści i – co niebagatelne w świecie fake newsów – doprecyzowanie pojęcia wiarygodnej wiadomości. Bodnar pamięta o szkoleniach dla nauczycieli, policjantów, prokuratorów i sędziów.

„Rekomendacje przekazuję panu premierowi z prośbą o merytoryczną analizę oraz, na co szczególnie liczę, o przedstawienie stanowiska w poruszonych kwestiach” – napisał Bodnar w liście do Morawieckiego. „A jeśli u was jeden drugiego kąsa i pożera, baczcie, byście się wzajemnie nie zjedli” – napisał Paweł w Liście do Galatów. ©℗

Pomniki niech obala władza

TO PRÓBA DOROSŁOŚCI różnych stron sporu. Bez minimum wzajemnego zaufania postać ks. Jankowskiego będzie znów dzielić i stanie się powodem zgorszenia (co udawało mu się za życia, a teraz też po śmierci).

Ludzie, którzy obalili jego pomnik, wyłożyli swe racje w manifeście, powołując się na Konstytucję, Deklarację Praw Człowieka i Kartę Praw UE. Nawet i bez tego uzasadnienia ich motywy są łatwe do pojęcia: od kiedy do powszechnej świadomości trafiły mocno ugruntowane zarzuty pedofilskie wobec prałata z parafii św. Brygidy, obecność pomnika była nie tylko hołdem dla jego legendarnej megalomanii, lecz budziła podstawowy odruch buntu przeciw niesprawiedliwości. Tym bardziej że nie było widać, aby gdański Kościół zamierzał zaapelować o jego usunięcie do „właścicieli” (to zresztą dziwna sytuacja: pomnik jako własność prywatna, choć na publicznym gruncie). Gdański magistrat zapewnia, że chciał zająć się sprawą, lecz wszystko uległo spowolnieniu po zabójstwie Pawła Adamowicza.

Jednak, nawet jeśli pogrążeni w żałobie, włodarze miasta zaniedbali jasną komunikację co do swych zamiarów. A przecież to

BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA GAZETA

od władzy publicznej (tak centralnej, jak lokalnej) mamy prawo oczekiwać, że będzie dbać o elementarne poczucie sprawiedliwości w sferze symbolicznej. Dlatego wyręczanie jej – zamiast ponaglania w sposób jasny, lecz nietworzący faktów dokonanych – to zły pomysł. Akcja budzi reakcję, pomnik znów postawiono, a jego „właściciele” mają wszelkie prawo czuć, że powinni zająć się jego obroną, choćby siłą (na zdjęciu: przed odbudowanym pomnikiem, 24 lutego).

Postać ks. Jankowskiego „straciła cechy nieskazitelności” – głosi projekt uchwały rady miasta Gdańska i ten upadek nie podlega dyskusji. Ale w Polsce stoi dużo innych pomników, które budzą kontrowersje – usuwanie ich przez ludzi pewnych swego oburzenia zwiększyłoby tylko potencjał gwałtu i głuchoty na racje w życiu publicznym. ©℗ PAWEŁ BRAVO

Kaczyński otworzył sakiewkę

OBÓZ WŁADZY właśnie rozpoczyna największą operację kupowania głosów w historii III RP.

Od dawna łatwo było przewidzieć, w jaki sposób PiS będzie się chciało utrzymać przy władzy – widowiskowe zatrzymania przez specsłużby bardziej czy mniej podejrzanych przedstawicieli opozycji, a do tego sypanie pieniędzmi na prawo i lewo. Zatrzymania trwają od kilku tygodni, a teraz przyszedł czas na sowite benefity.

Podczas konwencji wyborczej PiS Jarosław Kaczyński zapowiedział: wypłatę 500 zł na pierwsze dziecko od lipca, w maju tego roku – a to miesiąc wyborów europejskich – jednorazowa „trzynastka" dla emerytów, zwolnienie od podatku PIT do 26. roku życia, przywrócenie zredukowanych połączeń autobusowych oraz obniżenie kosztów pracy.

Opozycja znalazła się w defensywie. Starając się o to, by wyborcy zapomnieli, iż sprzeciwiała się kiedyś 500 plus, sama przecież atakowała PiS za to, że nie płaci na jedynaków. To także ta liberalna, niechętna socjalnym ekscesom opozycja rzuciła już w 2017 r. hasło „trzynastki" dla emerytów, i to na stałe, a nie tylko w roku wyborczym. W tym sensie zagranie PiS jest z jednej strony logiczne, z drugiej dewastujące dla rodzącej się w bólach koalicji wyborczej pod wodzą Platformy. Szanse na pozyskanie elektoratu socjalnego drastycznie maleją.

Jeśli cokolwiek w sprawie działań PiS dziwi, to po pierwsze moment. Wszak do kluczowych wyborów na jesieni jeszcze dobre pół roku, a to może zdezaktualizować zbyt wczesne zatrzymania i zawczasu wypłacone rodzicielskie premie. A po wtóre dziwi to, że przywilej otwarcia sakiewki Jarosław Kaczyński zarezerwował dla siebie. Rok temu, gdy trzeba było uwiarygodnić związanego z PO bankowca jako premiera, PiS zestaw projektów społeczno-gospodarczych rządu ochrzcił „piątką Morawieckiego". Dziś mówi o „piątce Kaczyńskiego".

Wytłumaczenie zarówno przyspieszenia przedwyborczych operacji jak i propagandowego ogłoszenia ich politycznego ojcostwa jest proste. Kaczyński próbuje poprawić swój wizerunek ascetycznego ojca narodu, mocno nadszarpnięty po nagraniach z twardych biznesowych negocjacji dotyczących budowy wieżowca.

Dlatego też PiS smaruje pieniądze szeroko, kalkulując swe polityczne korzyści, nie zaś realne potrzeby państwa. Koszt nowych obietnic to około 40 mld rocznie, czyli 10 proc. wydatków budżetu. Za te środki udałoby się poprawić sytuację w służbie zdrowia i edukacji. Tyle że nie byłoby z tego aż tylu głosów. No i Kaczyński nie mógłby tak szybko i łatwo powrócić do roli ojca narodu.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

KRAJ W SKRÓCIE

PRZEKAZY DNIA. TVN 24 ujawniła serię tzw. przekazów dnia, dostarczanych przez PiS swoim posłom przed kontaktem z dziennikarzami. „Jeżeli przedstawiciele obecnej opozycji mieliby do wyboru np. te zagraniczne tramwaje, a my polskie tramwaje, to my wybierzemy zawsze polskie tramwaje" – głosi fragment naszego ulubionego.

PRZEKAZY PREMIERA. Równie pięknie ostatnie załamanie relacji polsko-izraelskich oraz udział Czech, Słowacji i Węgier w telawiwskim spotkaniu pod nieobecność Polski wytłumaczył premier Morawiecki. Oto „ta sytuacja, jeśli chodzi o relacje polsko-izraelskie, idzie w kierunku pewnej stabilizacji", a „Grupa Wyszehradzka działa razem i jest bardzo solidarna".

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

PRZEKAZY MIESZKA. Sejm ustanowił 14 kwietnia państwowym Świętem Chrztu Polski. Poprawka opozycji, zakładająca przesunięcie terminu święta na 15 kwietnia (14 kwietnia 1934 r. powstał skrajnie prawicowy ONR), została odrzucona. Data chrztu pierwszego władcy Polan nie jest znana (na zdj. plakat z obchodów 1050. rocznicy).

LICZBA TYGODNIA

44,5 kg

Tyle cukru spożywa rocznie statystyczny Polak. Rzadziej używa go w kuchni (11,2 kg), ale w napojach czy słodyczach aż 33,3 kg. Trzech na pięciu dorosłych Polaków ma nadwagę.

USA: coraz bliżej finału Russiagate

JAN SMOLEŃSKI

Amerykańskie media spekulują, że w najbliższych dniach specjalny prokurator Robert Mueller ma zakończyć śledztwo w sprawie Russiagate – rosyjskiej ingerencji w amerykańskie wybory w 2016 r. i ewentualnych powiązań między obozem Trumpa a Rosjanami.

Ostatnim z 37 oskarżonych w śledztwie jest bliski współpracownik Trumpa Roger Stone, który okłamał Kongres na temat swej wiedzy o zhakowaniu serwerów Partii Demokratycznej i upublicznieniu ich zawartości na portalu WikiLeaks. Na lata za kratki może trafić Paul Manafort, były szef sztabu wyborczego prezydenta, który w czasie kampanii konsultował się z Rosjanami. Manafort najpierw poszedł na współpracę z FBI, a potem złamał warunki tej umowy.

Najwięcej emocji budzi pytanie, czy zarzuty usłyszy jeszcze ktoś z najbliższego otoczenia prezydenta lub on sam. Jeśli się nie pojawią, to Biały Dom i sojusznicy prezydenta będą starali się przedstawić to jako oczyszczenie Trumpa z podejrzeń. Ale nie oznacza to, że będzie mógł on odetchnąć: nawet jeśli nie złamał prawa, może zostać w raporcie obciążony odpowiedzialnością za zmowę z Rosją. Na takie szokujące wyniki śledztwa od początku liczyli Demokraci, ale teraz ta nadzieja zdaje się słabnąć. Demokratyczni kandydaci na prezydenta skupiają się dziś bardziej na konkretnych propozycjach niż na licytowaniu się na antytrumpizm.

O tym, jakie części poufnego raportu Muellera zostaną upublicznione, zdecyduje szef departamentu sprawiedliwości William Barr. Zapewne Trump będzie na niego naciskał, by światło dzienne ujrzały fragmenty wybielające go. Z kolei Demokraci będą się starali wykorzystać nowo zdobytą przewagę w niższej izbie Kongresu: zapowiedzieli już, że jeśli raport nie zostanie ujawniony, wezwą na przesłuchanie Muellera.

Ujawnienie raportu jest też w interesie amerykańskich wyborców – będą mogli się przekonać, czy demokracja w USA jest w stanie się bronić przed zewnętrznymi próbami ingerencji. ©

Wenezuela: bez przełomu

PŁONĄCE CIĘŻARÓWKI z pomocą humanitarną na zamkniętych przejściach granicznych z Kolumbią i Brazylią; brutalne starcia na barykadach; na pewno kilku, a być może nawet kilkunastu zabitych (wśród nich 14-latek) oraz kilkuset rannych po stronie opozycji: to bilans ostatnich dni w Wenezueli. Tymczasowy prezydent Juan Guaidó (jako przewodniczący parlamentu sprawuje on tę funkcję po sfałszowanych wyborach; został uznany przez kilkadziesiąt krajów) miał nadzieję, że żołnierze i policjanci wymówią posłuszeństwo Nicolásowi Maduro (uważa się on nadal za prezydenta), gdy na granicach zjawią się konwoje z pomocą (w sąsiadujących z Wenezuelą krajach zgromadzono zapasy żywności i leków; Maduro nie chce ich wpuścić). Tak się jednak nie stało, armia siłą zatrzymała konwoje. Choć nasila się dezercja, struktury siłowe stoją wciąż po stronie Maduro. Guaidó zmienia więc taktykę: w tych dniach spotyka się z przywódcami krajów latynoskich i USA oraz apeluje, by zwiększyły presję na Maduro. Guaidó nie wyklucza też zewnętrznej interwencji. W sytuacji klinczu jedynym sposobem na rozwiązanie pokojowe wydają się nowe wybory, wolne i uczciwe. Maduro odrzuca jednak taką opcję.

©℗ WP / NZZ, FAZ, ARD

Kaszmir: na granicy wojny

DWA AZJATYCKIE MOCARSTWA atomowe znów są o krok od konfliktu zbrojnego. Odkąd powstały w 1947 r. – po wydzieleniu Pakistanu z brytyjskich posiadłości w Indiach, jako kraju dla wyznawców islamu – stoczyły trzy regularne wojny, z czego dwie o Kaszmir: himalajską krainę, do której oba państwa roszczą pretensje.

Znów poszło o Kaszmir, należący do Indii, gdzie 14 lutego miejscowi partyzanci, walczący o przyłączenie regionu do Pakistanu, dokonali zamachu bombowego; zginęło ponad 40 indyjskich żołnierzy. Do ataku przyznała się Armia Mahometa, której kwatera główna jest w Pakistanie. Indie, od lat oskarżające sąsiada o wspieranie powstania, jakie w 1989 r. wybuchło w indyjskim Kaszmirze (zginęło w nim dotąd 70 tys. ludzi), zapowiedziały, że nie puszczą tego płazem, a premier Narendra Modi dał generałom wolną rękę w wyborze „sposobu, miejsca i czasu" odwetu. Pakistan ostrzega, że odpłaci pięknym za nadobne. Dyrekcje szpitali otrzymały polecenie szykowania łóżek na wypadek wojny.

© WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej na: powszech.net/strona-swiata

MATERIAŁY PRASOWE WORLD PRESS PHOTO

World Press Photo: tak wygląda świat

MIMO MILIONÓW ZDJĘĆ umieszczanych w internecie przez miliony, dla świata fotografujących konkurs World Press Photo jest wciąż najważniejszym punktem odniesienia.

Od dwóch lat jury wcześniej ogłasza i udostępnia listę finalistów oraz ich zdjęcia. Kto zwycięży, dowiemy się podczas kwietniowej gali w Amsterdamie.

Aby wybrać sześć fotografii rywalizujących w kategorii „Zdjęcie roku", jurorzy obejrzeli w tym roku prawie 79 tys. zdjęć, autorstwa niemal 5 tys. fotografów z całego świata.

Nowością jest nagroda za fotoreportaż: „World Press Photo Story of the Year". Ma honorować reportaże o dużym znaczeniu dziennikarskim. Trzy nominowane w tej kategorii materiały to „The Lake Chad Crisis" Marco Gualazziniego (pokazuje kombinację konfliktu politycznego i wpływu człowieka na przyrodę w regionie jeziora Czad), „The Migrant Caravan" Pietera Ten Hoopena (opowieść o migrantach podążających przez Amerykę Łacińską do USA) i „Yemen Crisis" Lorenzo Tugnolego (o wojnie w Jemenie).

Na zdjęciu: nominacja w kategorii „Wydarzenia" – prezydenci Trump i Macron w Waszyngtonie (autor Brendan Smialowski z agencji AFP).

©℗ GRAŻYNA MAKARA

Czym się zajmą jezuici

„CIESZY MNIE, że wybraliście nowe priorytety apostolskie po konkretnym rozeznaniu, a nie w bibliotece czy jakimś laboratorium – napisał Franciszek w liście do generała zakonu ks. Artura Sosy. – Są one zgodne z priorytetami Kościoła wyrażonymi przez papieża, synody oraz konferencje episkopatów".

Pierwszy priorytet dotyczy „rozeznawania duchowego, czyli ukazywania, w jaki sposób Bóg działa we współczesnym świecie" – tłumaczył ks. Sosa w Radiu Watykańskim. Drugi „zwraca się w stronę biednych, odrzuconych i najsłabszych. Chcemy razem z nimi szukać sposobu zmiany struktur, które przynoszą tyle niesprawiedliwości. Chcemy też zmierzyć się z nadużyciami w Kościele i w społeczeństwie". Warto wspomnieć, że realizacja podobnie sformułowanego celu przyjętego w latach 70. za czasów generała ks. Pedra Arrupego nie podobała się Janowi Pawłowi II, który z niepokojem patrzył na bliską współpracę niektórych jezuitów z reżimami krajów południowoamerykańskich. Trzeci priorytet dotyczy pracy z młodymi, ale „razem z nimi i przez ich perspektywę", a czwarty ma charakter proekologiczny. „Chodzi o powstrzymanie degradacji środowiska naturalnego i przekazanie go przyszłym pokoleniom w jak najlepszym stanie" – mówił ks. Sosa.

Ostatnie priorytety wydał w 2003 r. generał ks. Peter Hans Kolvenbach. Składały się na nie: działalność w Afryce i w Chinach, ewangelizacja przez pracę intelektualną i pomoc dla migrantów.

©℗ MACIEJ MÜLLER

JACEK HEROK / NEWSWEEK POLSKA / REPORTER

Zmarł biskup Orszulik, świadek Okrągłego Stołu

„STOPNIOWO MIĘKLI W ROZMOWACH z opozycją, pragnąc mieć za świadków przedstawicieli Kościoła" – mówił bp Alojzy Orszulik, wspominając obrady Okrągłego Stołu. Wieloletni członek Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu, pierwszy biskup łowicki, zmarł 21 lutego w wieku 90 lat.

Od 1962 r. pracował w Sekretariacie Episkopatu, m.in. jako kierownik Biura Prasowego. Brał udział w przygotowaniach kolejnych pielgrzymek Jana Pawła II do Polski. Widząc w nim zdolnego negocjatora, biskupi kierowali go do rozmów z władzami PRL. W pierwszych dniach stanu wojennego wspólnie z abp. Bronisławem Dąbrowskim spotkał się z internowanym Lechem Wałęsą. Miesiąc później na posiedzeniu Komisji Wspólnej tak odpowiedział na propozycję partii komunistycznej, aby przywrócić Solidarność jako związek zawodowy kontrolowany przez władze: „Chcemy odbudowy Solidarności z legalnym przedstawicielstwem (...). Kościół (...) chce pomóc w odbudowaniu wartości, które reprezentuje 10 milionów ludzi".

W 1988 r. został jednym z kościelnych obserwatorów delegowanych na obrady Okrągłego Stołu; uczestniczył też w rozmowach w Magdalence, gdzie liderzy obu stron ustalali szczegóły porozumienia. Z biegiem lat Orszulik wyrażał się o Okrągłym Stole coraz krytyczniej, choć doceniał jego rolę w pokojowym przekazaniu władzy. W 2003 r. mówił: „Myślałem, iż opozycja walczy o zmiany ustrojowe, gospodarcze i społeczne w oparciu o zasady, które są zawarte w katolickiej nauce społecznej Kościoła. Czas pokazał, że nie było to prawdą". W 2004 r. w „TP" napisał: „Gdyby strona opozycyjna posiadała wiedzę, którą mamy dzisiaj, mogłaby doprowadzić do przemian ustrojowych bez kontraktowego parlamentu".

W 1989 r. został biskupem pomocniczym siedleckim, a trzy lata później pierwszym ordynariuszem łowickim.

©℗ MACIEJ MÜLLER

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

TRENUJ I ZWYCIĘŻAJ. Klerycy seminarium kieleckiego obronili tytuł mistrza Polski w piłce nożnej halowej. W finale pokonali krakowskich salezjanów 4:1. Klerycy modlą się teraz w intencji reprezentacji Polski księży, którzy w Czarnogórze walczą o mistrzostwo Europy (w drużynie gra pięciu kapłanów diecezji kieleckiej).

PODZIEL SIĘ OBIADEM. 2 zł zupa, 8 zł drugie danie – tyle kosztują bony na ciepłe posiłki w krakowskiej Kuchni Społecznej im. s. Samueli. Można je wręczyć osobie ubogiej czy bezdomnej – zachęcają siostry felicjanki. Dyrektorka kuchni s. Bernadetta Słowik przekonuje, że ta forma pomocy zbuduje solidarność między ofiarodawcami a potrzebującymi niż wręczanie pieniędzy na ulicy. „Można także wspólnie siąść do stołu i porozmawiać przy posiłku" – dodaje. I opowiada historię człowieka, który wielokrotnie korzystał z pomocy, a kiedy ustabilizowała się jego sytuacja, sam zaczął kupować bony, by wręczać je innym.

I DESEREM. Nadchodzi Tłusty Czwartek. „Zamiast samemu zajadać się pączkami, możesz podzielić się nimi z głodnymi dziećmi w Republice Środkowoafrykańskiej i Czadzie" – proponują kapucyni. Na stronie paczek.kapucyni.pl można kupić „wirtualnego pączka", wspierając dożywianie dzieci, budowę studni, punktów opieki zdrowotnej i placów zabaw.

NIE PIJ. Bp Tadeusz Bronakowski podziękował ruchowi oazowemu za Krucjatę Wyzwolenia Człowieka: „Polacy muszą nauczyć się postawy: »dziękuję, nie piję, bo kocham«. Nie pozwólmy w Polsce promować alkokultury, nie chcemy być narkonarodem". Szef Zespołu KEP ds. Apostolstwa Trzeźwości i Osób Uzależnionych pozdrowił też uczestników XXI Zimowych Igrzysk Abstynentów w Brennej na Śląsku Cieszyńskim: „To inicjatywa pokazująca, że można radośnie żyć bez alkoholu i wspaniale się bawić".

Piękno i brzydota Karla Lagerfelda

GDYBY PRZYZNAWANO TYTUŁ najważniejszego człowieka w świecie mody, byłby do niego pierwszym kandydatem: Karl Lagerfeld, dyrektor artystyczny domu mody Chanel, zmarł 19 lutego w Paryżu. Miał 85 lat.

Kiedy pod koniec stycznia nie pojawił się na wybiegu w paryskim Grand Palais – na zakończenie pokazu kolekcji *haute couture*, którą zaprojektował dla Chanel – dużo mówiło się o złym stanie jego zdrowia (chorował na raka trzustki).

Projektowaniem mody zajmował się od lat 50. XX w., był też fotografem. Tworzył dla wielu marek, ale najważniejsze były dwie: włoski dom mody Fendi (pracował w nim od 1967 r.) i francuski Chanel, którego dyrektorem artystycznym był przez ponad 35 lat. Sprawił, że jedna z najbardziej luksusowych marek świata pozostała wierna swojej tradycji, ale była zarazem nowoczesna, ciągle świeża i nieustannie pożądana.

EAST NEWS

Warto zapamiętać go za wizjonerskie podejście do mody i pokazy robione z wielkim rozmachem. Ale Karl Lagerfeld to nie tylko rzeczy piękne. Często i chętnie krytykował kobiety o pełniejszej figurze czy modelki „plus size". Negował istnienie problemu promowania niezdrowo wychudzonych modelek i zatrudniania ich na wybiegach – ironizował, że krytykują je tylko „grube mumie", które z chipsami siedzą przed telewizorem.

Gdy w 2017 r. atakował Angelę Merkel za politykę otwartych drzwi dla imigrantów, entuzjastycznie odwoływał się do Holokaustu.

Za kulisami świata mody pojawiały się oskarżenia o mobbingowanie modeli i modelek, a nawet o wykorzystywanie seksualne. Gdy w jednym z wywiadów z nim poruszono temat #MeToo, Lagerfeld powiedział: „Jeśli nie chcesz ściągać spodni, nie zostawaj modelką! Dołącz do zakonu, w klasztorze zawsze będzie miejsce dla ciebie".

©℗ EWELINA BURDA

Uczniowie, jesteście piękni rozważną odwagą

MONIKA OCHĘDOWSKA

Kto nie płakał, gdy umierał Nemeczek, nie zapłacze już nigdy. Kto nie płynął z Marlowem w dół Konga, nie zrozumie nigdy przerażenia obcością" – to fragment tekstu literaturoznawcy Michała Pawła Markowskiego, od którego uczniowie polonistki Agnieszki Foryś zaczynają naukę języka ojczystego w VII Liceum Ogólnokształcącym w Krakowie.

Markowski jest też dyrektorem artystycznym Festiwalu Conrada, na którym uczniowie krakowskiego liceum rokrocznie, jak sami mówią, „trwonią czas". To przewrotne określenie, bo np. efektem tej „beztroski" po zeszłorocznym spotkaniu z Wojciechem Jagielskim była m.in. dyskusja w klasie o tekstach reportera i praca nad własnymi materiałami dziennikarskimi, które szkoła zamieściła potem na swej stronie internetowej.

Decyzja Ministerstwa Kultury, które nie uwzględniło Festiwalu Conrada na liście godnych wsparcia przedsięwzięć promujących czytelnictwo, zdziwiła uczniów i zaniepokoiła na tyle, że postanowili swoje odczucia w jakiś sposób wyrazić. Nie tylko w mediach społecznościowych (gdzie utworzyli wydarzenie #MuremZaConradem; dołączyło do niego kilkaset ich koleżanek i kolegów). Napisali też i wysłali do Ministerstwa Kultury list, prosząc resort o ponowne rozpatrzenie decyzji.

„Udział w wydarzeniach festiwalowych jest nieprzecenionym pomysłem na dopełnienie lekcji szkolnych. Program z języka polskiego nie uwzględnia bowiem najnowszej literatury polskiej i obcej, nie nadąża za laureatami prestiżowych nagród literackich" – piszą do ministra Glińskiego. „Spotkania odbywają się w naszym rodzinnym mieście i są bezpłatne" – to dla nich, ludzi młodych i jeszcze niepracujących, ważny argument.

Na razie odpisała im ich nauczycielka. „Kochani Uczniowie moi, bardzo Wam dziękuję za Waszą postawę – napisała Agnieszka Foryś na Facebooku. – Jesteście piękni rozważną odwagą człowieka zbuntowanego – tego, o którym pisał Albert Camus w swoim eseju. Bunt nie jest gestem egoisty. Służy budowaniu solidarności międzyludzkiej". ©℗

Oto największa pszczoła świata – w skali 1:1

DŁUGA NA PRAWIE CZTERY CENTYMETRY, z rozpiętością skrzydeł przekraczającą 6 cm – o pszczole z gatunku *Megachile pluto* (na zdjęciu wraz z pszczołą miodną) po raz trzeci w historii zrobiło się głośno, tym razem na całym świecie.

W 1859 r. odnalazł ten gatunek – na indonezyjskiej wyspie Bacan – Alfred Russel Wallace, współautor teorii ewolucji. Trafiła do jego kolekcji okazów pochodzących z ponad 125 tys. gatunków (tysiąc z nich nie było wcześniej znanych nauce), które przywiózł ze swoich wypraw po Archipelagu Malajskim. W książce zatytułowanej „The Malaya Archipelago" pisał o niej: „duży, przypominający osę owad, o ogromnych szczękach podobnych do spotykanych u chrząszczy jelonkowatych". Na jego cześć w języku angielskim *Megachile pluto* funkcjonuje pod nazwą: olbrzymia pszczoła Wallace'a (*Wallace's giant bee*).

Więcej o *Megachile pluto* dowiedzieliśmy się dopiero ponad sto lat później. W 1981 r. amerykański biolog Adam Messer spotkał ją ponownie na Bacan i kilku sąsiednich wyspach. Udało mu się nawet znaleźć jej gniazda w drzewach żywicowych drążonych przez termity. Pszczoła ryła w nich własne tunele, których ścianki wzmacniała żywicą – do tego właśnie służą jej szczęki (mają je tylko samice).

Od tamtego czasu pojawiały się okazjonalne wzmianki o największej pszczole świata (w 2018 r. martwy okaz trafił nawet na aukcję internetową), ale dopiero w styczniu amerykańsko-australijski zespół natrafił na żywe osobniki *Megachile pluto* na wyspie Ternate. „Ponowne odkrycie" gatunku utrzymano w tajemnicy przez kilka tygodni – potem pszczoła przebojem wdarła się na czołówki mediów. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

CLAY BOLT / AFP / EAST NEWS

KULTURA W SKRÓCIE

WARSZAWA. Ruszyła budowa stołecznego Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Prezydent Rafał Trzaskowski oraz władze MSN podpiszą w tym tygodniu umowę z wykonawcą. Wygląda na to, że trwające 15 lat przymiarki do stworzenia placówki nabierają realnych kształtów. Budynek powinien być gotowy na wiosnę 2022 r.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

GDAŃSK. Dyrektor Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego Jerzy Limon (na zdjęciu) został laureatem Pragnell Shakespeare Award. Tę międzynarodową nagrodę otrzymują wybitne osobistości życia naukowego i artystycznego popularyzujące wiedzę o autorze „Hamleta". Uroczystość wręczenia odznaczenia odbędzie się 27 kwietnia podczas Obchodów Urodzin Szekspira w Stratford.

CHĘCINY. Dzięki funduszom unijnym w Chęcinach (woj. świętokrzyskie) odrestaurowana zostanie XVII-wieczna synagoga, w której samorząd planuje stworzyć Centrum Pamięci Kultury Żydowskiej (przed 1939 r. Żydzi stanowili ponad połowę mieszkańców Chęcin). Burmistrz szacuje, że remont budynku zacznie się prawdopodobnie pod koniec 2020 r. i potrwa rok.

LONDYN. Olga Tokarczuk znalazła się w ścisłym finale międzynarodowej nagrody Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Jury doceniło jej powieść „Prowadź swój pług przez kości umarłych" w przekładzie Antonii Lloyd-Jones, laureatki zeszłorocznej edycji nagrody Transatlantyk dla tłumaczy. Na liście nominowanych była także powieść „Lala" Jacka Dehnela, również przełożona przez Lloyd-Jones. Zwycięzcę poznamy 7 marca.

TEMAT TYGODNIKA

GDYBY TO BYŁ NORMALNY KRAJ

Czy Polska porzuciła normalność, zmierza do niej, czy też wreszcie ją odnalazła? Jaka jest ta nasza polska normalna ziemia obiecana?

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Czy Polacy są w tym poczuciu własnej nienormalności wyjątkowi? Żeby się przekonać, trzeba by powołać międzynarodowy zespół, zapewne z wielomilionowym budżetem, ustalić precyzyjne kryteria doboru źródeł i ich analizy. Ale czasem warto wypuścić po prostu kilka balonów próbnych, z pełną świadomością, że uzyskamy obraz fragmentaryczny, być może nieco przekłamany. Z taką intencją sprawdzam w Google'u, na Twitterze i w kilku bazach hasła w rodzaju „gdyby to był normalny kraj...", „w normalnym kraju to by było niemożliwe...", „w innym normalnym, cywilizowanym kraju..." – tak, u nas jest tego pełno. A potem to samo robię w innych językach.

Musiałem się sporo namęczyć, żeby znaleźć coś po angielsku. Wygląda na to, że Brytyjczycy i Amerykanie mają dość głęboko zakorzenione poczucie, iż wyznaczają normę.

Jeżeli jednak poszukać uważniej, okaże się, że i tam znajdą się prominentni zwolennicy tezy o nienormalności. Jak Peter Thiel – milioner, współtwórca PayPala – który przekonywał niedawno, że w programie Donalda Trumpa chodzi tak naprawdę o to, by „uczynić Amerykę na powrót normalnym krajem". Bo w normalnym kraju nie ma horrendalnego deficytu, nie toczy się pięć niewypowiedzianych wojen jednocześnie, a rząd „po prostu robi swoją robotę".

Mam za to sporo trafień po francusku. Ale przeważająca większość z nich nie pochodzi z Francji. Pobieżna kwerenda pozwoliła mi odnaleźć jedną jedyną telewizyjną wypowiedź byłego francuskiego eurodeputowanego twierdzącego, że „w normalnym kraju minister podałby się do dymisji". W wynikach dominują za to Kamerun, Togo czy Senegal. Dawne kolonie, połączone dziś nie tylko językiem byłych okupantów i podobnymi problemami społecznymi, lecz także – jak się okazuje – przekonaniem wielu polityków, że „w normalnym kraju ich przeciwnicy dawno siedzieliby w więzieniach".

W niemieckich mediach żadnych wypowiedzi czołowych polityków ani prominentnych dziennikarzy. Na Twitterze znalazło się wprawdzie kilka konstrukcji w rodzaju „w normalnym kraju to byłby narodowy skandal", ale znaczna większość komunikatów kwestionujących normalność odnosiła się do innych krajów! Według Niemców „w normalnym kraju" chcieliby żyć Ukraińcy czy Serbowie.

I Hiszpanie, i mieszkańcy hiszpańskojęzycznych krajów Ameryki często miewają wątpliwości co do normalności swoich ojczyzn. „W normalnym kraju głosowanie to normalna rzecz" było jednym z haseł katalońskiego referendum niepodległościowego. Trafiam też na artykuł opowiadający o tym, że Argentyńczycy mają obsesję na punkcie tego, że ich kraj jest w jakiś sposób nienormalny. „*Esto en un país normal no pasa*" („w normalnym kraju takie rzeczy się nie dzieją") to jedno z narodowych powiedzeń, za którym kryje się potężny polityczny mit.

Po rosyjsku trafień jest mnóstwo! Źródła są zarówno rosyjskie, jak i ukraińskie. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to raczej mniejsze blogi i niszowi komentatorzy niż czołowi politycy. Na tle wyników z innych krajów szczególnie często pojawia się naznaczona fatalizmem konstrukcja „w normalnym kraju już dawno...". Przeważają, co nie zaskakuje, wypowiedzi bardzo krytyczne wobec rządzących.

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

Dźwignia bez punktu podparcia

„Gdyby to był normalny kraj..." – to jedna z najlepiej rozpoznawalnych fraz współczesnej polskiej debaty publicznej. Dobra na każdą okazję. „W normalnym kraju..." – to zaklęcie, po którym nastąpić może w zasadzie wszystko: rząd już dawno podałby się do dymisji (niezależnie od tego, kto rządzi), przestępcy ponoszą zasłużoną karę (albo w ogóle nie popełniają przestępstw), podatki są odpowiedniej wysokości, a rodzina to świętość. Wyraźnie słychać, że tutaj nie jest normalnie. Ale gdzie w takim razie jest?

Skoro „Polacy zawsze...", to kto „nigdy"? Skoro my najgorzej – kto lepiej od nas? Skoro jesteśmy nienormalni – gdzie w takim razie leży kraina normalności, w której wszystko robią jak należy? Diagnoza nienormalności bez punktu odniesienia to jak dźwignia bez punktu podparcia. Może długi drąg groźnie wygląda, ale nic nie podniesie, niezależnie od tego, jak byśmy napinali retoryczne muskuły.

Jeżeli się nad tym porządnie zastanowić – czy w ogóle jest sens mówić o czymś takim jak „normalny kraj"? Czym miałaby być ta normalność wobec imponującej różnorodności systemów politycznych i gospodarczych? Czy „normalny" oznacza według mówiących „najbliższy średniej", czy raczej „idealny"?

Normalność to w ogóle trudna sprawa. Spierając się o jej granice, dyskutujemy zwykle o tym, co od normy odbiega. Zamiast normy opisujemy szczegółowo ↦

↦ stany uznawane za nienormalne, patologiczne czy godne potępienia. Normalność to widmowy pusty kształt, który pozostaje po oznaczeniu na mapie wszystkich najwymyślniejszych nawet form nienormalności. To biała plama, *terra incognita*, do której opisu i poznania nie mamy właściwych kategorii, wyspa pośrodku morza chaosu i dziwaczności.

Geografie normalności

Normalność to także kategoria geograficzna. Można ją opisywać kreśląc trajektorie ruchu i osie (wschód-zachód, północ-południe), szkicując granice (swoje-obce), wskazując punkty zakotwiczenia czy centra symboliczne. Spróbujmy więc przyjrzeć się polskiej mapie normalności.

Profesor Wojciech Sadurski zwiedził kawał świata. Przez wiele lat pracował w Australii, był gościnnym wykładowcą na Yale i dziekanem w prestiżowym (i pięknie położonym) Europejskim Instytucie Uniwersyteckim we Florencji. Gdy zatem wypowiada się na temat map – wie, o czym mówi. A podsumowując na Twitterze wyniki jesiennych wyborów samorządowych, profesor Sadurski napisał tak: „Mapka wyborcza pokazuje, jak Polska jest podzielona. PL Zachodnia – nowoczesna, pro-europejska, świecka; PL Wschodnia – tradycjonalistyczna, ksenofobiczna i religiancka. Dlaczego Zachodnia ma być zakładnikiem? Pomyślmy wreszcie o federalizmie. Wschodnia: piękny skansen, atrakcyjna".

Profesor Tadeusz Gadacz – filozof, uczeń księdza Tischnera i inspirujący wykładowca – także należy do osób, których zawsze warto posłuchać. Komentując niedawne informacje „Gazety Wyborczej", profesor napisał na Facebooku tak: „Miałem złudzenia, że jesteśmy częścią cywilizacji zachodniej. Mentalnie i politycznie należymy jednak do Wschodu. Bliżej nam do Rosji, Białorusi i Ukrainy. Prezes rządzącej partii daje w kopercie 50 000 zł austriackiemu deweloperowi, któremu zlecono zbudowanie wieżowców, by wręczył je księdzu, jednemu z członków zarządu »Srebrnej« (tak zeznał pod przysięgą w prokuraturze). W centrali PSL ktoś zamontował podsłuchy w żyrandolach. Mieszanina oligarchii i metod z KGB. Co jeszcze? Ta władza powinna podać się do dymisji".

I jeszcze jedna wypowiedź. Dziennikarze są znacznie bardziej rozpoznawalni niż profesorowie, więc Tomasza Lisa raczej nie trzeba nikomu przedstawiać. Warto natomiast przypomnieć, że jego kariera rozpoczęła się na dobre od funkcji korespondenta telewizyjnego w USA. Można wobec tego założyć, że o geografii swoje wie. Redaktor naczelny polskiego „Newsweeka", również w kontekście głośnych „taśm Kaczyńskiego", napisał niedawno tak: „Jeżeli uważasz, że na tych nagraniach nic nadzwyczajnego nie ma, to znaczy, że nie musisz jechać na Wschód. Już tam jesteś i masz go w sobie".

Ze wschodu na zachód

„Nie żyjemy w normalnym kraju o standardach zachodnioeuropejskich – tłumaczył niedawno w wywiadzie dla „Wirtualnej Polski" Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania. – Dochodzenie do »standardów« obowiązujących na Białorusi czy w Rosji to proces, w jakiego trakcie jest obecnie nasz kraj". Oto – podobnie jak przytaczane wcześniej wypowiedzi Sadurskiego, Gadacza i Lisa – doskonała wykładnia naszej geografii normalności. Współczesny polski mit „nienormalnego kraju" niemal zawsze zorganizowany jest wzdłuż osi wschód-zachód.

Dla liberałów punktem odniesienia jest zazwyczaj zachodnia Europa, dla radykalnej prawicy, która figurą „nienormalnego kraju" posługuje się równie chętnie – raczej Stany Zjednoczone. Według Rafała Ziemkiewicza, Janusza Korwina-Mikkego czy Wojciecha Cejrowskiego USA to kraj normalności – powszechnego dostępu do broni, niskich podatków i w ogóle miejsce, w którym nic nie jest państwowe. „W normalnym kraju wszystko jest tanie i oszczędne – prorokował Korwin-Mikke na łamach „Super Expressu". – W normalnym kraju wszystko zależy od tego, jak się pracuje, a nie od dyplomu. (...) W normalnym kraju nic nie ma za darmo!". Gdzie leży ziemia obiecana Korwina-Mikkego – przedziwne przeciwieństwo dawnych chłopskich fantazji o krainie pieczonych gołąbków, które same wskakują do koszyka? Nie wiemy dokładnie, ale żeby tam dotrzeć, z pewnością trzeba się kierować na jakiś zachód, lecz nie do Unii.

Przeciwieństwem „normalnego Zachodu" jest „nienormalny Wschód", któremu i liberałowie, i radykalna prawica zgodnie przypisują najgorsze cechy, projektując nań swe koszmary. Wschód to biurokratyczna mentalność i korupcja, wysokie podatki i lenistwo, a przede wszystkim niedojrzałość – do demokracji, do kapitalizmu, do normalności. Co ciekawe, często ci sami publicyści, myśliciele i politycy, którzy w poniedziałek opowiadają o potrzebie szacunku dla pracujących w Polsce Ukraińców albo o swojej miłości dla rosyjskiej kultury i historii, we wtorek wygłaszają kategoryczne, pogardliwe sądy na temat „wschodniej mentalności". Bo na wschód od Polski rozciąga się nie rzeczywista Ukraina, Białoruś czy Rosja, o których w gruncie rzeczy wciąż wiemy zawstydzająco niewiele, lecz wyobrażona kraina strachów, tyranii i korupcji. Mordor, który tylko czeka, by przyjść i nas zjeść.

Oś wschód-zachód jest tak dociążona symbolicznie, że w naszej wyobraźni niemal nie pozostaje miejsca na inne mapy świata. Chociażby na spojrzenie na Polskę jako na relatywnie zamożny kraj globalnej Północy, z PKB na głowę mieszkańca (z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej) wynoszącym prawie 30 tys. dolarów, a więc niemal dwukrotnie wyższym od światowej średniej (niecałe 17 tys. dolarów). To nieustanne uciekanie z Rosji i porównywanie się z Niemcami, Francją czy USA pozwala nam zmniejszyć naszą wyobrażoną mapę normalności do bezpiecznych rozmiarów i wyrzucić poza jej granice Afrykę czy Azję Południową. Bo nie marzymy przecież o normalności w sensie matematycznym, a więc o zbliżeniu się do światowej średniej zarobków, warunków życia czy wolności politycznej.

Widać zabory!

Niestety, mityczny Wschód, przed którym w swych marzeniach i koszmarach wciąż uciekamy, zdołał się już zakorzenić w polskich duszach. Opóźnia nasz marsz na Zachód jako „homo sovieticus", „roszczeniowa mentalność" albo po prostu „cham".

Nienawiść do „chama" i pogarda dla niego łączy Jadwigę Staniszkis („uwolnione zostało lumpiarstwo"), Zbigniewa Mikołejkę („sojusz zawarty z Edkiem") i Rafała Ziemkiewicza, by wymienić tylko kilka postaci reprezentujących bardzo różne środowiska. Ten ostatni uczynił topos „normalnego kraju" centralnym wątkiem swojego „Polactwa". „Cham pojawił się dopiero wtedy, gdy te tradycyjne hierarchie i obyczaje prysnęły, a nie zostały zastąpione innymi – przekonuje Ziemkiewicz. – W normalnym społeczeństwie taki dzikus był szybko przywoływany do porządku lub izolowany – ale przez

ostatnich kilkadziesiąt lat w Polsce normalnego społeczeństwa nie było. I nie jeden dzikus pojawił się pośród dobrego towarzystwa – w którym musiałby się swych złych nawyków wstydzić i jeśli nie wykorzeniać je z siebie, to przynajmniej starannie ukrywać – tylko niedobitki normalnego, przedwojennego społeczeństwa dosłownie zalane zostały morzem wypuszczonej z folwarcznych czworaków hołoty".

Jeżeli PRL nie wystarczy nam jako historyczna kraina nienormalności, to w jej poszukiwaniu możemy się zapuścić jeszcze głębiej w historię. „Widać zabory!" – to zawołanie, które pojawia się przy okazji niemal każdej mapy ilustrującej rozkład polskiej „normalności". Niewątpliwie są takie mapy, na których granice zaborów wciąż odbijają się wyraźnie. Ale nawet wówczas relacja pomiędzy XIX-wieczną przynależnością państwową a współczesnymi wyborami politycznymi, gospodarczymi czy światopoglądowymi jest bardzo skomplikowana. Często decydującą rolę odgrywa tu nie jakaś odziedziczona po przodkach mentalność („wschodnia" albo „zachodnia"), lecz raczej dostępna infrastruktura, sąsiedztwo i kapitał.

„Narodowy charakter" to element mitu nienormalnego kraju, który najbardziej domaga się krytyki. Próba precyzyjnego zdefiniowania wad Polaków, ich zalet, ograniczeń i cudownych mocy to z punktu widzenia socjologii zawsze ryzykowna gra. Owszem, w publicystyce (i polityce) doskonale sprawdza się zawołanie „bo my, Polacy, zawsze...". Ale gdy próbujemy podeprzeć je konkretnymi danymi – sprawa okazuje się znacznie trudniejsza.

Wobec wszechobecnych rozpraw o duńskim hygge czy japońskiej filozofii sprzątania łatwo uwierzyć, że istnieje prosty związek między gospodarką i polityką kraju a jego „kulturą narodową". W rzeczywistości sprawa nie przedstawia się tak prosto. Bezsensowność oznaczania na mapie „krain nienormalności" skazanych na biedę i autorytaryzm doskonale pokazuje koreański ekonomista Ha-Joon Chang. Kiedy dziś narzekamy na „nienormalną" polską gospodarkę, chętnie przeciwstawiamy ją niemieckiej solidności. Nie pogardzilibyśmy także budową nad Wisłą drugiej Japonii. Bo przecież Niemcy i Japończycy od zawsze byli „z natury" pracowici, solidni i zdyscyplinowani, prawda?

Ha-Joon Chang podważa mit narodów „skazanych na sukces" i „skazanych na nienormalność", przedstawiając w książce „Źli samarytanie" relacje z początku XX wieku, gdy Japończycy jawili się europejskim obserwatorom jako leniwi, niepokorni, a w dodatku żyjący dniem dzisiejszym bez troski o przyszłość. Aż do lat 60. powszechnie uważano więc, że jest to przykład narodu, który nie ma żadnych szans na sukces w motoryzacji czy nowych technologiach. Stulecie wcześniej Brytyjczycy w podobnym tonie wypowiadali się o niezbyt rozgarniętych i pracowitych Niemcach, którzy w dodatku cieszyli się opinią nieuczciwych – „handlarze i sklepikarze oszukają, kiedy tylko się da". Polski czytelnik spragniony podobnych opinii może sięgnąć do szkicu Jana Stanisława Bystronia „Niemcy w tradycji popularnej". W polskiej wyobraźni sprzed kilku stuleci Niemcy głupio się ubierali (kuse stroje i harcapy śmieszyły Polaków wszystkich stanów), ale byli też kombinatorami i biedakami skłonnymi najeść się za pieniądze bogatych Polaków. Trudno w to uwierzyć, prawda? Ale warto, wszak wszyscy wychowaliśmy się na przekonaniu o niemieckiej solidności i japońskiej pracowitości.

Obcy nie będą się u nas rządzili, ustanawiali swoich praw. Nie dajcie sobie wmówić, że jesteście nienormalni!

Mkniemy do lepszego świata. Niestety, demony przeszłości i potężne wrogie siły wciąż ściągają Polskę na wyobrażony wschód.

Niemcy czy Japonia to nie wyjątki, ale raczej przykład powszechnej reguły. Jeżeli nie Japonię, to chcielibyśmy mieć u nas drugą Irlandię. A przecież jeszcze pokolenie temu Irlandczycy mierzyli się z opinią kłótliwych, brutalnych i skazanych na gospodarczą stagnację. Albo Korea Południowa, która pół wieku temu była nędzną gospodarką zrujnowaną wojną i naznaczoną piętnem długotrwałej niewoli. Dziś różnica między północą i południem kontynentu pokazuje, że nawet wielowiekowe kulturowe dziedzictwo nie trzyma nas w okowach przeznaczenia.

Zmienili się więc cwani Niemcy i leniwi Japończycy, skazani na biedę Irlandczycy i Koreańczycy. A w Polsce zawsze będzie nienormalnie? Tu wszystkie wysiłki zawsze będą schodzić na marne, bo ciąży nad nami kulturowe brzemię sarmatów, zaborów i komunizmu?

Przywróćmy normalność?

Skoro według Polaków w Polsce jest zawsze nienormalnie, przywracanie normalności stało się hasłem, które każda partia może bezpiecznie wypisać na swoich sztandarach, nie budząc niczyjego zdziwienia. Analiza przemówień polityków z ostatnich lat sugeruje jednak, że nastąpił w tym zakresie interesujący wyłom. Prawo i Sprawiedliwość wciąż używa w swej retoryce pojęcia „normalności". Jednak od czasu zwycięskiej kampanii z 2015 r. politycy tej partii coraz częściej sugerują – wbrew obiegowej opinii – że nasz kraj jest normalny. Nie tylko za sprawą obecnego rządu – bo chwalenie własnych zasług nie byłoby niczym niezwykłym. Wydaje się raczej, że PiS stara się, przynajmniej w niektórych aspektach, odciąć od mitu nienormalnego kraju, na którym sam niegdyś budował swój przekaz.

Ukazuje to nieźle obrazek z ostatniej kampanii samorządowej. W drodze z Bydgoszczy do Torunia premier Mateusz Morawiecki napotkał grupę politycznych przeciwników uzbrojonych w transparent z hasłem „Przywrócić normalność". Skłoniło go to do przemyśleń, którymi podzielił się z sympatykami, dotarłszy na miejsce: „To się zastanówmy, co to jest to »przywrócić normalność«? Czy oni chcą z powrotem, żeby były mafie VAT-owskie, ubóstwo u dzieci, żeby duży płacił mniejsze podatki, a mały przedsiębiorca większe ↦

↦ podatki?". Normalność stała się ostatecznie leitmotivem całego przemówienia: „To jest ich normalność, żeby była hańba Polski poprzez to, że inni mówią o polskich obozach śmierci. To jest ich normalność, żebyśmy ulegali ciągle Brukseli. To my przywracamy normalność. Prawo i Sprawiedliwość – to jest normalność dla Polski, dla polskiego narodu".

W retoryce Platformy Obywatelskiej (ale też znacznej większości polityków po roku 1989) Polska jest autostradą, którą mkniemy do lepszego świata. Jest dzianiem się i działaniem ukierunkowanym na przyszłość i normalność, które leżą oczywiście na Zachodzie. Niestety, demony przeszłości i potężne wrogie siły wciąż ściągają Polskę na wyobrażony Wschód.

Tymczasem w retoryce PiS po roku 2015 Polska zostaje na powrót trwale zakotwiczona na wyobrażonej mapie. PiS tworzy opowieść o uciśnionej i dyskryminowanej normalnej większości, z której przez lata robiło się patologię. Macie prawo być tym, kim jesteście – mówią jego politycy – robić to, co robicie, a przede wszystkim: czuć to, co czujecie. W ten sposób Kaczyński, Morawiecki czy Gliński pozwolili wielu Polakom na powrót połączyć się z ich własnymi doświadczeniami, poczuć się sobą, a więc – przekładając to na kategorie przestrzenne – poczuć się u siebie. Także za pomocą wyraźnych sygnałów skierowanych przeciw innym, obcym, nie swoim. Obcy nie będą się u nas rządzili, ustanawiali swoich praw, prowadzili naszej polityki zagranicznej. Nie dajcie sobie wmówić, że jesteście nienormalni!

Może więc PiS wygrywa przywracając Polakom poczucie normalności? Nienormalnymi są dla jego polityków zawsze jacyś obcy. W ten sposób klątwa nienormalności zostaje wypchnięta poza granice naszej krainy. PiS odwraca tym samym naszą mitologiczną mapę. Jego Polska nie jest już wyspą absurdu naznaczoną piętnem komunistycznej i rozbiorowej przeszłości. Przeciwnie – jest krainą normalności, zewsząd otoczoną morzem obłędu. Zamiast walczyć o normalność możemy więc jej bronić, również przed wewnętrznymi wrogami. A to o wiele bardziej komfortowe położenie.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Poszukiwacze sprzeczności

PROF. KRZYSZTOF ZAGÓRSKI, SOCJOLOG:

Doktryny politycznej Polaków nie da się wpisać w spójną tabelkę. Zawsze coś tu się nie będzie zgadzało. I to nas łączy.

RAFAŁ WOŚ: Na początku polskiej transformacji mówiło się, że Tadeusz Mazowiecki chciał pojechać do Bonn, ale Leszek Balcerowicz kupił mu bilet do Chicago. Bonn oznaczało wzorowanie się na zachodnioniemieckiej społecznej gospodarce rynkowej, a Chicago to symbol wolnorynkowego radykalizmu. W Polsce ostatnich 30 lat najczęściej spieraliśmy się o to, od kogo by tu nasz pomysł na państwo, społeczeństwo i gospodarkę skopiować. Na tym tle badanie „Doktryna Polaków" jest intrygująco inne.

KRZYSZTOF ZAGÓRSKI: Zgadza się. W projekcie badawczym i książce „Doktryna Polaków" nie pytamy, skąd zapożyczyć pomysły na Polskę, żeby pasowały do naszych wyobrażeń i ideałów. W ogóle nie chodziło nam o sporządzenie recepty na pożądany kształt ustroju lub najlepszą drogę przemian ustrojowych. Chcieliśmy zbadać, jak główne nurty klasycznej filozofii politycznej przejawiają się w potocznym myśleniu społeczeństwa, które nie zajmuje się bynajmniej czytaniem klasyków myśli społeczno-politycznej.

I jak jest? Jaka jest doktryna polityczna Polaków dziś?

Żeby w ogóle móc rozmawiać o tym, jak jest, musimy zdać sobie sprawę, że nie będziemy się posługiwać prostymi zdaniami typu „Polacy to konserwatyści" albo „Polacy chcą wolności", lub stereotypami w rodzaju „Polak – katolik". Jeśli ktoś chce doktrynę polityczną Polaków wpisać w spójną tabelkę, to się zawiedzie. Co chwila coś tu się nie będzie zgadzało.

Z braku innych kandydatów pod ręką, przetestujmy Wasze wyniki na mnie. Nie ufam wolnemu rynkowi. Uważam, że zawsze będzie działał na korzyść najsilniejszych. Nie wierzę więc, że może być podstawą sprawiedliwego społeczeństwa. To prowadzi mnie do wniosku, że fundamentalnie potrzebne jest nam państwo, które tym rynkiem pokieruje. Okiełzna jego szaleństwa. Czy jestem typowym Polakiem?

I tu już pojawia się pierwsza komplikacja. Generalnie państwo odgrywa w doktrynie politycznej Polaków rolę kluczową. Ale taka postawa, jaką pan na swoim przykładzie zarysował, już taka typowa nie jest. Zdaje się pan podchodzić do państwa z pozycji krytyka kapitalizmu. Państwo jest panu potrzebne do okiełznania żywiołu rynkowego.

Dokładnie tak.

Dużo częściej spotykamy się w Polsce z przekonaniem, że państwo jest po prostu naturalną formą bytowania wszystkich ludzi. „Co by było, gdyby nie było państwa. Wtedy nie byłoby nas" – to dosłownie zacytowany pogląd jednego z uczestników naszego badania. Gdy pytać o genezę państwa, okazuje się, że wiele ludzi ma świadomość, iż jest ono czymś naturalnym, immanentną cechą społeczeństwa. Wiąże się to z podobnym pojmowaniem władzy. „To chyba naturalne, że wszędzie, gdzie jest jakieś zgrupowanie ssaków, to zawsze gdzieś wyłoni się lider" – powiedział jeden badany. Ktoś inny zwrócił uwagę, że tak jak w ulu jest królowa, tak w społeczeństwie powinien być lider. Poglądy takie podziela ok. 85 proc. Polaków. Istotne przy tym jest, że doceniamy organizacyjną i koordynującą rolę państwa. Rzadziej zwracamy uwagę na aspekt siły i realizacji własnych lub grupowych interesów przez elity rządzące, jak np. w zdaniu: „silniejszy wygrał, został przedstawicielem" lub „państwo powstało po to, żeby służyć silniejszym kosztem słabszych". Efektem jest jakiś rodzaj przekonania

o naturalnym elitaryzmie przywódców wynikającym z ich wyjątkowości. Filozof polityki szybko wytropi tu nawiązania do różnych myślicieli. Polacy mówią ich językiem – oczywiście nie wiedząc nawet, że to robią.

Czy wizje, że w końcu przyjdzie ktoś, weźmie Polaków w karby, a oni będą zadowoleni, mają swoje uzasadnienie?

Nie. Przede wszystkim zdecydowanie odrzucamy wszelkie formy ingerencji państwa w życie prywatne i ograniczanie wolności obywatelskich. Wydaje się, że postrzegana ostatnio ostrość społecznych sporów na takie tematy jest wyolbrzymiona dzięki przebijaniu się w mediach postaw skrajnych, niereprezentujących opinii przysłowiowej milczącej (lub przynajmniej mniej krzyczącej) większości. Niezwykle wyraźnym rysem polskiej doktryny politycznej jest natomiast głębokie przekonanie o służebnej roli państwa. Geneza państwa – niezależnie od tego, czy wywodzi się z natury życia społecznego, czy z siły rządzących – nie oznacza zatem, że dysponenci państwowej administracji mają nad członkami społeczności władzę arbitralną. Co to, to nie! Państwu jesteśmy wierni częściowo z wygody i przyzwyczajenia. W tym miejscu polskie społeczeństwo jest jakby wprost wyjęte z pism szkockiego XVIII-wiecznego filozofa Davida Hume'a. Ale niech tylko państwo spróbuje przebrać miarkę.

Co wtedy?

Wtedy możemy oczekiwać różnie wyrażanej silnej dezaprobaty. Jedną z miar, którą stosujemy w badaniu, jest stopień akceptacji poszczególnych poczynań władzy. Pytamy np., czy państwu wolno ograniczać wolność przekonań? I od liczby odpowiedzi „tak" odejmujemy liczbę odpowiedzi „nie". W tym konkretnym przypadku wychodzi nam -90 na skali od -100 do +100. To oznacza, że miażdżąca większość Polaków ingerencji w wolność przekonań jednostki nie akceptuje. Gdybyśmy byli w tej sprawie podzieleni, to poziom akceptacji byłby bliżej zera. Oznaczałoby to, że tych, co mówią „tak" oraz „nie", jest mniej więcej po równo. Na pytanie „czy państwo powinno formułować zakazy moralno-obyczajowe" tak mierzony poziom akceptacji wynosi -50. Więc znów widzimy zdecydowane odrzucenie ingerencji władzy w moralność i obyczaje. Pod tym względem jesteśmy radykalni.

Ograniczanie wolności przekonań albo zakazy moralne to bardzo ogólne stwierdzenia.

Zobaczmy w takim razie bardziej szczegółowe wyniki naszego reprezentatywnego badania. Czy władza powinna być uprawniona do zakazywania związków homoseksualnych? „Tak" – 24 proc.; „nie" – 52 proc. Czy władza powinna zakazywać aborcji? „Tak" – 11 proc.; „nie" – 54 proc. Już nawet nie mówię tu o oczywistościach. Ponad 90 proc. Polaków nie akceptowałoby narzucania jednego wyznania religijnego lub ograniczania prawa wypowiedzi poglądów sprzecznych z oficjalnymi. Ponad 80 proc. nie akceptowałoby kontroli korespondencji, rozmów telefonicznych lub ograniczania prawa wyjazdów zagranicznych. W zasadzie jedynym, co wolno władzy na tym polu, to zakazywanie bicia dzieci.

I co jeszcze?

W doktrynie politycznej Polaków zdecydowanie nie ma akceptacji dla władzy, która zakazuje protestów społecznych. Większość (ok. 60-70 proc.) wyraża dezaprobatę dla zakazywania strajków oraz protestów ulicznych i w ogóle ograniczania wolności zgromadzeń. Tylko po kilka procent zgadza się na takie ograniczenia, choć znacznie więcej nie ma określonego zdania.

Wróćmy do kwestii zakazu handlu w niedziele. Pytaliśmy o to na długo przed przeforsowaniem przez władzę tego postulatu związków zawodowych [prace nad badaniem „Doktryna Polaków" trwały przez kilka lat i rozpoczęły się przed wyborami 2015 r. – red.]. Dwie trzecie Polaków sprzeciwiało się temu zakazowi.

No dobrze, ale jakiś czas temu mówił Pan, że państwo odgrywa w doktrynie Polaków ważną rolę. Nawet zaskakująco ważną.

Tak. Polacy uważają, że państwo ma wobec obywateli cały szereg rozbudowanych obowiązków. Wyraźna jest tendencja do liberalnej demokracji w sferze stosunków pomiędzy państwem i ogólniej władzą a obywatelami. W sferze nie tylko polityki socjalnej, ale i szerzej pojmowanych zagadnień gospodarki widzimy natomiast tendencję przeciwną, mianowicie dążenie do etatyzmu. Pod tym względem doktryna Polaków zdaje się krzyczeć: więcej państwa, a nawet więcej uspołecznienia środków produkcji. ↦

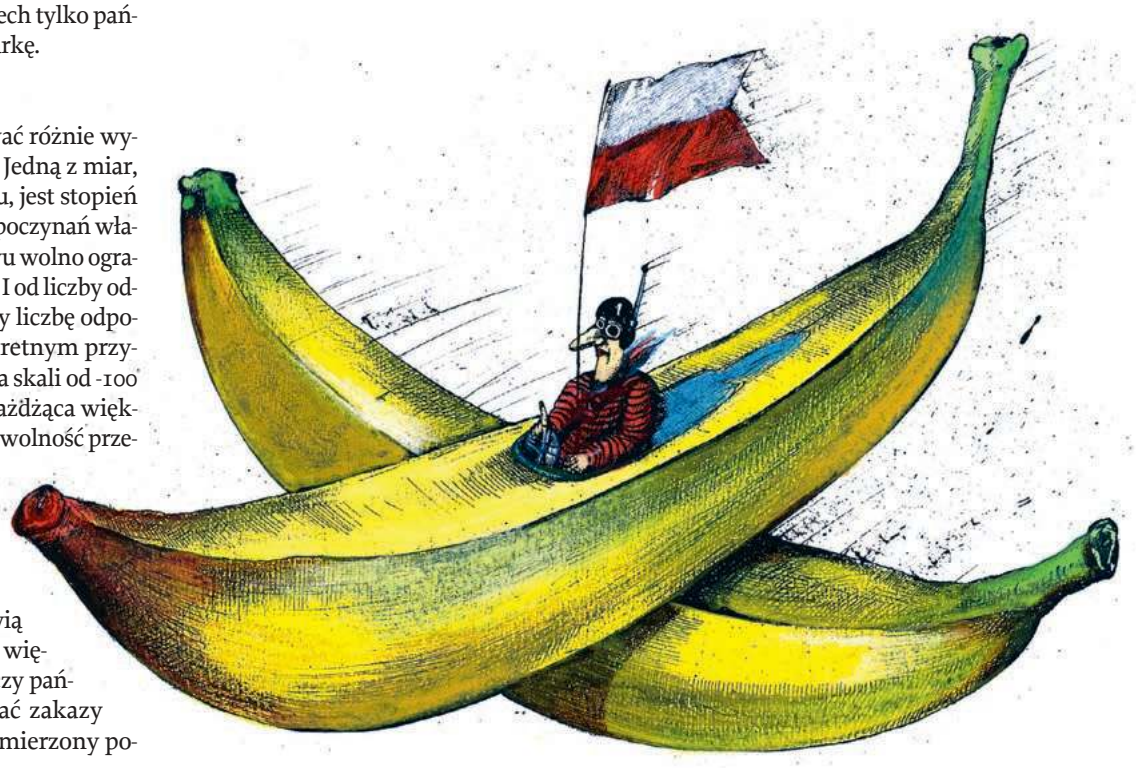

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

Dotąd żyłem w przekonaniu, że Polacy nienawidzą socjalizmu we wszelkich jego przejawach, gdyż im to PRL z głów wybił.

Rozpatrywanie ekonomicznej części doktryny Polaków zacząć warto od stosunku do własności. W końcu własność prywatna to zdaniem liberałów w stylu Hayeka czy Rothbarda absolutny fundament i gwarant wszelkich innych wolności. Z drugiej strony dla Marksa, ideologa socjaldemokracji Eduarda Bernsteina czy anarchistów w rodzaju Bakunina własność jest źródłem wszelkich społecznych nieszczęść.

A dla Polaków?

To skomplikowane. Wśród Polaków przeważa stanowisko, że z własnością jest trochę jak z władzą. To naturalny stan rzeczy: „Ludzka natura jest taka, że część rzeczy chce się mieć na własność" – to jeden z cytatów. Niby to jest spójne z klasyczną filozofią liberalną wywodzoną choćby od Johna Locke'a.

Ale...

Ale stosunkowo często badani wychodzili poza takie rozumienie własności, widząc ją w szerszym kontekście społecznym. „W 80 proc. to jest wyzysk. Ci, którzy mają bardzo dużo, to jest wyzyskiem drugiego człowieka i to jest nagminne". Warto zacytować tu część debaty, jaka wywiązała się przy tej okazji między respondentami w Czarnej Białostockiej. Pytanie: „a co by było, gdyby ludzie nie mieli nic na własność?". Odpowiedzi: „To by było najbardziej sprawiedliwe. Wszyscy byliby równi. Ale to tak śmiesznie". Riposta: „Może to by było takie sprawiedliwe, jak tu mówią panie, ale to tak trochę dziwnie. Tak żyć w cudzym miejscu, takim nieswoim, nie wiem, jak to powiedzieć. Nie dałoby się tak żyć". Takie rozmowy powtarzały się w wielu różnych miejscach. „Sprawiedliwości nigdy nie było, nie ma i nie będzie. Więc my jesteśmy przyzwyczajeni. Kiedyś moja babcia powiedziała, że jedni rodzą się bogaci, drudzy biedni" – to cytat z innej rozmowy.

Czyli z jednej strony ludzie wiedzą, że własność to fundament społeczeństwa, w którym żyją. Często ci sami ludzie są w pełni świadomi faktu, że własność może być przyczyną szeregu problemów społecznych i osobistych dramatów.

Państwo dla Polaków jest naturalną formą bytowania wszystkich ludzi. **„Co by było, gdyby nie było państwa. Wtedy nie byłoby nas"** – to pogląd jednego z uczestników naszego badania.

Tak. Dominuje przekonanie, że własność prywatna jest naturalną potrzebą człowieka, daje mu poczucie bezpieczeństwa, zapewnia wolność i motywuje do pracy. Myśli tak ponad 90 proc. Polaków. Wiąże się z tym przekonanie, że „ludzie powinni mieć pełne prawo dziedziczenia wszystkiego, co mieli rodzice" (81 proc.). Jednak tylko około jednej trzeciej zgadza się z poglądem, że „tylko własność prywatna może zapewnić dobre funkcjonowanie gospodarki".

Czyli własność Polacy akceptują, ale nie jest dla nas absolutną świętością?

Nie jest. Około połowy badanych uważa, że ludzie przedsiębiorczy i zaradni zbyt łatwo osiągają różne dobra na własność i że za dużo jest własności prywatnej, a za mało publicznej. I wreszcie jeden z ciekawszych wyników. Sytuacja, kiedy coraz więcej dóbr możemy mieć na własność, prowadzi według Polaków znacznie częściej do egoizmu, konkurencji i osłabienia więzi społecznych niż do altruizmu i zmniejszenia rywalizacji, a nawet do walki o te dobra. Można powiedzieć, iż jest to postawa antyrozwojowa, przynajmniej w materialnym wymiarze ekonomicznym. Jednocześnie ogromna większość Polaków chce uspołecznienia wielu różnych gałęzi gospodarki. Wniosek? O kulcie własności prywatnej w polskiej doktrynie politycznej nie ma co mówić. Akceptujemy ją, ale nas przeraża. Wielu z nas instynktownie szuka mechanizmów, które potęgę własności prywatnej okiełznają.

I dlatego gotowości do etatystycznych interwencji państwa jest więcej, niż się to zdawało wielu komentatorom przez cały okres III RP.

Wracam do tezy o tym, że postulat uspołecznienia ogromnych obszarów gospodarki to ważna składowa doktryny Polaków. Sieci i przedsiębiorstwa gazownicze, wodociągi, energetyka, kopalnie, szpitale, lasy i rzeki – to wszystko powinno być zdaniem przeważającej części badanych publiczne. Inny zaskakujący wynik to przekonanie ponad dwóch trzecich społeczeństwa, że państwo powinno pomagać słabszym przedsiębiorstwom zarówno państwowym, jak i prywatnym.

Czego jeszcze Polacy oczekują od państwa?

Nasze badanie i opracowanie wyników trwały dość długo, więc rezultaty pochodzą jeszcze sprzed ostatnich wyborów. Gdy je realizowaliśmy, dobrze już było widać wołanie o więcej troski państwa o obywateli. Akceptacja poglądu, że „państwo powinno zaspokajać jak najwięcej potrzeb swoich obywateli", jest miażdżąca (88 proc.). Badani odrzucają natomiast liberalne przekonanie, że państwo nie ma obowiązku troszczyć się o potrzeby poszczególnych obywateli. Innymi słowy – doktryna Polaków zakłada, że taka troska jest obowiązkiem państwa, wbrew przekonaniu, że każdy jest kowalem swojego losu.

Czy pytaliście o inne programy socjalne? Choćby o gorąco ostatnio dyskutowany bezwarunkowy dochód podstawowy?

Niestety nie, bo jeszcze wtedy nie wydawał się rozwiązaniem, które ma szansę na szybką popularyzację.

Myśli Pan, że taki dochód zmieściłby się w doktrynie Polaków?

Myślę, że tak. Zwłaszcza jeśli zostanie przedstawiony jako skuteczny mechanizm opiekuńczy i równoważący przywileje istniejące w innych częściach gospodarki. Np. wynikające z dobrego pochodzenia.

A podatki?

Ten temat wprost w naszym badaniu również się nie pojawił. Z innych badań oraz wypowiedzi padających w naszych wywiadach i dyskusjach grupowych można się jednak pokusić o przypuszczenie, że w doktrynie Polaków jest miejsce na więcej podatkowej progresji. Czyli na to, by bogatsi płacili na potrzeby wspólnoty dużo więcej niż dziś. Takie oczekiwanie widzę wyraźnie.

A jak to jest z samym pojęciem wspólnoty? Polska publicystyka i polityka nie bardzo wiedzą, jak sobie z nim poradzić. Z jednej strony mamy strachy przed nacjonalizmem. Z drugiej nie mniejszą obawę, że społeczeństwo rozpadnie się na egoistyczne i nastawione wyłącznie na realizację swojego interesu grupy i jednostki. Jak te skrajności godzi doktryna Polaków?

Godzi po swojemu. Łącząc w jedno przeświadczenia, które teoretycznie wydają się sprzeczne. Np. rodzina: dominuje przekonanie, że to „ważna komórka społeczna" dająca poczucie sensu życia i bezpieczeństwa. Ale jednocześnie rodzina to „karmicielka i wyznacznik pozycji społecznej" utrzymująca się dzięki egoistycznym interesom jej członków. Czyli z jednej strony mamy pewien rodzaj konserwatywnej wiary w jej „świętość". Z drugiej strony świadomość, że w ramach tej świętości można realizować swój egoistyczny interes. Potrzebę sensu, wygody, statusu materialnego. To, co teoretycznie sprzeczne, w praktyce jawi się jako całkowicie spójne.

A naród?

No właśnie. Dla mnie to był jeden z najciekawszych elementów badania. Znów teoretyczne podejście skłaniałoby nas do wyboru pomiędzy rozumieniem narodu jako arystotelesowskiej wspólnoty opartej na wspólnym miejscu zamieszkania, kulturze i historii. Czuję się Polakiem? Mieszkam tutaj? To jestem Polakiem! Patriotyzm otwarty! Z drugiej strony mamy naród rozumiany jako ekskluzywną wspólnotę krwi, religii, a nawet rasy, podporządkowaną wspólnemu państwu. Wydawałoby się, że to dwie sprzeczne ze sobą definicje narodu. A jednak nie! W praktyce okazuje się bowiem, że dla Polaków między tymi definicjami nie ma większej sprzeczności. Większa jest wprawdzie akceptacja dla narodu arystotelesowskiego, ale i wspólnota krwi ma tylu zwolenników, że w zasadzie trzeba uznać, iż oba rozumienia funkcjonują równolegle, a nawet stosunkowo często są podzielane przez tych samych ludzi. Nie wszyscy widzimy pomiędzy nimi sprzeczności.

Czy to wszystko razem składa się na jakiś obraz?

Tak, choć jak przestrzegałem, obraz ten stanowi zaprzeczenie jakiejkolwiek jednorodności. Gdyby stworzyć mapę i umieścić na niej kilkunastu najważniejszych filozofów politycznych w historii, to obraz byłby pewnie taki: dalej od Platona, Marksa czy Hobbesa. Bliżej Arystotelesa, Locke'a i Webera. Ale z zachowaniem sporej różnorodności i wielu wyjątków. Istotnym elementem doktryny Polaka jest klasyczny republikanizm. Czyli silne przekonanie o prymacie dobra wspólnego i służebnej roli władzy. Jest liberalny opór przeciw nadużyciom władzy i wiara, że obywatele powinni móc swoją władzę kontrolować. Ale widać też odrobinę socjalistycznej obawy przed atomizacją społeczeństwa, którą niesie ze sobą własność prywatna. Do tego sporo etatyzmu i rezerwy wobec wolnego rynku. Połączone z nadzieją, że jednak do pewnego stopnia rynkowi trzeba zaufać i pozwolić na działania oddolne w nadziei, że moralność pozwoli okiełznać egoizm. Co z kolei może kojarzyć się z katolicką nauką społeczną.

Jeśli chcieć operować doktrynami politycznymi, to dostaniemy mieszankę. Mamy trochę konserwatyzmu z jego przekonaniem o istnieniu naturalnego ładu społecznego opartego na autorytecie władzy, wpływy społecznej nauki Kościoła, ale i elementy liberalizmu oraz republikanizmu. Oczywiście jednak przeciętny Polak nie myśli w takich teoretycznych kategoriach pojęciowych, a nawet często nie wie o ich istnieniu. Parafrazując Moliera, „nie wie, że mówi językiem teorii". Nic dziwnego, iż wynika z tego pewien eklektyzm.

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

LECH MUSZYŃSKI / PAP

PROF. DR HAB. KRZYSZTOF ZAGÓRSKI jest kierownikiem Centrum Socjologii Empirycznej Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie. Przez 10 lat był dyrektorem Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS). Autor i współautor ponad 150 książek. Współautor najnowszej z nich: Z. Rau, K. Staszyńska, M. Chmieliński i K. Zagórski „Doktryna Polaków. Klasyczna filozofia polityczna w dyskursie potocznym" (2018), która jest pokłosiem projektu obejmującego zarówno badania jakościowe, jak i ankietowe przeprowadzone w latach 2010-2014.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Szkoła Szamaja i Hillela

Bejt Midrasz – miejsce służące studiom nad Torą i ustalaniu zasad prawnych – ustanowiono w czasach Heroda, między 20. i 40. rokiem naszej ery. Istnieje po dziś dzień. Początek tej instytucji sięga czasów, gdy dominujące miejsce w Izraelu odgrywały dwie szkoły, Szamaja i Hillela. Gorąco debatowano między sobą. Poruszano setki przypadków stosowania prawa i odkryto kilka poważnych różnic. Pierwszą kwestią było pytanie: kto może być dopuszczony do studiów nad Torą? Szamaj uważał, że mogą ją studiować jedynie osoby tego godne, wykształcone, sprawiedliwe. Hillel: że każdy powinien być dopuszczony do studiów nad Torą, bo takie studia zmieniają człowieka. Staje się w miarę jej poznawania jej godny.

Szamaj twierdził, że nie wolno mówić brzydkiej pannie młodej, że jest piękna. To kłamstwo, którego nic nie usprawiedliwia. Hillel uważał, że panna młoda pod ślubnym baldachimem zawsze jest piękna. Szkoła Szamaja utrzymywała, że rozwód może nastąpić tylko wtedy, gdy złamano podstawowe zasady prawa. Szamaj, że możliwy jest nawet z tak błahego powodu, jak przypalenie jedzenia. Jeszcze jedna różnica: chodziło o sposób zapalania świec chanukowych. Szamaj twierdził, że zaczyna się od ośmiu, a z każdym dniem ujmuje się po kolei jedną świeczkę. Zwolennicy Hillela uczyli, że zaczyna się od jednej świecy, kończy na ośmiu.

Różnice są pozornie niewielkie, ale czyż i my nie mamy odmiennych poglądów na rozwody czy piękno panny młodej? To normalne. Odmienność obu szkół dobrze pokazuje anegdota.

Do Szamaja przyszedł rzymski żołnierz i zapytał, czy ten może nauczyć go Tory, gdy on będzie stał na jednej nodze. Szamaj przegnał ciekawskiego, który przyszedł do Hillela i postawił przed nim tę samą prośbę. Hillel odpowiedział, że podstawowe prawo Tory brzmi: kochać bliźniego swego jak siebie samego, a reszta jest tylko przypisem. Trudno o piękniejszy wykład etyki biblijnej.

Zwolennicy Szamaja uchodzili za tradycjonalistów. Nic z dziedzictwa mędrców nie chcieli zapomnieć. Sympatycy Hillela byli jak strumień przepełniony energią gór, prący przed siebie, poszukujący nowych dróg. Jedni byli na swój sposób zamknięci w świecie żydowskim. Drudzy wydawali się bardziej otwarci i skorzy do rozmowy z obcymi.

Te dwie szkoły wyznaczały przyszłość judaizmu i tworzyły coś, co stanowi o kulturze dyskusji nie tylko ówczesnych mędrców i rabinów. Z jednej strony dominowały spory, dyskusje, racjonalne argumenty, poszukiwanie najlepszych w danych okolicznościach rozwiązań. Z drugiej potrzebny był autorytet, podstawa wszystkich osądów i prawnych rozstrzygnięć. Tym była Tora. Wierność wiecznej prawdzie spotykała się z potrzebą interpretacji zmieniającego się świata. A u podstaw tych sporów stało zdanie z Księgi Powtórzonego Prawa: Tora należy do ludu Izraela, jest na tym świecie. O tym, co w niej odkryjemy, decydują jej czytelnicy i badacze. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Siedź cicho

W ostatnią zieloną niedzielę przed nastaniem niedziel wielkopostnych, fioletowych, Paweł Apostoł mówi: „Gdy już to, co zniszczalne, przyoblecze się w niezniszczalne, a to, co śmiertelne, przyoblecze się w nieśmiertelne, wtedy spełni się słowo, które zapisano: »Zwycięstwo pochłonęło śmierć«”. Ta wypowiedź jest doskonałym wprowadzeniem w Wielki Post, gdyż zbyt często okres pasyjny kojarzymy z żołądkiem, kiedy tymczasem jest to sprawa życia i śmierci.

W religijno-poetyckim uniesieniu Paweł woła: „Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzie jest, o śmierci, twój oścień? Żądłem śmierci jest grzech, a siłą grzechu jest Prawo”. Te pytania są czysto retoryczne, Paweł wie, że Jezus pozbawił śmierć mocy unicestwiania. Wybawił śmierć „ode złego” i przywrócił jej pierwotną postać. Wielu teologów sądzi, że nasi prarodzice byli co prawda śmiertelni, ale ich śmierć byłaby, jeśli tak można powiedzieć, tylko łagodnym przejściem „z życia do życia”. Tak czy inaczej, od czasów Jezusowej śmierci wiemy, że jest ona etapem, fragmentem, przejawem istnienia, życia, a nie jego przerwaniem, tym bardziej unicestwieniem, choćby tylko na ułamek sekundy. Tym, co człowieka naprawdę zabija, jest grzech.

Angelus Silesius pisał:

Umrzyj, zanim umrzesz, byś nie umarł całkiem,
Gdy umierać będziesz: zgubisz się inaczej.

Jeśli nie chcemy siebie zgubić, zatracić, musimy pamiętać, że:

Za dziw nad dziwy uznać człowieka wypadnie:
Może, wedle woli, Bogiem być lub diabłem.

Dlatego Wielki Post można przeżywać jako czas odkrywania motywów działania Boga:

Czego Bóg w wieczności może pragnąć tęsknie,
To dostrzega we mnie, swoim podobieństwie.

W Wielkim Poście, wspominając mękę i śmierć, nie można zapomnieć, że Jezus przeszedł przez to wszystko i nadal żyje, i działa w naszym pięknym i przerażającym świecie. Dlatego nie można trywializować postu, redukując go do diety. Choć warto przypominać o obowiązku poszanowania jedzenia, które mamy za cenę życia zwierząt i roślin, a które marnujemy nie tylko wyrzucając je, ale również nadmiernie spożywając.

Ale oprócz fizycznego obżarstwa istnieje, mówiąc za Janem od Krzyża, obżarstwo duchowe. Polega na mnożeniu praktyk religijnych w nadziei, że dzięki nim Pan Bóg prędzej spełni nasze prośby. Angelus Silesius mówi:

Marta biega, lata, by nakarmić Pana,
Maria siedzi cicho i tak bez krzątania
Wybiera lepszą cząstkę: tamta karmi jeno,
Ta zaś też karmiona czuje się przez niego.

Maria siedzi cicho, bierzmy z niej przykład i też siedźmy przy Jezusie cicho, pozwólmy Mu, żeby nas podkarmił. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Skała

Mówi Jezus:
„Dam wam to, czego
żadne oko nie widziało,
żadne ucho nie słyszało,
żadna ręka nie dotknęła,
co nie mieści się
w sercu/umyśle
człowieka”.

EWANGELIA TOMASZA

Czasami Słowo pokazuje swoje ukryte znaczenia dzięki kontekstowi, w którym zostaje proklamowane. Ostatnio liturgia aż dwukrotnie uczyniła nas świadkami dialogu Jezusa z Piotrem w Cezarei Filipowej: „Ty jesteś Piotr, czyli skała, i na tej skale zbuduję mój Kościół, a bramy piekielne go nie przemogą”. Najbliższym kontekstem było zwołane przez Franciszka spotkanie przewodniczących konferencji episkopatów świata nt. pedofilii, tydzień po przeniesieniu byłego kardynała McCarricka do stanu świeckiego. Dawno już jako Kościół nie przeżywaliśmy aż takiej konfrontacji z własnym grzechem i z nieradzeniem sobie z nim.

Jaka „skała”? – mamy ochotę zapytać (również wtedy, gdy patrzymy w lustro...). Jakie „nie przemogą”? – przecież na tyle sposobów przemagają. A jednak Jezus się nie myli. A więc jaka skała? Kruchutka. Śp. o. Augustyn Jankowski stwierdził kiedyś obrazowo, że Jezus ustanowił skałą człowieka z natury bardziej podobnego do piasku. Piotr był piaskiem i pozostał piaskiem – w chwili pierwszej próby wiary trzykrotnie się jej wyparł. A Jezus, niczego nie cofając i żałując, powiedział: „Paś owce moje”.

W przeciwieństwie do nas, Jezus ma umiejętność budowania na tym, co słabe. My potrzebujemy człowieka z marmuru albo żelaza, by się na nim oprzeć, by mu cokolwiek powierzyć. Jezus potrzebuje grzesznika: Piotra, Pawła, Karola de Foucauld, Jacques’a Fescha. Mówimy w liturgii, że Pan buduje Kościół na wierze apostołów. Nie zapominajmy wtedy, że wiara Piotra i pozostałych ma formę nawrócenia.

Odczytujemy logion Jezusowy do Piotra w kategoriach władzy i nieomylności. I słusznie. Z drugiej strony, to właśnie ostatnim następcom Piotra zawdzięczamy pouczenie, że wiara nie jest rozumową akceptacją katalogu prawd i praw, ale przede wszystkim spotkaniem z Chrystusem. Jezus mówi do Piotra (zob. Łk 22): „modliłem się za ciebie, aby nie ustała twoja wiara, a ty – nawróciwszy się – utwierdzaj swoich braci”. Czy nie modlił się o nawrócenie właśnie?

Wiara Piotra to nie tylko wykład nauki o asystencji i mocy Ducha Świętego. To jego osobiste spotkanie z Jezusem, dramatycznie nadwyrężone grzechem. Jezus modli się, by ten grzech nie przemógł Piotra. Modlitwa Pana jest skuteczna, owocuje Piotrowym: „Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię kocham”.

Kiedy odkrywamy, że skała jest piaskowcem, i że taki jest wybór Pana, rozumiemy, że ostatecznie Tym, na którym się opieramy, jest Jezus. Wtedy kończy się arogancja, pycha i pewność siebie po stronie tych, których wybrał do funkcji skały. Pozostaje wdzięczność, której sprawdzianem jest gotowość do nawrócenia. Wtedy też odkrywamy właściwy sens utwierdzania braci. Nie chodzi o utwierdzanie ich w przekonaniu o własnej świętości, tylko o wzmocnienie ich determinacji ku nawróceniu i ku wierze, która jest spotkaniem z miłosiernym Jezusem.

Dlatego nie boję się za Jezusem i Piotrem, i Franciszkiem powtórzyć: „bramy piekielne Go nie przemogą”. ©

Wielu ludzi,
którzy nie potrafią
odróżnić przypadłości
od istoty,
ma zamęt w głowie
przez to, że istnieją
różne wspólnoty
i sformułowania Drogi.

BAHA AL-DIN NAKSZBAND

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 III)

8. niedziela zwykła: Syr 27, 4-7; Ps 92; 1 Kor 15, 54b-58; Łk 6, 39-45;
Poniedziałek: Syr 51, 13-20; Ps 16; Flp 3, 8-14; J 15, 9-17;
Wtorek: Syr 35, 1-12; Ps 50; Mk 10, 28-31;
Środa popielcowa: Jl 2, 12-18; Ps 51; 2 Kor 5, 20 – 6, 3; Mt 6, 1-6. 16-18;
Czwartek: Pwt 30, 15-20; Ps 1; Łk 9, 22-25;
Piątek: Iz 58, 1-9a; Ps 51; Mt 9, 14-15;
Sobota: Iz 58, 9b-14; Ps 86; Łk 5, 27-32;
1. niedziela Wielkiego Postu: Pwt 26, 4-10; Ps 91; Rz 10, 8-13; Łk 4, 1-13.

POLSKA-IZRAEL: WYJŚCIE Z OBŁĘDU

W sprawach przeszłości wojennej nie dogadamy się z Izraelczykami, zanim nie dogadamy się sami ze sobą, czyli być może nigdy. Są jednak rejony historii, w których nie musimy się kłócić.

DARIUSZ ROSIAK

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Młodzież izraelska na Marszu Żywych przed byłym obozem Auschwitz-Birkenau, kwiecień 2015 r.

Kocham Polskę", pisał kilka dni temu w „Times of Israel" Yossi Klein Halevi, aktywista społeczny, dziennikarz, autor bestsellerów. Ale jak Żyd może kochać ludzi, którzy ponoć wysysają antysemityzm z mlekiem matki? A Shmuley Boteach, którego „Washington Post" nazywa „najsłynniejszym rabinem w Ameryce", pyta retorycznie: dlaczego izraelski urzędnik państwowy atakuje Polskę cztery dni po tym, jak (ryzykując spór z całą Unią Europejską) stanęła ona ramię w ramię z Izraelem przeciwko Iranowi?

Wszyscy wiedzą dlaczego: bo przecież w kwietniu w Izraelu wybory, a przed wyborami czym ostrzej, tym lepiej. Nie wiem za bardzo na kogo, jeśli nie na Likud, mieliby głosować Izraelczycy, którzy wierzą, że wszyscy Polacy to antysemici. Może na Żydowski Dom Naftalego Bennetta, który jako minister edukacji planuje obowiązkowe zajęcia dla izraelskich uczniów z polskiego antysemityzmu i właśnie sprzymierzył się z partią religijną zapowiadającą wypędzenie z kraju wszystkich nie-Żydów, którzy nie akceptują swojego podrzędnego statusu. Choć, szczerze mówiąc, nie jestem pewny, czy większość wyborców premiera Netanjahu, Bennetta i Israela Katza wie, gdzie leży Polska. Może po jadowitych słowach ministra spraw zagranicznych sprawdzą na mapie.

Następne razy

Źródła z PiS mówią, że polskie władze czekają, aż wybory w Izraelu się odbędą, dopiero po nich powstaną warunki do poprawy stosunków. Do kwietnia może uda się zapomnieć. Może Francuzi znowu pomażą swastykami żydowskie groby, może w Belgii Arabowie znów napadną na Żydów, może sympatycy AfD w Niemczech znów przemaszerują ulicami Drezna, hajlując i wznosząc rasistowskie hasła. Polska ze swoim „wrodzonym antysemityzmem" zniknie na moment z pierwszych stron izraelskich i amerykańskich gazet. Znów będziemy sojusznikiem Izraela. Do następnego razu.

Następne razy będą nie tylko dlatego, że będą następne wybory. Politycy bywają kłamcami, manipulatorami, cynikami, ale zwykle odpowiadają na zapotrzebowanie społeczne. W Izraelu istnieje zapotrzebowanie na stanowczy odpór wobec dzikich polskich antysemitów, u nas politycy chroniący Polaków przed odkryciem, że może jednak nie tylko cierpieliśmy, czasem sprawialiśmy cierpienie innym, zawsze mogą liczyć na głosy poparcia. W obu krajach najwyraźniej nie słabnie apetyt na strzelanie słowami prostymi jak cepy, atrakcyjnymi właśnie dlatego, że nie trzeba bawić się w wymyślne subtelności.

Może polsko-żydowska debata w której centrum stoi pytanie: „Czy Polacy mordowali Żydów w czasie Holokaustu, czy też im pomagali?", jest z gruntu skażona błędem? Może inaczej postawiona kwestia powinna być kluczem do budowania relacji między obu narodami?

Polsko-żydowska licytacja na temat tego, czy Polska to szmalcownicy i mordercy Żydów, czy może raczej siedem tysięcy Sprawiedliwych wśród Narodów, nie ma sensu. Nie dlatego, że historia Holokaustu jest nieważna – jej znaczenie dla obu narodów jest fundamentalne. Nie ma sensu z dwóch powodów. Po pierwsze Polska to zarówno szmalcownicy, jak i Sprawiedliwi. Polska to powojenne podziemie, w którym znajdowały się oddziały mordujące Żydów, i stalinowscy kaci, wśród których obok Polaków i Sowietów była duża grupa Żydów. Polska to komuniści, którzy wygnali Żydów w 1968 r., oraz ci, którzy odprowadzali wygnańców na Dworzec Gdański i po nich płakali. Polska to ci, którzy przepraszali za Jedwabne, i ci jak jedna z członkiń obecnego rządu, która „nie wie, kto mordował Żydów w Kielcach".

Drugi powód jest jeszcze ważniejszy, jeśli szukamy sposobu na przełamanie dotychczasowego schematu. Obie strony zachowują się tak, jakby Holokaust i jego skutki były wszystkim, co łączy, a raczej dzieli Polaków i Żydów. Owszem, przy każdej okazji powtarzamy, że Żydzi w Polsce żyli od setek lat, że Kazimierz Wielki, że żydowscy legioniści Piłsudskiego, że Stanisław Likiernik, Tuwim, Słonimski i Baczyński. Ale to jest jak gra na alibi: na koniec i tak wracamy do alternatywy, w której czujemy się najlepiej i najpewniej: czy Polska to Jacek Międlar, czy może raczej Tomasz Pietrasiewicz z Bramy Grodzkiej?

Jeśli chcemy wyjść z psychologiczno-politycznej spirali niezrozumienia między Polakami a Żydami, której ostatni konflikt był jaskrawym przykładem, musimy szukać innych metod niż stosowane obecnie.

Nie ma miejsca na traumę

W latach 90. wydawało się, że sposobem na porozumienie będzie poznanie prawdy. Polska notowała w tej dziedzinie sukcesy. Zwłaszcza badania powstałego w 2003 r. Centrum Badań nad Zagładą Żydów pokazywały, że Polacy umieją zmierzyć się ze swoją historią w sposób bezkompromisowy. Już wcześniej debata wokół zbrodni w Jedwabnem pokazała, jak wielkim uproszczeniem jest uznawanie Polaków *en bloc* za zwolenników pamięci wybiórczej, w której nie ma miejsca na poszukiwanie bolesnej prawdy.

Problem w tym, że prawda wcale nas nie wyzwoliła. Wręcz przeciwnie: każdej publikacji Jana Tomasza Grossa, Jacka ↦

↦ Leociaka, Barbary Engelking, Jana Grabowskiego i innych badaczy towarzyszy gwałtowna reakcja ich wrogów. Nie krytyków, lecz wrogów właśnie. Im więcej dowiadujemy się o skali wrogości Polaków wobec Żydów w czasie wojny i po wojnie, tym silniej słychać głosy typu: „Przeprosimy za Jedwabne, jak wy przeprosicie za żydowskich morderców z Urzędu Bezpieczeństwa i KBW".

Fakty się nie liczą, ponieważ w tego typu dyskusjach nie chodzi o fakty, tylko o emocje. Nawiasem mówiąc, wyrażane przez niektórych autorów i komentatorów dzieł rewidujących historię stosunków polsko-żydowskich przekonanie o całkowitej ich nieomylności też nie służy sprawie. W każdym opracowaniu historycznym mogą pojawić się błędy i tezy dyskusyjne (na przykład teza Grabowskiego, że z opracowań Szymona Datnera wynika, iż Polacy w czasie wojny zabili 200 tys. Żydów). Ich wymowa może budzić wątpliwości, które nie zawsze są przejawem złej woli czytelnika. Tymczasem w Polsce publikacje na temat historii polsko-żydowskiej stają się zwykle wezwaniem do stoczenia kolejnej bitwy w nieustannej wojnie między tymi, którzy „oczerniają naród polski", a ich przeciwnikami, którzy „wybielają polską historię".

Pamiętać trzeba, że dla wielu Polaków książki Grossa czy innych badaczy tego tematu stanowią powód do poważnej traumy, rewizja myślenia o własnej tożsamości, zwłaszcza podejmowana w dobrej wierze, jest zadaniem niezmiernie trudnym i bolesnym. Przydałoby się odrobinę miejsca dla ludzi, którzy podejmują takie zadanie, ale od kiedy relacje polsko-żydowskie stały się elementem wojny polsko-polskiej (czyli od początku wolnej Polski), takiej przestrzeni nie ma i trudno oczekiwać, że nagle się pojawi.

Sposób na zastraszenie

Piszę dotąd głównie o Polakach, bo jestem Polakiem i bardziej interesuje mnie nasza część polsko-żydowskiego równania. Jednak odpowiedzialność za obecny kryzys leży po obu stronach. W obu krajach władzę sprawują nacjonalistyczne rządy, które historię uważają za funkcję aktualnej polityki i nie widzą powodu, by to zmieniać.

Wbrew oficjalnej izraelskiej retoryce, która Zagładę każe traktować jako wydarzenie unikalne w historii świata, słowo i pojęcie Szoa są od dawna używane w sposób instrumentalny. Kilka lat temu Beniamin Netanjahu sugerował, że zamierzeniem Hitlera nie było wymordowanie Żydów, skłonił go do tego wielki mufti Jerozolimy. Holokaust przywoływany jest przez izraelskich polityków (i nie tylko – to samo zrobił niedawno wiceprezydent Mike Pence strasząc Holokaustem przygotowywanym Izraelowi przez Iran), którym zależy na wywołaniu wśród Izraelczyków poczucia zagrożenia i przekonania, że Żydzi mogą funkcjonować w świecie tylko w jednej z dwóch ról: ofiary albo sprawcy cierpienia innych. Do prowadzenia takiej polityki „wyssany z mlekiem matki" antysemityzm Polaków jest idealnym paliwem.

Nie tylko polscy komentatorzy zwracają uwagę, że atakowanie Polski przez Izrael po konferencji bliskowschodniej jest absurdalne z punktu widzenia jego własnych interesów. Polska rzeczywiście pozostaje jednym z najlepszych sojuszników Izraela w Europie, nie ma u nas znaczącej siły politycznej krytykującej politykę obecnego rządu Netanjahu wobec Palestyńczyków.

Nie, żeby taka krytyka była zbędna – może nasza polityczna bierność wobec Bliskiego Wschodu wynika z braku zainteresowania, może z braku kompetencji. Tak czy siak, nie ma u nas wezwań do bojkotu izraelskich towarów, rozwijamy współpracę wojskową, gospodarczą, technologiczną. W 2017 roku do Polski przyjechało 250 tys. Izraelczyków, z których trzy czwarte to nie uczniowie odwiedzający dawne obozy koncentracyjne. Może mi coś umknęło, ale w ostatnich latach nie słyszałem o aktach nie tylko przemocy, ale nawet otwartej wrogości wobec Izraelczyków w Polsce. Żydzi w Polsce są bezpieczni, w przeciwieństwie do przedstawicieli niektórych innych krajów. W Wielkiej Brytanii kilku posłów właśnie wystąpiło z Partii Pracy w proteście przeciwko, jak uznali, systemowemu antysemityzmowi jej kierownictwa. We Francji aktywiści w żółtych kamizelkach obrzucili wyzwiskami jednego z najpopularniejszych filozofów w kraju, z pochodzenia Żyda, który, nawiasem mówiąc, jest stanowczym krytykiem polityki Izraela.

Podejście Izraelczyków do Niemiec zasługuje na oddzielny opis. Na hipokryzję cechującą te stosunki zwrócił niedawno uwagę w „Rzeczpospolitej" Eldad Beck, korespondent gazety „Israel Hayom" w Berlinie: „Izraelscy politycy niemal całkowicie przemilczają fakty, że to Niemcy, które są odpowiedzialne za Holokaust, systematycznie głosują na forach ONZ przeciwko państwu żydowskiemu, finansowo i politycznie wspierają inicjatywy i organizacje, które pracują nad oczernianiem wizerunku Izraela na świecie, i promują działania ruchu BDS, którego celem jest wymazanie państwa żydowskiego z mapy, oraz że Polska wspiera Izrael na forum ONZ i w Unii Europejskiej, nie finansuje antyizraelskich organizacji i nie nagradza ich, nie uprawia też hipokryzji w sprawie BDS".

Polska dyplomacja, ze wszystkimi jej wadami, potrafi co najmniej w kilku miejscach na świecie reprezentować państwo w sposób godny i kompetentny. Marek Magierowski, ambasador w Izraelu, Jakub Kumoch, ambasador w Szwajcarii, to dyplomaci, którzy w trudnych warunkach wytrwale i skutecznie pracują nad zmianą wizerunku Polski jako kraju, w którym rodzą się sami antysemici.

Powtarzalne szaleństwo

Upieram się jednak, że paliwa napędzającego antypolskie wypowiedzi w rodzaju ostatniego wystąpienia ministra Katza nie da się ugasić przy pomocy stosowanych dotąd środków. Wydawane w Polsce książki na temat haniebnych zachowań Polaków, owszem, mogą wzbudzać w wąskich środowiskach uznanie wobec współczesnej Polski, ale tylko w gronie osób, które i tak gotowe są do dialogu. W Izraelu czy Stanach Zjednoczonych większym zainteresowaniem cieszą się wrogie reakcje wobec tych autorów i ich publikacji.

Polityczno-historyczne inicjatywy obecnych polskich władz wpisują się dokładnie we wcześniej przedstawiony schemat: chodzi o to, by – nawet jeśli jest to wbrew wiedzy historycznej – wykazać, że zdecydowana większość Polaków w czasie wojny ratowała Żydów, i atakować każdego, kto nie zgadza się z tą tezą. I tak w listopadzie 2017 r. premier Morawiecki ku konsternacji Izraelczyków i Żydów z innych krajów wnioskuje, by cały polski naród otrzymał drzewko w Yad Vashem. Zatrudnienie mistrza od PR Jonny'ego Danielsa ma potwierdzić dobre intencje rządu – w końcu nasz punkt widzenia miał promować Żyd. Jedną z bardziej kuriozalnych inicjatyw zrealizowanych przy tej okazji była konferencja „Pamięć i tożsamość", zorganizowana w porozumieniu

z ojcem Rydzykiem, w którego mediach od lat pojawiają się treści jawnie antysemickie.

W styczniu 2018 r. dobija nas niesławna nowelizacja ustawy o IPN, odczytana powszechnie wśród Żydów jako próba zakneblowania ust krytykom postaw Polaków wobec Żydów w czasie Holokaustu i po nim. Ustawa w zasadzie cofnęła i tak mizerne postępy we wzajemnym rozumieniu podejścia do wojny i cierpienia obu narodów o kilkadziesiąt lat. Po wycofaniu się rządu z nowelizacji podpisana zostaje polsko-izraelska deklaracja, uznana zresztą przez instytut Yad Vashem za opartą na kłamstwach historycznych. Ile była warta i ile warte były polskie starania, by owa deklaracja stała się podstawą sojuszu polsko-izraelskiego, dowiedzieliśmy się po zakończeniu konferencji bliskowschodniej.

Dziś cokolwiek zrobiłby polski rząd w związku z historią polsko-żydowską, obarczone jest ryzykiem eksplozji. Muzeum Getta Warszawskiego – planowane otwarcie w roku 2023 – już teraz postrzegane jest przez niektórych izraelskich historyków jako kolejna próba manipulowania historią, a jego współdyrektor, izraelski historyk Daniel Blatman, uznawany jest przez niektórych izraelskich komentatorów za zdrajcę Żydów i narzędzie polskich rewizjonistów historycznych.

Według słynnej definicji Einsteina szaleństwo polega na powtarzaniu tej samej czynności w oczekiwaniu, że za którymś razem rezultat będzie inny. Obecne stosunki polsko-izraelskie spełniają warunki tej definicji.

Skręt w stronę syjonizmu

Jak wyjść z tego obłędu? Możemy próbować do skutku – w gruncie rzeczy nie mamy wiele innych możliwości – licząc na to, że orka w ludzkiej świadomości wcześniej czy później jednak coś zmieni. Do tego potrzebna jest determinacja po obu stronach, której pokłady nie są przecież niewyczerpane. Dlatego należy także szukać alternatyw.

Philip Steele, amerykański historyk mieszkający od lat w Polsce, autor bestsellera o nawróceniu i chrzcie Mieszka I, a także specjalista od syjonizmu chrześcijańskiego, ma pomysł. Nie, nie chodzi o hasło „wybierzmy przyszłość". W krajach takich jak Polska czy Izrael nie można wybrać przyszłości zapominając o przeszłości. Wcześniej czy później nas

Według słynnej definicji Einsteina **szaleństwo polega na powtarzaniu tej samej czynności** w oczekiwaniu, że za którymś razem rezultat będzie inny. Obecne stosunki polsko-izraelskie spełniają warunki tej definicji.

dopadnie. Musimy nieustannie mierzyć się z mitem „Polaka ratującego Żydów" jako rozpowszechnionej postawy wojennej, z winą za pogromy w czasie wojny i po niej oraz akceptowanie do dziś postaw i wypowiedzi antysemickich choćby w polskim Kościele. Ale te rzeczy nie muszą być treścią naszych uzgodnień z Izraelem. Proponuję przyjąć roboczą tezę, że w tych sprawach nie dogadamy się z Izraelczykami, zanim nie dogadamy się sami ze sobą. W tych sprawach z Izraelczykami możemy się co najwyżej pokłócić. Jak zwykle.

Są jednak rejony historii, w których nie musimy się kłócić – i tu wracam do propozycji Philipa Steele'a. Polska jest miejscem, w którym narodził się syjonizm, najbardziej skuteczna idea polityczna narodu żydowskiego. Ojcowie nowoczesnego Izraela działali na terenie dzisiejszej Polski: rabin Cwi Hirsz Kaliszer z Torunia, rabin Samuel Mohylewer z Białegostoku, Nahum Sokołów z Płocka, Dawid Gordon z Ełku. Jak przypomniał Steele niedawno w tekście dla „The Times of Israel", cała polityczna lewica w Izraelu widzi swojego patrona w Ben Gurionie, polskim Żydzie z Płońska, tak jak polityczna prawica w Menachemie Beginie, absolwencie prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Ze'ew Żabotyński jeździł do Polski, żeby przyglądać się, jak powstaje II RP – państwo, które po latach niewoli buduje nowe instytucje, infrastrukturę, edukację, symbolikę i kulturę. Podobało mu się.

Syjonizm, którego efektem było utworzenie państwa Izrael, to najważniejsze obok Holokaustu wydarzenie we współczesnej historii Żydów. Dziś, jak zauważa Steele, na wielu polskich uczelniach mamy placówki uczące o Holokauście, niemal nikt nie zajmuje się syjonizmem.

M.in. z inicjatywy Philipa Steele'a odbywa się w Płońsku doroczny festiwal poświęcony pamięci „ojca narodu" Dawida Ben Guriona. Białystok, Ełk, Suwałki, Katowice, Toruń, Płock – w każdym z tych miejsc miały miejsce wydarzenia związane z historią syjonizmu, a zatem z historią, która w przeciwieństwie do historii sztetla jest opowieścią o wielkim sukcesie polskiego żydostwa i wielkim sukcesie Izraela. Każde może stać się nowym centrum pamięci o Polsce jako ojczyźnie ojców założycieli współczesnego Izraela. Czy dwa nacjonalistyczne rządy sprawujące obecnie władzę w obu krajach mogłyby wymarzyć sobie lepszy teren do porozumienia?

Cofam to ostatnie zdanie. Lepiej niech rządy w to nie wchodzą. Lepiej niech zajmą się tym zwykli ludzie, czujący potrzebę rozerwania spirali szaleństwa, która kręci się od lat wokół Polski i Izraela. Nie wątpię, że takich jest wielu. Oczywiście rząd musi wyasygnować środki na wsparcie inicjatyw obywatelskich, ale iskra powinna pojawić się poza schematem politycznym.

Wzór już istnieje: dziś Polska, w której trzydzieści lat temu nie było ani Żydów, ani ich opowieści, jest ośrodkiem renesansu żydowskiej kultury. Zróbmy w takim razie coś więcej, co opowiada o dwóch nowoczesnych, sprawnych demokracjach, które – chcą tego czy nie – skazane są na siebie właśnie ze względu na historię.

Nie mamy wyjścia. Nie ma też pewności, czy „*pivot* [skręt – red.] w stronę syjonizmu", jak nazywa swoją propozycję Philip Steele, zadziała. Jednak musimy przynajmniej spróbować poszerzyć sferę dialogu (dwóch monologów?), który prowadzimy z Izraelem i Żydami, o tematy, które nie dotyczą Holokaustu.

Inaczej ten obłęd będzie trwał i niszczył oba nasze narody. © DARIUSZ ROSIAK

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

JAKUB MEJER, autor korespondencji z wyspy Lesbos (s. 46), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 27 lutego o godz. 15.40

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Tajne państwo z kartonu

MARCIN MATCZAK

Człowiek, który ścigał tajny układ, sam w takim układzie działa, i w polityce, i w biznesie. Prezes Kaczyński, który uznaje za prawdziwą władzę jedynie władzę ukrytą, takiej władzy zapragnął.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Jarosław Kaczyński i Mariusz Błaszczak, Sejm, styczeń 2019 r.

Od wielu lat słyszymy w Polsce o istnieniu układu. Termin został spopularyzowany przez Jarosława Kaczyńskiego w latach 2005-07 i był teorią spiskową, zgodnie z którą o losach Polski decyduje układ złożony z ludzi biznesu i służb specjalnych, a oficjalna struktura władzy jest dla niego tylko przykrywką. Teoria układu robi furorę wśród tych, których osobowościowy profil jest oparty na głębokiej nieufności do świata. Stanowi wygodny mechanizm likwidowania dysonansu poznawczego. Czyż jest bowiem bardziej przekonujące wytłumaczenie każdej porażki, osobistej czy politycznej, niż zwalenie winy na układ? Nie dość, że wytłumaczenie takie usprawiedliwia każde niepowodzenie, to jeszcze świadczy o poznawczej przenikliwości człowieka, który je formułuje – jest więc idealne.

Gry pozorów

Przekonanie o istnieniu układu, jak każda teoria spiskowa, zakłada, że rzeczywistość jest na tyle prosta, iż ktoś może nią skutecznie sterować, pociągając za wszystkie sznurki i dodatkowo utrzymać to w całkowitej tajemnicy przed społeczeństwem. Przekonanie o istnieniu wszechmogącego, wieloosobowego i nieujawniającego się demiurga nie jest jednak dowodem przenikliwości. Jest raczej dowodem braku świadomości, jak złożona jest rzeczywistość, jak różnorodne motywacje mają ludzie, którzy musieliby w idealnej zgodzie współpracować przez lata, aby taką ukrytą strukturę stworzyć i nią zarządzać. Teza o istnieniu tajnego państwa więcej mówi zatem o osobie, która ją głosi, niż o rzeczywistości.

Myślenie układem jest mimo to myślą przewodnią narracji prowadzonej przez polską prawicę. Ustalenia Okrągłego Stołu nie były według tego instytucjonalną umową społeczną, która pozwoliła Polakom bez rewolucji przejść od totalitaryzmu do demokracji. Były „tajnym układem komunistów i ich agentów" – jak, obrażając pamięć wielu porządnych i zasłużonych dla Rzeczypospolitej ludzi, powiedział ostatnio Andrzej Zybertowicz. Konstytucja z 1997 r., w szczególności zawarta w niej zasada demokratycznego państwa prawnego, nie jest godną szacunku podstawą działań instytucji państwowych, ale „trikiem chroniącym interesy postkomunistów". Wyprowadzana z zasady demokratycznego państwa prawnego zasada ochrony praw nabytych rzekomo chroniła w latach 90. *status quo* wytworzone na skutek rozkradzenia publicznego majątku. Instytucje takie jak Trybunał Konstytucyjny czy Sąd Najwyższy także nie są w rozumieniu zwolenników teorii układu tym, czym są. W 2006 r. Trybunał, a w 2016 r. Sąd Najwyższy zostały przecież oskarżone przez PiS o realizację ukrytych interesów postkomunistycznego układu.

Oskarżenie o układ jest myślą przewodnią polityki Prawa i Sprawiedliwości: nic nie jest takie, jakie się wydaje, oficjalny wymiar instytucji to zasłona dymna dla prawdziwej gry interesów. Ten, kto wierzy w instytucje, jest co najwyżej pożytecznym idiotą, bo „mądrzy ludzie wiedzą, że instytucje to tylko gra pozorów".

Fantasmagoria, wedle której poza oficjalnymi instytucjami istnieje grupa ludzi trzymających prawdziwą władzę, ma

poważne skutki dla myślenia o państwie rzeczywistym. Prowadzi do lekceważenia oficjalnych instytucji państwa. Nie ma się przecież prawdziwej władzy wtedy, kiedy ma się oficjalną władzę instytucjonalną. Instytucje są tylko przykrywką dla prawdziwej władzy, są i narzędziami, i przedmiotami manipulacji, więc nie trzeba się nimi przejmować. Orędownicy istnienia układu wyznają zatem zasadę, że z tajnym układem władzy można walczyć tylko jego własną bronią: grą pozorów. Skoro prawdziwa władza to niewidoczny dla gołego oka układ, aby ją mieć, trzeba podobny układ stworzyć.

Taką tezę potwierdzają działania PiS w ostatnich latach. Od 2015 r. partia obsadza stanowiska instytucjonalne ludźmi, którzy nie mają sprawować realnej, instytucjonalnej władzy. W opinii publicznej, zilustrowanej doskonale scenami z „Ucha prezesa", prezydent RP jest w swoich decyzjach całkowicie uzależniony politycznie od woli Jarosława Kaczyńskiego i z tego powodu lekceważony. Premierzy rządu RP – Beata Szydło i Mateusz Morawiecki – są także postrzegani jako osoby nie w pełni decyzyjne. Taki jest odbiór społeczny relacji między osobami pełniącymi władzę instytucjonalną a Kaczyńskim. Zgodnie z tym odbiorem prezes – nie pełniąc żadnej funkcji władczej – kieruje działaniami oficjalnych polskich instytucji z tylnego siedzenia.

Manipulacja jest przemocą

Opublikowane przez „Gazetę Wyborczą" taśmy pokazują, że dokładnie taki sam system sprawowania władzy prezes Kaczyński stosuje w biznesie. Nie pełni on żadnej oficjalnej funkcji w spółce Srebrna. Jest tylko członkiem Rady Programowej właściciela Srebrnej: Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego. Nie ma zatem prawa nawet reprezentować tego Instytutu, a tylko go nadzorować, nie mówiąc już o reprezentowaniu samej spółki, a jednak prowadzi w jej imieniu negocjacje.

Podobnie jak w polityce, w biznesie prezes Kaczyński preferuje zatem układ dwupoziomowy – oficjalne instytucje, takie jak zarządy spółek, stanowią tylko pierwszy, pozorny element całej układanki. Ważniejszy jest drugi, realny poziom władzy, sprawowany przez Kaczyńskiego. Na tym poziomie może on mówić: „ta praca była wykonana dla nas", mając na myśli pracę oficjalnie wykonaną dla podmiotów występujących na pierwszym poziomie.

Lekceważenie oficjalnych instytucji, zarówno na poziomie politycznym, jak i na poziomie biznesowym, prowadzi do opłakanych skutków. Zamiast przejrzystych relacji instytucjonalnych buduje się nietransparentne relacje osobiste. Zamiast uniwersalnych i obiektywnych reguł promuje się partykularne interesy i subiektywnych ludzi.

Tym samym zawraca się z drogi, którą już dawno obrała cywilizacja zachodnia, która nie na ludziach, ale na instytucjach rozumianych jako zbiory przejrzystych reguł buduje państwa.

Instytucje są narzędziem przezwyciężania ludzkich wad i ograniczeń. Spółkę wymyślono dlatego, że prowadzenie biznesu przez konkretnego człowieka może trwać tylko tak długo, jak długo trwa jego życie. Instytucja spółki pozwala przezwyciężyć to ograniczenie. Spółka istnieje dłużej, niż żyje człowiek, umowa trwa dłużej niż wypowiedziane słowo, prawo obowiązuje dłużej niż pojedynczy rozkaz. Jako człowiek decyduję według mojego interesu, jako przedstawiciel instytucji decyduję w interesie instytucji – czasami wbrew mojemu interesowi. Instytucje są więc bezosobowe i ponadludzkie, są oparte na niezależnych regułach, których pojedynczy człowiek nie może według swej woli zmienić.

Lekceważenie instytucji jest dla nich zabójcze, bo instytucje są faktami społecznymi opartymi na zaufaniu – istnieją tylko dlatego, że w ich działanie wierzymy i je respektujemy. Instytucja pieniądza ma sens tylko wtedy, kiedy ludzie ufają, że za bezwartościowy materialnie kawałek papieru, wydany przez bank centralny, będą mogli nabywać konkretne rzeczy mające wartość materialną. Kiedy to zaufanie upada, upada instytucja – doświadczamy tego zjawiska w krajach, które przechodzą głęboki kryzys ekonomiczny. W takich krajach oficjalną walutę zastępuje często inna forma pieniądza: taka, której ludzie ufają. To potwierdza, że instytucje istnieją tylko wtedy, kiedy ludzie je szanują.

Ktoś, kto nie ufa instytucjom, lekceważy je czy nimi pogardza, musi działać poza regułami te instytucje tworzącymi – musi działać bez żadnego trybu. PiS nie ufa instytucjom, bo ufa tylko ludziom, i to swoim ludziom. Tworzy porządek ponad i poza porządkiem instytucjonalnym. Niby funkcjonują niezależny Trybunał Konstytucyjny i służąca interesowi publicznemu prokuratura. Ale jednocześnie politycy tajnie spotykają się z sędziami w siedzibie TK, w czasie gdy ten rozpatruje ważne dla nich sprawy, a prezes Kaczyński odwiedza prokuratora generalnego, gdy podległa mu prokuratura prowadzi sprawę dotyczącą prezesa osobiście. Instytucje nie mają więc znaczenia, a ich rozmontowanie daje konkretnym ludziom nieograniczoną wolność w działaniu. Zawsze można zmienić zdanie, zawsze można pogadać z człowiekiem, zawsze można nagiąć regułę. Takie działanie jest oszustwem: korzystam z mocy instytucji, kiedy jest to dla mnie wygodne, jestem natomiast pozbawiony ograniczeń, kiedy mnie krępują, bo mogę to skrępowanie zlekceważyć.

Taka pogarda dla instytucji jest w rzeczywistości pogardą dla społeczeństwa. Dla jego zdolności do samodzielnego ↦

POŻEGNANIE

Panu Edwardowi Miszczakowi
oraz jego Synom Szymonowi i Szczepanowi
serdeczne wyrazy współczucia

z powodu śmierci Żony i Matki

Ś.† P.

Małgorzaty

składają

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"
oraz Fundacji Tygodnika Powszechnego

decydowania o sobie, dla decydowania ludzi o sobie samych. Zawarta umowa czy uchwalone prawo jest w normalnym państwie podstawą dla zaufania. Poważne traktowanie instytucji pozwala na sterowanie naszym życiem, planowanie i realizację planów.

Tworzenie poza instytucjami drugiego układu decyzyjnego jest przemocą. Jest także wyrazem jakiejś głębokiej skazy na psychice tego, który manipuluje: wyrazem przekonania, że ktoś chce manipulować nim. Manipulujący sam musi więc manipulować, zacierać ślady i mylić trop. Nikt nie może wiedzieć, do czego dąży. Jeśli nikt nie będzie wiedział, nikt nie zdoła go oszukać.

Prędzej czy później prowadzi to do katastrofy. Ludzie, którym, jak się zdawało, można było ufać, wyłamują się z układu, czyli, w rozumieniu jego twórcy, zdradzają, na przykład przez nagrywanie rozmów i przekazanie ich prasie. Pozostaje wtedy niedowierzanie, że społeczeństwo, które dowiaduje się o tym drugim poziomie spraw, uzna go za niedopuszczalny i stawia oskarżenia.

Rozkład układu

Sprawa nagrań Kaczyńskiego spowodowała co najmniej kilka doniesień do prokuratury. Wszystkie zarzuty stawiane w tych doniesieniach, nie przesądzając ich zasadności, oparte są na przekonaniu o braku przejrzystości i wykorzystywaniu instytucji do własnych, ukrytych celów.

Oskarżenie o oszustwo, sformułowane przez pełnomocników Geralda Birgfellnera, jest oparte na twierdzeniu, że Jarosław Kaczyński wykorzystał zaufanie osobiste i relację rodzinną z ich klientem, zachęcając go do pracy dla spółki Srebrna, a jednocześnie – ponieważ działał poza oficjalnymi instytucjonalnymi regułami (nie reprezentował oficjalnie spółki) – mógł się następnie z relacji biznesowej w dogodnym dla siebie momencie wycofać. Nie mógłby tego zrobić, gdyby działał oficjalnie i zawarł normalną, przewidzianą przez instytucje prawa cywilnego umowę.

Drugie oskarżenie, sformułowane przez posłów Platformy Obywatelskiej, także jest związane z manipulowaniem oficjalnymi instytucjami. Zarzut oszustwa sądowego, zarzut wprowadzenia w błąd sądu, aby ten dokonał rozstrzygnięcia, w efekcie którego jakiś podmiot (w tym przypadku spółka Srebrna) poniesie szkodę rozporządzając w wyniku zmanipulowanej decyzji sądu swoim majątkiem. To rozporządzenie miałoby polegać na zapłaceniu długu, którego normalne zapłacenie byłoby wyprowadzeniem pieniędzy ze spółki, a więc, zgodnie ze słowami samego Kaczyńskiego – powszechnym w Polsce przestępstwem. Wprowadzeniem w błąd sądu miałoby być natomiast sformułowana przez Kaczyńskiego propozycja skierowania sprawy płatności za prace Birgfellnera na drogę sądową, mimo nieistnienia rzeczywistego sporu (Kaczyński mówi przecież, że wykonanych prac nie kwestionuje).

Trzecie doniesienie do prokuratury jest oparte na podejrzeniu przestępstwa płatnej protekcji. Złożył je Ryszard Petru, który twierdzi, że działania Kaczyńskiego były – jak czytamy w odpowiednim artykule kodeksu karnego – powoływaniem się na wpływy w instytucji państwowej bądź wywołaniem lub utwierdzeniem w przekonaniu o istnieniu takich wpływów, oraz podjęciem się pośrednictwa w załatwieniu sprawy w zamian za korzyść finansową lub osobistą. Słowa klucze w opisie zarzucanego przestępstwa są następujące: „instytucje", „wpływy", „załatwienie", „korzyść". A więc znów mamy tu podejrzenie o manipulację instytucjami państwa (być może sądami albo władzą samorządową po wygranych wyborach w Warszawie), dzięki posiadaniu wpływów (tajne państwo) w celu osiągnięcia korzyści finansowej (przychody z najmu wież) bądź osobistej (upamiętnienie brata).

Podkreślmy jeszcze raz – nie rozstrzygamy, czy powyższe zarzuty są zasadne, bo od tego są takie instytucje jak prokuratura i sądy, które będą w tej sprawie, miejmy nadzieję, działać oficjalnie i bezstronnie. Pokazujemy jedynie, że wszystkie te oskarżenia wynikają z lekceważenia instytucji i będącej skutkiem tego lekceważenia ogromnej nieprzejrzystości w działaniach Kaczyńskiego.

Doświadczenie ostatnich trzech lat oraz nagrania opublikowane przez „Gazetę Wyborczą" pokazują, że człowiek – wydawałoby się – najbardziej przekonany o istnieniu drugiego dna w polityce i biznesie okazuje się głównym twórcą tego drugiego dna w swojej aktywności. Ten, który ściga tajny układ, w którym pod płaszczykiem oficjalności załatwiane miały być prawdziwe polityczne i biznesowe interesy, sam w najlepsze w takim dwupoziomowym układzie działa: i w polityce, i w biznesie. Prezes Kaczyński, od zawsze oskarżający kogoś innego o sprawowanie tajnej kontroli nad działaniami innych osób, sam taką kontrolę sprawuje. Prawdopodobnie ktoś, kto uznaje za prawdziwą władzę jedynie władzę ukrytą, niewidoczną dla ludzkiego oka, sam takiej prawdziwej władzy zapragnął.

W działaniach rzekomo wszechmocnego układu, trzęsącego polską polityką, widać jednak zadziwiająco dużo amatorszczyzny. Państwo na tym drugim, głębszym poziomie nie potrafi zadbać o swoją tajność – rozmowy i negocjacje, które nigdy nie miały ujrzeć dziennego światła, zostają kilkanaście razy nagrane, a następnie udostępnione opinii publicznej.

Potwierdza się teza, że istnienie tajnego układu jest niemożliwe. Zbyt dużo elementów i zbyt wiele osób trzeba by kontrolować, aby taki układ działał. Tajne, ukryte państwo okazuje więc państwem teoretycznym, żeby nie powiedzieć – państwem z kartonu. Jedyny realny wpływ przekonania o jego istnieniu na naszą rzeczywistość to upadek oficjalnych instytucji i ogromna nieprzejrzystość w życiu publicznym, które cofają nas w budowaniu prawdziwego państwa o kilkanaście lat.

© MARCIN MATCZAK

Autor jest prawnikiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, autorem wydanej niedawno książki „Imperium tekstu. Prawo jako postulowanie i urzeczywistnianie świata możliwego" (Scholar 2018).

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 230/18 postępowanie z wniosku Krystyny Andrzejewskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Walentynie Szymkowiak, zm. 23 listopada 1974 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. W skład spadku po zmarłej wchodzi udział w prawie własności nieruchomości o pow. 2,38,11 ha.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

EKRAN TVP1

„Sanatorium miłości", reality show TVP1. Kadr z odcinka III

W imię oglądalności

ANNA GOLUS

Śmierć uczestnika emitowanego przez telewizję publiczną reality show prowokuje pytanie: czy bohaterowie podobnych programów wiedzą, w czym biorą udział?

Cezary Mocek, występujący w pokazywanym przez TVP1 „Sanatorium miłości", umarł w ubiegły wtorek. O śmierci 67-latka poinformowano na facebookowym profilu programu, zaznaczając, iż nastąpiła ona „w wyniku nagłej choroby". TVP przekazała portalowi Wirtualnemedia.pl informację, że emisja programu nie zostanie wstrzymana – pozostałe, nagrane wcześniej odcinki zostaną wyemitowane zgodnie z planem, a ponadto TVP „przygotuje materiał wspomnieniowy o śp. Cezarym Mocku, który przywoła niezapomniane chwile w programie z Jego udziałem". Ponieważ decyzja ta została podjęta „w zgodzie i w porozumieniu z rodziną", Telewizja Polska nie ma sobie nic do zarzucenia.

Misyjny szpagat

„Sanatorium miłości" to kolejne po emitowanym od 2014 r. programie „Rolnik szuka żony" matrymonialne *reality show*, zapewne mające realizować misję promocji wartości rodzinnych i związków heteroseksualnych. Wedle deklaracji twórców miało ono przeciwdziałać dyskryminacji osób starszych i „pokazać jesień życia w barwny i ciepły sposób, podkreślając wartość oraz godność człowieka bez względu na jego wiek". W praktyce program koncentruje się jednak na szukaniu partnera i nachalnym reklamowaniu suplementów diety – tak jakby wartość i godność człowieka była uzależniona od tego, czy znajduje się on w stałym związku. Na początku każdego odcinka prowadząca Marta Manowska mówi o uczestnikach: „Są inteligentni, pogodni i znacznie młodsi duchem niż metryką. Łączy ich zmora dojrzałego wieku – samotność. Największym marzeniem każdego z tej dwunastki cudownych seniorów jest prawdziwa, dojrzała i wielka miłość".

W programie bierze udział sześciu mężczyzn i sześć kobiet – w wieku powyżej 60 lat, ale w większości rzeczywiście młodych nie tylko duchem, ale nawet ciałem. Np. jedna z pań zrobiła szpagat, czekając na wizytę u lekarza w sanatorium, a jeden z panów uprawia kolarstwo szosowe i zdobywa medale na mistrzostwach Polski. Niektórzy mają problemy zdrowotne (o czym widzowie wiedzą, bo kamera zagląda również do sanatoryjnych gabinetów lekarskich i rejestruje np. echo serca), ale zwykle niewpływające w znaczącym stopniu na jakość ich życia i sprawność fizyczną.

Realizm gwarantowany

Wyjątkiem był Cezary Mocek, którego znacznie mniejsza niż u pozostałych wydolność fizyczna była widoczna nawet bez informacji, które sam podawał i które zostały wmontowane do programu (m.in. że przeszedł operację serca, ma „zły dopływ krwi do dolnych partii nóg" i stale przyjmuje różne leki). Trudno w związku z tym nie zapytać, czy zadania i atrakcje przygotowane dla uczestników nie były ponad jego siły?

Oprócz zajęć dobranych przez pracowników sanatorium indywidualnie dla każdego z uczestników, występujący w tym programie seniorzy musieli bowiem podejmować także wiele aktywności narzuconych przez realizatorów i służących ↦

uatrakcyjnieniu programu. Już w pierwszym odcinku mieli przejść z walizkami lub torbami spory kawałek z wyznaczonego miejsca do czekających na nich samochodów marki Nysa (różowego dla pań, niebieskiego dla panów) – po to tylko, by widzowie mogli ich sobie obejrzeć.

Pan Cezary większości tej trasy nie pokonał. Nie dał również rady ćwiczyć zumby ani tańczyć salsy, nie poradził sobie w parku linowym, nie brał udziału w grze paintball, przewrócił się, schodząc z konia. W czterech z pięciu wyemitowanych dotychczas odcinków (przedstawiających kolejne dni pobytu w sanatorium) stawiano przed nim zadania, których z przyczyn zdrowotnych nie miał szans wykonać, a w tym jedynym odcinku, w którym nie musiał podejmować wysiłku przekraczającego jego możliwości, postawiono go w sytuacji będącej źródłem stresu. Gdy uczestnicy mieli malować nawzajem swoje portrety, pan Cezary – wyraźnie wyprowadzony z równowagi – mówił, że jego wnuczek maluje lepiej niż on, i że nie można proponować takich czynności komuś, kto ma „dwie lewe ręce". Można założyć, że kolejne dni wyglądały podobnie.

Dlaczego Telewizja Polska, chcąc udowodnić, że seniorzy mogą szukać miłości nie tylko do „różańca", ale również do tańca w gorących latynoamerykańskich rytmach, do zumby, jazdy konnej, paintballa czy randek w parku linowym, nie dobrała uczestników tak, by każdy mógł stanąć na wysokości tego zadania? Być może założono, że udział uczestnika, który wyraźnie odstaje od reszty, gwarantuje „realizm" (wiadomo przecież, że starsi ludzie często borykają się z problemami zdrowotnymi skutkującymi obniżoną sprawnością). Teraz zaś, gdy pan Cezary umarł „w wyniku nagłej choroby", okazuje się, że TVP nie tylko nie zrezygnuje z oglądalności oraz zysków z reklam, lecz przeciwnie, zwiększy je, przygotowując dodatkowy materiał o zmarłym.

Dla widza atrakcją są prawdziwe emocje uczestników nie zawsze do końca świadomych, w czym wezmą udział.

Godność w słupkach

„Wierzymy, iż udział śp. Cezarego Mocka w programie »Sanatorium Miłości« dostarczył Mu wielu wspaniałych wzruszeń, pozwolił nawiązać liczne przyjaźnie i poczuć ogromną sympatię widzów" – zapewnia TVP. Premiera programu miała miejsce 20 stycznia, więc sympatię widzów Mocek mógł odczuwać przez niespełna miesiąc, a zdjęcia rozpoczęły się niewiele wcześniej, więc jakiekolwiek przyjaźnie mogły trwać najwyżej kilka tygodni. Jeśli natomiast chodzi o wzruszenia, to niewątpliwie pan Cezary doświadczył ich w „Sanatorium miłości" aż nadto. Nie trzeba być lekarzem, by wiedzieć, że nadmierny wysiłek i stres nie poprawiają stanu zdrowia chorych na serce.

TVP może twierdzić, że program nie ma nic wspólnego z tragedią, zapewniając, że pan Cezary świadomie wyraził zgodę na udział i być może nawet od początku wiedział, że wielu zadaniom nie podoła. Z naciskiem na „być może": każdy, kto analizuje podobne programy telewizyjne, wie, że jednym z ich głównych elementów są – stanowiące atrakcję dla widzów – prawdziwe emocje uczestników (które trzeba najpierw wzbudzić). I że w związku z tym nie zawsze są oni do końca świadomi, w czym wezmą udział (fakt, że Cezary Mocek nie pamiętał, jakie leki przyjmuje, i zapominał najprostszych słów – czego dowody postanowiono wmontować w program – nie musi mieć w tym kontekście znaczenia, ale z pewnością wzmacnia tylko wątpliwości).

Gdyby twórcy naprawdę chcieli pokazać „wartość oraz godność człowieka bez względu na jego wiek", skonstruowaliby scenariusz programu tak, by kolejne jego „wyzwania" nie stanowiły pretekstu do wykluczania jednego z uczestników. A już po tragedii uderzyliby się w piersi, przyznali do błędu i zrezygnowali z dalszej emisji programu, rodzinie pana Cezarego zaś wypłacili odszkodowanie w wysokości nie mniejszej od kwoty zysku z lokowania suplementów, które wszyscy uczestnicy „Sanatorium miłości" łykali w każdym odcinku.

Nie zrobią tego, bo telewizja wartość człowieka przelicza na pieniądze, a jego godność widzi w słupkach oglądalności.

© ANNA GOLUS

REKLAMA

ANNA

Dziewit-Meller:
Lato leśnych ludzi, wiosna leśnych dziadków

W listopadzie 2016 r. przyleciałam do Miami na Targi Książki. Planując ten wyjazd kilka tygodni wcześniej nie przypuszczałam nawet, z jak bardzo zbolałymi minami powitają mnie na lotnisku moi przyjaciele, wówczas doprawdy całkowicie zdruzgotani ostatnim wyborem Ameryki. Judie wprost powiedziała mi: „Tylko proszę, nie rozmawiajcie ze mną o polityce, ja nie jestem już w stanie tego znieść". Podobne emocje towarzyszyły wielu spotkanym przeze mnie w owym czasie osobom – wybór Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych wprawił ludzi w szok, z którego ledwo kilka dni po wyborach nie byli w stanie się otrząsnąć.

Dlatego też pewnie spotkanie z Berniem Sandersem, zorganizowane wokół promocji jego książki na Targach, tak znacznie różniło się od tego, co przeżywałam na co dzień rozmawiając ze zrezygnowanymi i pogrążonymi w apatii znajomymi. Pisałam kiedyś o tym spotkaniu w „Tygodniku", opisując dziki wręcz entuzjazm młodych i starych, czarnych i białych, kobiet i mężczyzn, jaki towarzyszył każdej wykrzyczanej przez Berniego kwestii. Nie było to bowiem klasyczne spotkanie autorskie, a raczej porządny wiec polityczny, tyle tylko że organizowany grubo poniewczasie. „Podwyżka płacy minimalnej, wysokie podatki dla najbogatszych, opieka zdrowotna dla każdego!" – wołał zza pulpitu, waląc weń entuzjastycznie egzemplarzem swojej książki, a ludzie darli się i klaskali, wstając co i rusz, jak na porządnym nabożeństwie zielonoświątkowców prowadzonym przez charyzmatycznego pastora. Właściwie nie wiem, dlaczego nie trzymaliśmy się za ręce. Powinniśmy! Bo mnie nawet, sceptycznej, chłodnej i zdystansowanej osobie z Polski, która oczywiście „nie wierzy politykom", udzieliła się tamta atmosfera i też mi się zachciało klaskać i ufać, że za cztery lata wszystko się zmieni.

Dość szybko mi przeszło. Jakoś mniej więcej wraz z zatrzaśnięciem za sobą drzwi sali widowiskowej Miami Dade College, w której euforia zdawała się podnosić dach i sięgać gwiazd. „*This is not America*" – nuciłam sobie znany przebój, przemierzając *downtown* w drodze do kolejki podmiejskiej. I choć oczywiście bardzo szkoda, że to, co tam widziałam, nie jest Ameryką, to chyba warto się z tym pogodzić, mrzonki odwieszając na kołek.

A tymczasem czytam w prasie, że Bernie, stary dobry Bernie właśnie ogłosił swój start po nominację w wyborach prezydenckich 2020 roku. Będzie się ścigał m.in. z Elizabeth Warren, prawniczką, doradczynią prezydenta Obamy, wieloletnią działaczką Partii Demokratycznej, senator ze stanu Massachusetts. Przeżyjmy to jeszcze raz, można by rzec. „W naszej kampanii nie chodzi tylko o odebranie władzy Donaldowi Trumpowi. W naszej kampanii chodzi o transformację kraju i stworzenie rządu opartego na zasadach gospodarczej, społecznej, rasowej i ekologicznej sprawiedliwości" – napisał w mailu do swoich wyborców. Ech...

Kiedy wyobrażam sobie Amerykę moich snów, wiele postulatów przedstawianych przez Berniego Sandersa w owych snach się urealnia. *Dreams come true*, i to jest uczucie przyjemne. Walka z ociepleniem klimatu, opieka zdrowotna dla każdego, legalizacja marihuany, super! *My man!* Ale potem niestety zawsze się budzę, a z półki wiszącej naprzeciwko łóżka spogląda na mnie „Obcy we własnym domu".

Zwłaszcza że by sobie poklaskać, nie muszę już jechać do Ameryki na wiec Sandersa. Mam przecież tu na miejscu „polską odpowiedź na" – czyli Roberta Biedronia. Który co prawda nie lubi dinozaurów i leśnych dziadków, więc może porównanie do Sandersa go nie ucieszy, ale to już na szczęście nie moja sprawa. Klaskałabym, mając doprawdy klaskaniem obrzękłe prawice, Robertowi Biedroniowi na fajnym wiecu, wampirycznie karmiąc się energią wygłodniałych „nowinek" i „świeżości" ludzi weń wpatrzonych. W idealnym świecie, w Polsce wstającej z innych kolan niż te, z których wstaje od 2015 r., byłoby to naprawdę coś. Przecież nic by mnie tak nie ucieszyło jak rozdział Kościoła od państwa, sprawna opieka zdrowotna, ćwierć miliona miejsc w żłobkach i skuteczna walka ze smogiem. Wiadomo! Ale i z tego wiecu warto wyjść przed innymi i sceptycznie spojrzeć na obietnicę wiosennej odnowy tej ziemi. Bo obietnice te są całkowicie nie dla tej ziemi, najpierw ziemię tę warto próbować zrozumieć, zwłaszcza nim zaproponuje się jej pakiet populistycznych haseł, które uwiodą tych, co mogą niechcący wpłynąć dramatycznie na wynik wyborów. Takie bowiem równanie, pozbawiające złudzeń, ukuliśmy z kolegą: Biedroń i Sanders = populizm haseł wyborczych + egotyczne samozadowolenie = brak zdolności koalicyjnej + demobilizacja własnego elektoratu, kiedy nasz kandydat odpadnie już z gry = spektakularna wygrana prawicy zarówno w Ameryce, jak i w naszych krajowych zmaganiach. Nie dziękujcie, częstujcie się. I choć porównanie do leśnego dziadka Sandersa może kłuć w tak młodzieżowym sztabie, dla mnie jedno jest pewne: Robert Biedroń jest doń uderzająco podobny, bo w gruncie rzeczy tak jak Bernie Sanders prowadzi kampanię prezydencką, a nie jakąkolwiek inną, ale jeszcze nam tego nie zdążył powiedzieć.

©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Międzyrzeczu, pod sygn. akt I Ns 160/17, wszczęte zostało postępowanie z wniosku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Inspektorat w Sulęcinie, o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym 26 stycznia 2016 r. w Rokitnie Edwinie Grzegorzu Kurzawskim, s. Eugeniusza i Janiny z domu Jędrzejczak. W skład spadku nie wchodzi nieruchomość.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i udowodniły nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięte w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

REPORTAŻ

KURACJUSZKI

Dawne opozycjonistki internowane w Gołdapi i młode aktywistki: czy jedne drugich mogą nauczyć strategii oporu wobec rzeczywistości?

DOROTA BORODAJ

Kobiet jest 27. Dzielą się na dwie, prawie równe grupy. Pierwsza: kobiety dojrzałe, z wydeptanymi ścieżkami zawodowymi. Niektóre jeszcze pracują, inne są już na emeryturze. Jak je nazwać? Opozycjonistki? Wszystkie siedziały w Ośrodku Odosobnienia dla Internowanych Kobiet w Gołdapi. Nie mówi to o nich wszystkiego, ale pasuje, więc na razie tak je nazwiemy.

W drugiej grupie najmłodsza z kobiet ma 20 lat, najstarsza może i pamięta stan wojenny, ale była wtedy dziewczynką. Aktorki. Animatorki. Aktywistki. Prawie każda z tych nazw pasuje do prawie każdej. Niech więc będzie: performerki.

W listopadzie 2018 r. obie grupy miały zasiąść przy wspólnym stole. Ale zanim to się stało, musiał pojawić się ktoś, kto je zebrał. Nazwijmy tego kogoś: reżyserki. Nazwiska za chwilę. Na razie słuchamy.

Najpierw opozycjonistki. Zanim usiądą w kręgu, witają się ze sobą, czasem od razu czule, czasem z chwilą rezerwy. Znają się wszystkie lub prawie wszystkie. Niektóre muszą się skupić, by przypomnieć sobie, patrząc na którąś z pozostałych: razem tam byłyśmy. Inne przyjaźnią się do dziś, twarz tej drugiej znają jak własną.

Ewa: – Zgodziłam się na to spotkanie, bo chcę się nauczyć mówić o tamtym miejscu.

Małgorzata: – Dziwi mnie projekt skoncentrowany akurat na tym doświadczeniu. To był strach, rozpacz rozłąki z najbliższymi, wymuszona bezczynność, nuda kiblowania. Czy akurat to ma być najciekawsze i najważniejsze?

Jolanta: – Mało pamiętam. Byłam tam cztery miesiące, a mam w głowie pojedyncze obrazy.

Anna: – Zanim tu przyjechałam, przejrzałam swoje pamiątki, listy i zapiski stamtąd. Chciałam odświeżyć pamięć, bo wszystkie złe wspomnienia schowałam do szuflady w mojej głowie i zamknęłam. W bieżącej pamięci trzymam tylko pozytywne obrazy: jak się tam nawzajem wspierałyśmy, jak śpiewałyśmy, jak obśmiewałyśmy ubeków.

Barbara: – Pomyślałam o ciągłości międzypokoleniowej: to takie wspaniałe, że młodym kobietom przyszło do głowy, by w naszym pokoleniu szukać czegoś ważnego, co przyda im się dzisiaj.

Teraz performerki. Siedzą na podłodze, w sali prób, w której od ponad miesiąca zagłębiają się w historię ośrodka w Gołdapi.

Iwona: – Chcę się dowiedzieć, jak każda z nich mierzyła się z konsekwencjami swoich działań.

Paulina: – Wiele razy byłam w Gołdapi na wakacjach i nigdy nie słyszałam, że był tam ośrodek internowania. Mam wrażenie, że mężczyźni więcej ugrali na historii.

Alicja: – Chcę zapytać o solidarność kobiet.

Helena: – Ja się na tę historię czuję za mała.

Kasia: – Początkowo też tak myślałam, ale teraz coraz bardziej zbliżam się do niej. Jestem tu, by poznać siłę kobiet. Na początku te historie wydawały mi się odległe. Onieśmielała mnie też nasza grupa – kobiet silnych i głośno mówiących, co myślą. Wydawałam się sobie za cicha. Jestem z małej miejscowości na Podkarpaciu, w moim domu nie mówiło się i nie myślało o oporze. Historia istniała dla mnie zawsze na kartkach podręcznika. A teraz w losach tych konkretnych kobiet łatwiej mi się przejrzeć. I wyobrazić sobie siebie w ich sytuacji.

Alicja: – Historię ciągle się pisze z męskiej perspektywy.

Kuracja

W chwili ogłoszenia stanu wojennego kilka tysięcy osób osadzano w ośrodkach odosobnienia. Spośród nich jeden przeznaczony był wyłącznie dla kobiet (kobiety przebywały też w „internacie" w Darłówku, osadzane tam razem z mężczyznami). Gołdapski „internat" zorganizowano w budynku ośrodka wczasowego Związku Zawodowego Pracowników Prasy, Książki, Radia i Telewizji. Ekskluzywny jak na tamte czasy, o hotelowym standardzie, położony 400 m od granicy polsko-radzieckiej, miał się stać pokazowym miejscem odosobnienia. I „kuracji", mającej wyleczyć osadzone z zapędów opozycyjnych. Poddawano je regularnym przesłuchaniom i naciskom, apelowano o podjęcie na powrót roli matek i strażniczek ogniska domowego. Wiele byłych osadzonych wspomina, że podczas przesłuchań grożono, że ich dzieci zostaną oddane do sierocińca, sugerowano, że mąż nie będzie na nie czekał, zarzucano, że nie zajmują się schorowanymi rodzicami. Propagandowe media rozpisywały się, że to korzystające z wygód utra-

ALICJA SZULC / TEATR POWSZECHNY

„Kuracjuszki z Interno", reżyseria Justyna Lipko-Konieczna i Dorota Ogrodzka. Teatr Powszechny, Warszawa, grudzień 2018 r.

cjuszki i awanturnice, które państwo wspaniałomyślnie postanowiło reedukować w luksusowych warunkach.

Pierwsze osadzone przyjechały 6 stycznia 1982 r. Przetrzymywane najpierw w aresztach, potem przewożone do „internatu", najczęściej nie wiedziały, dokąd jadą. Wychowane na świeżej wciąż pamięci wywózek na Sybir – naprawdę się bały.

Anna Skrzeszewska: – Zapakowali nas do dwóch autokarów. Powiedzieli, że jedziemy gdzieś na północny wschód. Patrzyłyśmy przez okna, czujnie obserwowałyśmy drogę: po obu stronach lasy, na drzewach śnieżne czapy, jak w bajce. I coraz więcej biało-czerwonych słupków granicznych, aż wreszcie opuszczony szlaban biało-czerwony i budka strażnicza. Zatrzymaliśmy się. Do autokaru wszedł mężczyzna, cały okutany, widziałyśmy tylko jego oczy. Patrzył na nas w milczeniu i kiwał głową. Liczył. Zamarłyśmy. W końcu któraś nie wytrzymała i krzyknęła: „Głośno! Głośno licz!". I on wtedy: „...osiem, dziewięć...". Boże, co za ulga. Po polsku liczył, a nie „...*wosiem, diewiat*...". Za chwilę szlaban się podniósł, autokar skręcił i w oddali zobaczyłyśmy światła wielkiego budynku.

Te autokary to był wyjątek; większość kobiet przewożono do Gołdapi w nieogrzewanych „sukach".

Gra

Kiedy okazywało się, że kobiety z więziennych cel trafiają do hotelowych wnętrz, pojawiało się pytanie: w co gra władza. Szybko okazało się, że cokolwiek planowała, strzeliła sobie w kolano. Osadzone natychmiast zaczęły organizować życie w „internacie".

Anna Skrzeszewska: – Myśmy się tam bardzo dużo śmiały, żartowały. To był nasz sposób na przeżycie w tych nienormalnych warunkach. Śpiewy, tańce, gimnastyka, joga, gra w brydża, nauka języków, wykłady w wielu dziedzinach, dyskusje, wieczory poetyckie... I ten niezapomniany wieczór w naszym pokoju, z monodramem w wykonaniu wielkiej aktorki, Haliny Mikołajskiej. To była nasza forma obrony.

Część kobiet wypracowało strategie oporu balansujące na granicy performansu, teatru, groteski. Przedrzeźniały otaczającą je rzeczywistość, obśmiewały ją, na każdym kroku pokazując: w tej grze mamy też własne zasady.

Opór przyjmował także formy masowych protestów. Jak wtedy, gdy zmarł syn jednej z osadzonych, a ona nie dostała przepustki na pogrzeb. Ogłosiły wtedy głodówkę. W końcu przepustkę wydano, ale kiedy kobieta nie miała już szansy ↦

↦ dotrzeć na miejsce żadną publiczną komunikacją. Wtedy osadzone zrzuciły się na taksówkę dla niej.

Między pokojami można było się przemieszczać. Można było patrzeć przez okna na drzewa – najpierw białe od śniegu, potem coraz bardziej zielone. Nie wolno było jednak wyjść poza budynek, dotknąć stopami ziemi.

Anna Skrzeszewska: – Jak siedziałyśmy w więzieniu, wszystko było jasne: kraty w oknach, drzwi na zasuwkę. A tam: wielkie okna, piękny las. Tylko że nie możesz do niego wyjść, tygodniami, miesiącami chodzisz po betonie.

Wytłumacz panom, że nic nie zrobiłaś

Ewa Nowak w ośrodku spędziła pięć miesięcy. Do dziś nie lubi o tym mówić: – Mam wrażenie, że wszyscy oczekują wzniosłości, a tam się działy zwykłe sprawy. Zwykłe sprawy plus strach. Budzisz się rano, robisz kawę, rozmawiasz z koleżankami. Tylko boisz się, że to się nigdy nie skończy.

Jolanta Wasiuk poznała Ewę Nowak jeszcze przed internowaniem. Wciąż się przyjaźnią. – Na początku wydawało mi się, że tak świetnie to zniosłam, że byłam twardzielką – umiałam się kimś zająć, coś załatwić. Myślałam: „Gołdap nie zostawiła we mnie śladu". A jest inaczej. Ewa, która była tam ze mną, o wielu rzeczach mi przypomina. Np. że wyprowadziła się z naszego pokoju, bo się pokłóciłyśmy. Nie pamiętam tego. Uważam, że internowanie było gorsze od więzienia. W więzieniu byłam zwarta, zdyscyplinowana. W Gołdapi byłam jak żółw bez skorupy.

Internowane miały własne sposoby radzenia sobie z tęsknotą (wiele zostawiło na wolności małe dzieci lub wymagających opieki rodziców) czy ze stresem przed przesłuchaniami. Każda miała przypisanego „wychowawcę", który na regularnych spotkaniach w cztery oczy miał nakłonić je do podpisania „lojalki". Nie stosowali przemocy fizycznej, ale podejmowali grę na emocjach; żadna się nie złamała. Choć funkcjonariusze wiedzieli, w jakie czułe punkty uderzać – zdarzało się, że jadących na widzenie przez Polskę bliskich trzymali cały dzień przed ośrodkiem i nie dopuszczali do spotkania. Albo zakazywali przekazywania paczek.

Wiele kobiet opisujących gołdapskie doświadczenia podkreśla: każda przeżywała to na swój sposób.

Ewa Nowak: – Było mi może łatwiej niż innym kobietom, bo nie miałam dzieci, a o rodziców się nie martwiłam. To jednak było bardzo egoistyczne, gdy myślałam, że radzili sobie beze mnie. Ale nie byli, zwłaszcza tata, zachwyceni moimi wyborami. Pisał do mnie: „Wytłumacz panom, że nic złego nie zrobiłaś". On był w partii, funkcjonował w systemie, nie wyobrażał sobie, jak można wystąpić przeciwko przełożonym, władzy, państwu. Dopiero po latach dowiedziałam się, że gdy mnie zamknęli, podarł książeczkę partyjną.

Ostatnie internowane zostały zwolnione 24 lipca 1982 r. Łącznie siedziały tu 392 kobiety. Intelektualistki i robotnice, naukowczynie, artystki, studentki, bibliotekarki, księgowe. Działaczki Solidarności, Komitetu Obrony Robotników, Wolnych Związków Zawodowych. Niektóre z pierwszej linii opozycyjnego frontu, inne zaangażowane na skalę lokalną.

Wiele mówiło potem: wyszłyśmy stamtąd utwierdzone w naszych wyborach, spotkałyśmy doświadczone opozycjonistki.
Gołdap była naszą szkołą oporu.

Barbara Malak-Minkiewicz: – Różniłyśmy się wiekiem, pochodzeniem, doświadczeniem, ale nie było między nami podziału klasowego czy ze względu na wiek. Każda miała swoją, równoważną mądrość, szanowałyśmy to.

Wiele mówiło potem: wyszłyśmy stamtąd utwierdzone w naszych wyborach, spotkałyśmy doświadczone opozycjonistki. Gołdap była naszą szkołą oporu.

Transfer

Iza Gawęcka jest anarchistką. Trochę jej zajęło, by nauczyć się mówić o tym bez owijania w bawełnę. Uważa, że warto odczarowywać to słowo, bo jest zbiorem bliskich jej postaw i politycznej formy oporu. Pochodzi z domu, gdzie nikt się nie buntował. Trafiła na środowisko, gdzie jej bunt mógł się skrystalizować. – Czekam na spotkanie z byłymi internowanymi. Wiem, że z ich doświadczeń da się wyciągnąć strategie, które jeden do jednego mogę przełożyć na dzisiejsze realia. Kiedy słyszę: dzisiaj nie ma się przeciwko czemu buntować, to szlag mnie trafia. Naprawdę? Rozglądasz się dookoła i nie ma absolutnie niczego, co budzi twój sprzeciw? A kamienicznik, który wyrzuca z domu twojego sąsiada i sprzedaje działkę pod centrum handlowe? A rosnące ceny? A to, że ktoś czyta twoje maile i esemesy? Wiem, tłumy wychodzą na ulicę, gdy słyszą „Konstytucja", „Wolne sądy", „Stop zakazowi aborcji". To ważne, ale powodów, by się sprzeciwiać, jest więcej. Trzeba o nich krzyczeć. I dlatego nie przekonuje mnie, jak słyszę, że „za Solidarności był jakiś wspólny wróg". Dla mnie tym wrogiem jest opresyjny system. I od opozycjonistek, z którymi się spotkam, chcę usłyszeć, jakie miały strategie, by walczyć z ówczesnym systemem. Zarówno w Gołdapi, jak i poza nią.

Justyna Lipko-Konieczna: – Pozornie wydaje się, że dziś nie musimy już podejmować tak radykalnych wyborów jak kiedyś, a przecież to w sytuacji ich dokonywania kształtuje się świadomość. Zatraciliśmy jako społeczeństwo umiejętność świadomego przetwarzania rzeczywistości. Jesteśmy jej odbiorcami. Nie odpowiadają ci treści? Przełączasz je.

Justyna trafiła na historię Gołdapi, kiedy pracowała nad doktoratem: – Interesowało mnie przecięcie pomiędzy teatrem społecznym a społeczeństwem. Uderzyła mnie ta dwuznaczność, kontekst, w jakim zostały osadzone: „kuracjuszki", które trzeba „wyleczyć" z głupich i „niekobiecych" pomysłów na działalność opozycyjną. Interesował mnie ich głos – kobiet, które walczyły o prawa pracownicze, były odpowiedzialne za komunikację, były blisko ludzi i ich problemów. Nie wysuwały się na pierwszy plan. To ich doświadczenie jest dziś prawie nieobecne w przekazach. Wierzę, że my – pokolenie 20- i 30-latków – możemy z niego wiele dla siebie wziąć.

Ciężka Polska

Helena Urbańska jest najmłodsza w tej grupie. Ma 20 lat, studiuje na Akademii Teatralnej w Warszawie: – W moim domu od zawsze mówi się o buncie. Rodzice działali w opozycji, poznali się na demonstracji. Mama miała 19 lat, jak siedziała w więzieniu. Od dziecka słyszę opowieści o oporze, a jednocześnie jestem wychowywana tak, że nie mam po co się buntować. Nie znam innej Polski niż wolna, demokratyczna, taka, z której

mogę w każdej chwili wyjechać i wrócić. A ja łapię się na tym, że nie umiem o tej Polsce mówić. Pomimo wychowania. A może właśnie przez nie. Czuję się za mała na słowo „Polska". A raczej – ono ma dla mnie za duży ciężar. Wokół słyszę za dużo takich „ciężkich" słów. I mimo to, słuchając o Gołdapi, natychmiast oczami wyobraźni widzę siebie w roli buntowniczki. Że ja też bym tak walczyła. Tam, wtedy. A co dziś i teraz – z tym miewam duży kłopot.

Iza Gawęcka uważa, że obecne systemy represyjne opierają się na innym systemie inwigilacji, ale podstawowe zasady relacji władza–obywatele są takie same, jak kiedyś: – Dziś zatrzymuje się aktywistów przed akcjami, wyciąga się ludzi ze środka demonstracji. Zatrzymaniu zawsze towarzyszy ogromny stres. Sytuacja na demonstracji jest wspólnotowa. Nieważne, kogo zatrzymują, wściekłość jest taka sama, jakby zatrzymali ciebie. I strach, bo nie wiesz, co się może z tą osobą stać. Zatrzymanych się nie zostawia, tylko jedzie na komendę i tam na nich czeka. To hasło solidarności, wspólnotowości funkcjonowało też w Gołdapi.

To był teatr

Justyna Lipko szybko zrozumiała, że historia Gołdapi to temat idealny dla teatru społecznego: – Powstała już kiedyś sztuka o Gołdapi, napisała ją była osadzona, Grażyna Wendt-Przybylska. I ona na pytanie o to, czemu teatr ma o tym doświadczeniu opowiadać, mówiła: „Bo Gołdap to był teatr! Tam były aktorki i one nam pokazywały, jak stawiać opór". Wierzę, że z tych doświadczeń może czerpać nowe pokolenie dziewczyn.

Tak narodził się projekt „Kuracjuszki z Interno". Obok Justyny Lipko-Koniecznej jego autorką, współscenarzystką i współreżyserką jest Dorota Ogrodzka. Znają się od lat i współpracują, m.in. w Stowarzyszeniu Pedagogów Teatru. Do projektu zaprosiły 13 młodych kobiet – animatorek, aktywistek, działaczek kulturalnych, aktorek. Zamiast gotowego scenariusza – dały im dostęp do archiwów, nagrań, relacji, artykułów o Gołdapi. Zaproszenie przyjęło także 14 byłych internowanych.

W listopadzie te dwie grupy kobiet – byłe internowane i młode performerki – spotkały się po raz pierwszy i spędziły ze sobą dwa dni, w międzypokoleniowych parach. Rozmawiały. Te rozmowy stały się dopełnieniem scenariusza „Kuracjuszek z Interno" – opowieści o doświadczeniu i strategiach oporu kobiet.

Małgorzata Łukasiewicz, była internowana: – Usłyszałam, że celem projektu jest przygotowanie „opowieści o oporze, aktywizmie, tworzeniu społeczności i walce". I to wszystko ma się wiązać z okresem internowania w Gołdapi. Tam przebywały kobiety, które przedtem – a też i potem – robiły mnóstwo ciekawych i ważnych rzeczy. Angażowały się w działania opozycyjne, w KOR-ze, w Solidarności, w rozmaitych inicjatywach. Jeżeli gdzieś szukać aktywizmu i walki, to chyba nie w Gołdapi. Czy to dobrze tak od razu szermować gotowcami, podsuwać pojęcia-klucze? „Opór", „walka" itd.? Jeśli z góry zakłada się, że to właśnie było istotą doświadczeń internowanych kobiet, to po co właściwie cały projekt? Skoro diagnoza jest już na wstępie gotowa?

Dorota Ogrodzka: – Gołdap to złożony temat, który mieści w sobie zarówno trudne, bolesne doświadczenia, jak i te dające siłę, poczucie przynależności i wspólnoty. Nie chcemy nikomu stawiać pomnika, nie mamy gotowych tez. Praca teatralna opiera się dla nas zawsze na wspólnym dochodzeniu do sensów i zderzaniu myśli, doświadczeń, spojrzeń. Tak konstruujemy osobiste opowieści. Pewnie będzie w nich miejsce i na ironię, śmiech, dystans, i na wzruszenie, a może nawet tragizm. W teatrze one funkcjonują jak awers i rewers ludzkiej egzystencji, dopełniają się.

Pokaz efektów dwumiesięcznej pracy zespołu „Kuracjuszek" odbył się 12 i 13 grudnia w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Na widowni zasiadły byłe internowane.

Po pokazie, kilka z nich, razem z reżyserkami i aktorkami, dzieliło się wrażeniami z publicznością. Jedna z nich opowiadała: – Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Jedna z młodych aktorej przedstawiła się: „Jestem anarchistką", wtedy pomyślałam: „Tylko nie ona!". Zaraz okazało się, że owszem, jesteśmy razem w parze, a później, kiedy już się dobrze poznałyśmy, Iza przyznała, że pomyślała to samo, co ja. Pozornie wszystko nas dzieliło: wiek, doświadczenie, światopogląd. A potem zaczęłyśmy rozmawiać. I okazało się, że łączą nas głębokie, bardzo ważne rzeczy. Inna wspomina: – Bałam się, czy coś pamiętam, czy będę potrafiła dobrze przekazać swoją opowieść. Po tym, co zobaczyłam na scenie, pomyślałam: to było prawdziwe. Taka była Gołdap.

Obecnie autorki starają się o środki do rozpoczęcia pracy nad spektaklem. Będzie to opowieść o spotkaniu. I o tym, czy transfer doświadczenia oporu jest możliwy. © DOROTA BORODAJ

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

Czy Bóg steruje ewolucją? Czego bał się Albert Einstein?
Gdzie w mózgu mieszka empatia? Dlaczego naukowcy zajmują się memami?

POPULARNONAUKOWE
LEKCJE CZYTANIA
DLA LICEALISTÓW

Zapraszamy do udziału w nowym popularnonaukowym cyklu „Lekcji czytania" dla szkół średnich „Wielkie pytania na nowo". To akcja społeczna Fundacji Tygodnika Powszechnego skierowana do uczniów szkół średnich, skupiona wokół takich autorów jak Temple Grandin, Michał Heller, Daniel Dennett czy Frans de Waal. Spotkania prowadzone są przez naukowców z Copernicus Center.

Chcesz zorganizować spotkanie u siebie?
Napisz na lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
Copernicus Center
Templeton Religion Trust

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIARA

MIŁOSIERDZIE GO NIE PRZEKONUJE

Zarzuca Franciszkowi, że kieruje Kościołem według reguły jezuitów, mówi o „oszustwie Antychrysta". Kim jest kardynał Gerhard Müller, który wyrasta na ikonę opozycji wobec papieża?

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Szybko robił kościelną karierę, choć święcenia kapłańskie przyjął dopiero w 31. roku życia w 1978 r. Po habilitacji (1985) niespełna 40-letni Gerhard L. Müller został profesorem dogmatyki na uniwersytecie w Monachium, a w 2002 r. Jan Paweł II mianował go biskupem Ratyzbony. W 2007 r. Benedykt XVI powołał go do Kongregacji Nauki Wiary, a pięć lat później powierzył mu urząd prefekta i podniósł do godności arcybiskupa. Było to ukoronowanie drogi, podczas której dał się poznać jako krytyk osób wzywających Kościół do podjęcia reform. Podczas Katholikentagu (wielkiego zlotu katolików niemieckich) w maju 2012 r. mówił: „Nie może być tak, że ludzie, którzy sami z siebie nie są w stanie niczego stworzyć, tłoczą się na wielkich imprezach, wnosząc tam swą pasożytniczą naturę".

Nastanie obecnego pontyfikatu okazało się cezurą w życiu abp. Müllera. Franciszek zaproponował bowiem Kościołowi radykalne zmiany, trudne do przyjęcia przez prefekta KNW. Jednak najpierw papież potwierdził arcybiskupa na urzędzie prefekta. Niemal natychmiast zaczęły pojawiać się medialne doniesienia na temat napięć pomiędzy nimi, które komentował jako „dziennikarskie legendy". Zwolennicy Müllera dowodzili, że pozostawienie go na stanowisku prefekta Kongregacji (i mianowanie w 2014 r. kardynałem) oznacza papieską akceptację jego linii teologicznej.

Dziś widać, że kard. Müller nie tylko kontynuował linię kard. Ratzingera, ale ją zradykalizował, co doprowadziło w końcu do sporu z Franciszkiem.

Pole konfliktu

W 1993 r. niemieccy biskupi Oskar Saier, Karl Lehmann i Walter Kasper opublikowali list pasterski otwierający osobom rozwiedzionym żyjącym w nowych związkach drogę do pełnej wspólnoty eucharystycznej. Wszyscy trzej zostali przywołani do porządku przez prefekta KNW kard. Ratzingera. Kiedy już w 2013 r. abp Robert Zollitsch z Fryburga, wsłuchując się w intuicje Franciszka, wprowadził w swojej diecezji regulacje otwierające możliwość przystępowania osób żyjących w małżeństwach niesakramentalnych do komunii, nowy prefekt KNW abp Müller zażądał ich wycofania, bo – jak tłumaczył – nauka Chrystusa i Kościoła „nie podlega plebiscytowi".

Fryburskie rozstrzygnięcie abp. Müllera nastąpiło już po papieskiej zapowiedzi zwołania nadzwyczajnego zgromadzenia synodu biskupów na temat rodziny. Najgorętsze pytanie dotyczyło możliwości udzielania komunii rozwodnikom. By uprzedzić możliwe odpowiedzi, prefekt KNW opublikował w „L'Osservatore Romano" tekst „Moc łaski", usiłując nadać ton ewentualnej dyskusji. Jego wywód to apologia doktryny, która od czasów apostolskich wyłącza ze wspólnoty eucharystycznej małżeństwa niesakramentalne – chyba że zachowają one pełną wstrzemięźliwość seksualną (o czym pisał Jan Paweł II w „Familiaris consortio").

Müllera nie przekonuje argument miłosierdzia, bo – powiada – nie można nim przysłaniać boskiej sprawiedliwości, gdyż w ten sposób banalizuje się prawdziwy wizerunek Boga, zastępując go obrazem, „zgodnie z którym nie mógłby On postępować inaczej, jak tylko przebaczać".

Na przedsynodalnym konsystorzu wykład na temat najbardziej palących problemów rodzin wygłosił jednak nie kreowany właśnie kardynałem Müller, lecz emerytowany kardynał Kasper, współautor listu z 1993 r. Pytał m.in.: „czy możemy odmówić sakramentu pokuty i komunii w sytuacji, gdy osoba rozwiedziona i żyjąca w nowym związku wyrazi skruchę z powodu rozpadu swego pierwszego małżeństwa i zapewni, że uczyni wszystko, aby jej drugi związek cywilny żył wiarą?".

Moja teologia

Kard. Müller domagał się specjalnego posłuchu dla swoich poglądów. W wywiadzie dla Radia Watykańskiego powiedział: „Nie uczestniczę w debacie prywatnie, jako teolog, lecz na mocy mojego urzędu. Kongregacja Nauki Wiary jest jedyną kongregacją, która ma bezpośredni ↦

Gerhard Ludwig Müller, Watykan 2014 r.

KRZYSZTOF TADEJ / FOTONOVA

↦ udział w nauczycielskim urzędzie papieża". Trudno znaleźć uzasadnienie takich roszczeń: wszelkie rozstrzygnięcia o charakterze doktrynalnym muszą uzyskać papieską aprobatę.

W książkowym wywiadzie „Nadzieja rodziny" Müller skrytykował wykład Kaspera, a chcąc unaocznić banalność podobnych liberalnych pomysłów duszpasterskich stwierdził: „Nie można rano chodzić do kościoła, a wieczorem do burdelu". Tym samym stawał się liderem opozycji wobec zmian, na które przychylnym okiem patrzył papież Franciszek. Do jego frakcji dołączyli z czasem kardynałowie: Joachim Meisner, Raymond Burke, Carlo Caffarra, Walter Brandmüller i Velasio De Paolis. Z ich udziałem (bez Meisnera) powstała książka: „Pozostać w prawdzie Chrystusa. Małżeństwo i komunia w Kościele katolickim" (2014). To miał być program na zbliżający się synod. Tak się jednak nie stało.

Amoris laetitia

Obradujący jesienią 2014 r. synod biskupów wypracował „Relatio", a ta posłużyła jako dokument wstępny dla XIV zwyczajnego zgromadzenia synodu biskupów, również poświęconego rodzinie (październik 2015 r.). Owocem jego obrad była adhortacja Franciszka „Amoris laetitia". Od momentu jej publikacji kard. Müller forsował swoją interpretację: „nie można żyć w stanie łaski, a zarazem w stanie grzechu", papież nie udzielił zgody na udzielanie komunii osobom żyjącym w nowych związkach, a głośny przypis 351 (z 8. rozdziału) nie dotyczy tej grupy wierzących.

Wielu hierarchów nie podzielało jego pewności. W styczniu 2017 r. biskupi Malty, a w lutym biskupi Niemiec (z wyjątkami) otworzyli rozwiedzionym możliwość podjęcia starań o pełne uczestnictwo w Eucharystii. Müller nie był już w stanie przywołać ich do porządku. Pozostały mu wystąpienia w mediach. Twierdził, że adhortacja nie uzasadnia żadnych nowych regulacji, i przypominał, iż w każdych okolicznościach współżycie poza sakramentalnym małżeństwem jest grzechem śmiertelnym („Il Timone"). „To nie »Amoris laetitia« spowodowała niejasną interpretację, ale niektórzy jej interpretatorzy".

Roma locuta

Czynnikiem rozstrzygającym spór o „Amoris laetitia" był list Franciszka do argentyńskich biskupów regionu Buenos Aires, chwalący ich kryteria praktycznego zastosowania adhortacji. Pismo to, datowane 5 września 2016 r., pojawiło się niebawem na stronie zawierającej oficjalne dokumenty Stolicy Apostolskiej. Do tekstu dołączono argentyńską instrukcję, którą Franciszek uznał za autentyczną interpretację adhortacji. A to oznacza, że istnieje inna niż przedstawiona w „Familiaris consortio" możliwość zezwolenia rozwiedzionym na przystąpienie do komunii. Warto podkreślić, że chodzi tu o „możliwość" (wymagającą trudu samych zainteresowanych i mądrości duszpasterzy), a nie o generalne regulacje prawne.

Zdaniem Müllera niemieccy biskupi porzucili ewangelizację oraz pogodzili się z sekularyzacją i dechrystianizacją Europy. Dla wielu z nich akceptacja mediów jest ważniejsza od prawdy.

Żeby nie było co do tego wątpliwości, 5 czerwca 2017 r. kard. Pietro Parolin, sekretarz stanu, na polecenie papieża zamieścił informację, że jest to autentyczne nauczanie Magisterium. Ten dzień można by zatem uznać za koniec zmagań kard. Müllera. Stało się jednak inaczej.

Nowa krucjata

30 czerwca 2017 r. kard. Müller dowiedział się o zakończeniu swej misji prefekta Kongregacji Nauki Wiary, co – biorąc pod uwagę rozbieżności teologiczne pomiędzy nim a papieżem – można by uznać za oczywiste. Ale kardynał nie pogodził się z tą decyzją. W licznych wywiadach zdradzał, że audiencja, na której dowiedział się o dymisji, trwała minutę i że nie usłyszał jej powodów. Potem mówił jeszcze o tym, że w kręgu papieża znajdują się donosiciele szkodzący Kościołowi, którymi powinien zająć się psychiatra, oraz że padł ofiarą intryg „pewnych sił". Nie omieszkał wyrazić dezaprobaty dla Franciszkowego stylu rządzenia, jego polityki personalnej i nieufności okazywanej kurii.

Ponadto krytykował inne niż jego interpretacje „Amoris laetitia". Mówił, że uczciwi krytycy papieża (tzn. czterej kardynałowie, autorzy listu wyrażającego swe wątpliwości wobec adhortacji) „zasługują na przekonującą odpowiedź". Wspominał o konieczności uniknięcia „nowej schizmy" i nie przyjmował do wiadomości papieskiego rozstrzygnięcia sporu o adhortację (według niego argentyński list papieża był tekstem prywatnym, niemającym znaczenia doktrynalnego).

Powiedział też, że nie można ślepo podążać za papieżem, gdyż nie jest on żadnym „bossem".

Wykolejony pociąg

Kiedy 28 lutego 2018 r. Konferencja Episkopatu Niemiec podjęła decyzję o wypracowaniu „Pomocy duszpasterskiej" nt. możliwości przystępowania do komunii świętej niekatolickich współmałżonków żyjących w małżeństwach mieszanych, były prefekt KNW stwierdził, że przekroczyła swoje kompetencje, prowadząc do protestantyzacji Kościoła katolickiego. Oświadczył również, że – nie licząc sytuacji zagrożenia życia – komunię sakramentalną mogą przyjmować jedynie ci, którzy są w pełnej komunii [jedności] z Kościołem katolickim.

Gdy Stolica Apostolska pismem kard. Luisa Ladarii (nowego prefekta Kongregacji Nauki Wiary) wstrzymała publikację „Pomocy duszpasterskiej", kard. Müller skomentował, że Watykan „krótko przed przepaścią zaciągnął hamulec bezpieczeństwa. Pociąg się mimo to wykoleił i należy go teraz znów starannie postawić na tory".

Zdaniem Müllera niemieccy biskupi pogodzili się z sekularyzacją i dechrystianizacją Europy oraz porzucili ewangelizację. Dla wielu z nich akceptacja mediów jest ważniejsza od prawdy, natomiast wierni trwający przy prawdziwej doktrynie są prześladowani, czują się opuszczeni i zdradzeni przez pasterzy. Dzisiejszy kryzys Kościoła przypomina schizmę protestancką i sekularyzację w przededniu rewolucji francuskiej. I dalej: to nie klerykalizm jest źródłem zła, ale rozkład doktryny, który prowadzi do rozkładu moralnego.

Ma głowę na karku

Z przekonania o kryzysie, w którym znalazł się Kościół katolicki za Franciszka, wyrasta „Manifest wiary", ogłoszony przez kard. Müllera 8 lutego br. Jak twierdzi autor, do wystąpienia zachęcili go liczni duchowni i świeccy oraz troska o zbawienie

chrześcijan idących na zatracenie. Czterostronicowy tekst wydaje się zbiorem cytatów z Katechizmu (niewolnym zresztą od manipulacji, o czym można się łatwo przekonać sięgając do nr. 1457 KKK i porównując go z fragmentem „Manifestu", w którym znajduje się odwołanie do tegoż miejsca). Najmocniejszy chyba fragment piętnuje „milczenie o [niektórych] prawdach wiary albo też nauczanie tego, co jest im przeciwne", co kard. Müller nazywa „oszustwem Antychrysta".

Wprowadzenie do dokumentu, ogłoszone na portalu amerykańskich konserwatystów LifeSiteNews, z którym kard. Müller zaplanował całe przedsięwzięcie, mówi o „quasi-korekcie pontyfikatu Franciszka", wzywając jednocześnie do podpisywania petycji przeciwko „zamieszaniu wywołanemu przez papieża". LifeSiteNews dopowiada, czego nie ma w samym tekście, że ostrze krytyki „Manifestu" skierowane jest przeciwko teologicznym błędom papieża. Impulsem przesądzającym o publikacji było podpisanie katolicko-islamskiej deklaracji o ludzkim braterstwie, w której pojawiło się – zdaniem wielu heretyckie – twierdzenie o chcianym przez Boga pluralizmie religii.

Nie bardzo wiadomo, kto miałby być adresatem „Manifestu wiary". Czy jest to wotum nieufności wobec papieża, ze wskazaniem na jego następcę? Z pewnością za kard. Müllerem stoją konserwatyści niezadowoleni z Franciszkowego pontyfikatu, których nie brak w katolickim świecie. Nie wydaje się jednak, by wśród stronników byłego prefekta KNW można było znaleźć wielu kardynałów. Z sześciu, którzy protestowali przeciwko niektórym pomysłom papieża Franciszka, trzech (Meisner, Caffarra i De Paolis) już nie żyje. Formalne znaczenie ma tylko kard. Burke, gdyż kard. Brandmüller (ze względu na wiek) nie był nigdy elektorem. Dwaj ostatni – w związku z watykańskim spotkaniem na temat seksualnych afer w Kościele – wystosowali niedawno swego rodzaju minimanifest, który nie wychodzi jednak poza poglądy Müllera. Bliski jest mu z pewnością koloński kardynał Rainer M. Woelki, choć publicznie się z tym nie obnosi.

„Manifest" zdecydowanie skrytykował natomiast kard. Kasper, twierdząc, że tekst nie wnosi niczego nowego, nieprecyzyjne i połowiczne sformułowania na temat kapłaństwa, celibatu czy komunii dla rozwiedzionych prowadzą do rozłamu i zamętu, odwołanie do Antychrysta zaś przywodzi na myśl... wystąpienie Lutra. W obronie Müllera stanął abp Stanisław Gądecki, uznając, że kardynał opublikował „Manifest" jako „obronę czystej nauki wiary". Pytany o zarzuty Kaspera, nie odwołał się do meritum, ale do wieku hierarchy (86 l.), który „jeszcze nad grobem w dalszym ciągu usiłuje podważyć wiarygodność kardynała". Za kard. Müllerem według szefa Konferencji Episkopatu Polski ma przemawiać fakt, że „ma głowę na karku".

Do krytyki Kaspera odniósł się w jednym z ostatnich wywiadów sam autor „Manifestu", oceniając, że porównywanie go do Lutra jest „ekumenicznym kawałem stulecia". Müller mówił też o „dworze papieża": jego zdaniem tworzą go ludzie niemający pojęcia o teologii, którzy każdą papieską wypowiedź traktują jak głos z nieba, a krytykowanie Franciszka to dla nich świętokradztwo.

Kard. Gerhard Müller wystawia co prawda papieżowi certyfikat ortodoksyjności (co samo w sobie już jest kuriozalne), ale jednocześnie sugeruje, że Franciszek nie wypełnia zadania „jednoczenia Kościoła w prawdzie" i kieruje nim podług reguły jezuitów, słuchając Rady Kardynałów, składającej się raczej z menadżerów niż pasterzy.

W kontekście pedofilskich skandali w Kościele Müller uparcie powtarza tezę, że 80 proc. ofiar stanowią dojrzewający młodzi mężczyźni. Za całą sytuację odpowiedzialny jest więc – jego zdaniem – panoszący się w świecie i w Kościele homoseksualizm, a nie klerykalizm, przed którym jednoznacznie ostrzegał jeden z uczestników zeszłotygodniowego spotkania w Watykanie nt. nadużyć seksualnych w Kościele, kard. Rubén Salazar Gómez.

Choćby byli kardynałami

Do tej pory „Manifest wiary", ogłoszony aż w siedmiu językach, poparło ok. 17 tys. osób. Efekt tak dużego medialno-teologicznego przedsięwzięcia jest więc raczej mizerny.

Na zakończenie chciałbym zadedykować czytelnikom „Manifestu" słowa kard. Müllera, wypowiedziane w czasach, kiedy piastował jeszcze urząd prefekta Kongregacji Nauki Wiary: „inni (...), choćby byli kardynałami, mogą się wypowiadać wyłącznie we własnym imieniu, a ich oświadczenia nie mają oficjalnego charakteru". I tego się trzymajmy.

© KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

TP

Kluby „TP" zapraszają

BIELSKO-BIAŁA
wtorek, 5 marca, godz. 17.30
Spotkanie z Grażyną Staniszewską, uczestniczką obrad Okrągłego Stołu. Miejsce: Książnica Beskidzka (ul. Słowackiego 17A).

BYDGOSZCZ
wtorek, 5 marca, godz. 18.00
Spotkanie „Co się stało z polską nadzieją". Gościem będzie: Wojciech Bonowicz. Miejsce: Biblioteka UKW (ul. K. Szymanowskiego 3).

GRUDZIĄDZ
poniedziałek, 4 marca, godz. 17.30
Spotkanie „Opisując życie wierszem". Gościem będzie: Wojciech Bonowicz. Miejsce: Aula Niepublicznej SP nr 1 (ul. Chełmińska 1).

KRAKÓW
niedziela, 3 marca, godz. 18.00
Spotkanie „Kilka uwag o stanie języka w sferze publicznej". Gościem będzie: Ireneusz Kania. Miejsce: sala konferencyjna „Herbewo" (ul. Lubelska 29).

LUBLIN
piątek, 8 marca, godz. 18.00
Spotkanie z s. Małgorzatą Chmielewską. Miejsce: Trybunał Koronny (Rynek 1).

ZIELONA GÓRA
wtorek, 5 marca, godz. 18.00
Wspólne czytanie „Po co Kościół". Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

RUE DES ARCHIVES / FORUM

Wizyta kard. Józefa Mindszentyego w Brukseli, sierpień 1972 r.

Więzień historii

O. JÓZEF PUCIŁOWSKI OP, HISTORYK:

Kardynał Mindszenty był odważny i jednocześnie politycznie naiwny. Jego nieprzejednana postawa sprawiła, że komuniści szybko rozprawili się z węgierskim Kościołem.

ARTUR SPORNIAK: Papież podpisał dekret o heroiczności cnót, czyli otworzył drogę na ołtarze kard. Józefowi Mindszentyemu, więzionemu przez komunistów prymasowi Węgier, który 15 lat spędził w amerykańskiej ambasadzie, dokąd schronił się podczas inwazji sowieckiej na Węgry w 1956 r. Postać tragiczna czy męczennik?

O. JÓZEF PUCIŁOWSKI OP: Zapewne i postać tragiczna, i męczennik... Tragiczna z racji tego, co przeszedł już za nazistów. Jako biskup był więziony, a niespotykane było, żeby kolaborujący z Niemcami węgierscy faszyści zamykali biskupa wraz z klerykami. Sam Mindszenty dość oryginalnie na ten epizod zareagował: ubrał się w pełen strój liturgiczny i wkroczył do więzienia procesjonalnie. W konsekwencji był tam dosyć hołubiony, co spowodowało z kolei reakcję Niemców, którzy irytowali się, że Węgrzy na to pozwalają.

Za co prymas trafił do więzienia?

Za protest przeciwko faszyzacji kraju oraz deportacji Żydów. On się jej ostro sprzeciwiał. Niewątpliwie było to odważne. Tym bardziej że jego przeciwnicy mogli mu wypominać pochodzenie – jego pierwotne nazwisko brzmiało Pehm, pochodził ze Szwabów węgierskich, chłopskiego ludu, któremu Węgrzy niekiedy zazdrościli pracowitości. Gdy został mianowany biskupem, zmienił nazwisko na bardziej węgierskie, utworzone z nazwy miejscowości Mindszent, gdzie się urodził i chodził do szkoły.

Wikipedia podaje, że został uwięziony za pomoc Polakom.

To raczej jest wątpliwe – Mindszenty jako biskup Veszprém nie urzędował w Budapeszcie. Polakom pomagali inni biskupi, np. bp József Grősz, później jeden z najbardziej spolegliwych wobec władz „księży pokoju" (odpowiednik polskich „księży patriotów"). Pomoc polskim uchodźcom trwała od Kampanii Wrześniowej aż do puczu w październiku 1944 r. przywódcy węgierskich faszystów Ferenca Szálasiego.

To nie był pierwszy pobyt w więzieniu przyszłego prymasa.

W 1919 r. jako młody ksiądz był więziony przez Węgierską Republikę Rad, czyli podczas krótkotrwałego puczu komunistów. Już wtedy zdążył poznać kilku najważniejszych działaczy komunistycznych, którzy objęli władzę na Węgrzech po wkroczeniu wojsk sowieckich, w tym samego Mátyása Rákosiego, stalinowskiego dyktatora. Dlaczego nie usiadł z nimi po wojnie do rozmów, choć ich znał? Nie umiem powiedzieć.

Sytuacja po wojnie była bardzo trudna...

Jako sojusznik Hitlera Węgry były krajem faktycznie okupowanym przez Armię Czerwoną. 100 tysięcy młodych mężczyzn zostało wywiezionych do Związku Radzieckiego (akcja pod hasłem „*maleńkij robot*", czyli „nieduża praca") – wracali po latach zupełnie wyniszczeni. Wcześniej 200 tys. zginęło pod Stalingradem, walcząc ze Związkiem Radzieckim u boku Niemiec. 100 tys. węgierskich Żydów zostało zamordowanych w ramach Holokaustu. A pamiętajmy, że Węgry były niedużym krajem, więc te straty były bardzo dotkliwe. Po wojnie panował głód – Rosjanie zrabowali, co się tylko dało. Gdy byłem przełożonym dominikańskiego wikariatu na Węgrzech na przełomie XX i XXI w., widziałem w Bibliotece Szaroszpatackiej zwrócone przez Rosję węgierskie księgozbiory z nadrukiem „*wojennyje trofiei*".

Dlaczego w roku 1945 Pius XII na nowego prymasa Węgier wybiera właśnie Mindszentyego?

Myślę, że ze względu na hardość jego charakteru. Nie można było mu zarzucić, że kolaborował z władzami. Miał nie-

poszlakowaną opinię. Był typem księdza-działacza. Sprawdził się jako biskup. Zniósł więzienie. Papież potrzebował biskupów, którzy broniliby Kościoła.

To wydawał się dobry wybór. Z dużą praktyką duszpasterską i administracyjną był wszędzie: szczególnie w obozach stworzonych przez komunistów dla przedwojennej elity: arystokracji, policji, żandarmerii czy urzędników wysokiego szczebla królewskich Węgier. Upominał się o prawa człowieka. Działał sam, bo nowe, „demokratyczne" władze budapeszteńskie wydaliły nuncjusza apostolskiego abp. Angela Rottę (*nota bene* zasłużonego w ratowaniu Żydów), wskutek czego zamrożone zostały kontakty Episkopatu ze Stolicą Apostolską.

Mindszentyemu zabrakło jednak zmysłu dyplomacji. Nie godził się na żadne kompromisy. Na przykład gdy próbował skontaktować się z nim szef powojennego parlamentu, prymas go nie przyjął, uważając, że kolaboruje z nowymi władzami. Takie gesty nie pomagały ratować Kościoła. Jego homilie także były dalekie od koncyliarności – właściwie podburzał ludzi... Niewątpliwie liczył się z tym, że trafi do więzienia, ale wierzył, że i węgierski episkopat, i zwykli ludzie staną za nim, i przede wszystkim oczekiwał interwencji z Zachodu. Inaczej mówiąc, był odważny i jednocześnie politycznie naiwny.

W Polsce prymas Stefan Wyszyński siadł do rozmów i podpisał w 1950 r. porozumienie z władzami. Uratował w ten sposób Katolicki Uniwersytet Lubelski oraz na kilka lat katechezę w szkołach, w zamian uznając Ziemie Zachodnie. Nie spodobało się to jednak Piusowi XII.

Papież chyba chciał mieć kolejnego męczennika, właśnie po kardynałach Mindszentym w Budapeszcie, Josefie Beranie w Pradze i Alojzije Stepinacu w Zagrzebiu. Podziwiam dyplomatyczną trzeźwość Wyszyńskiego.

Co zyskał prymas Polski w przeciwieństwie do Mindszentyego?

Parę lat względnego spokoju. Dzięki temu Kościół okrzepł po wojennej zawierusze.

W Polsce katolicy byli społeczną siłą, z którą komuniści musieli się liczyć. Węgry były wielowyznaniowe.

To prawda. Podporą katolicyzmu węgierskiego była wiejska ludność szwabska. Tymczasem dziesiątki tysięcy Szwabów wysiedlono, a z ich wsi zrobiono kołchozy. Inteligencja węgierska w sporej części była protestancka – kalwińska lub luterańska.

O tym, że polityka konsekwentnego oporu, jaką stosował Mindszenty, nie była do końca przemyślana, świadczy to, co się stało później – już po aresztowaniu prymasa w drugi dzień Bożego Narodzenia 1948 r. Inni biskupi natychmiast poszli na ugodę z władzami, ale wtedy nic już nie udało się uratować. Pokazuje to rozprawa z zakonami w 1950 r. Zlikwidowano 23 zakony męskie w 182 klasztorach (ponad 2,5 tys. zakonników) i 40 żeńskie w 450 domach (około 10 tys. sióstr). Władze pozwoliły na działalność trzech zakonów męskich: benedyktynów, franciszkanów i pijarów, oraz jednego żeńskiego: sióstr Notre Dame. Nie wchodząc w szczegóły – któremu zakonowi ile zostawiono domów – w sumie w 9 klasztorach mogło przebywać tylko około 250 zakonników i zakonnic. Jeśli dodać, że wielu kapłanów wtrącono do więzienia, zesłano do obozów pracy, zakonnice zaś imały się jakiejkolwiek pracy, na przykład służących, bo nikt nie chciał ich zatrudnić, a w wielu przypadkach sytuacja zmuszała je do ulicznego żebractwa – to otrzymuje się obraz nieprawdopodobnej tragedii ludzi Kościoła katolickiego na Węgrzech sprzed kilkudziesięciu lat.

Rozmawiałem z wieloma historykami węgierskimi, a także księżmi, którzy działali w ukryciu. Przeważała opinia, że Mindszenty powinien był siąść do rozmów z komunistami, być bardziej giętkim. Swoją postawą stawiał księży w bardzo trudnej sytuacji. Chociaż oczywiście nie da się powiedzieć „co by było, gdyby...". Sądzę, że dzięki uporowi Mindszentyego komuniści zrealizowali szybciej to, co i tak by zrobili.

Dzisiaj polska prawica tak o nim pisze: „Nieugięty męczennik, który mówił, że nie można dyskutować z komunistami, bo byłoby to jak paktowanie z diabłem".

Gdyby przyjąć taką optykę, wynikałoby z niej, że prymas Wyszyński paktował z diabłem...

Spodziewając się aresztowania, kard. Mindszenty napisał w liście do biskupów: „Nie byłem i nie jestem członkiem żadnego spisku. Jeśli to ogłoszą, będzie to wprowadzanie w błąd, a moje zeznania z powodu przemocy wykraczającej poza ludzką wytrzymałość będą nieważne".

Proces – po upokarzającym śledztwie – trwał od 3 do 8 lutego. Mindszenty został skazany na dożywocie. Na pięciu sędziów jeden żądał 15 lat więzienia, dwóch – kary śmierci. Sąd uznał za obciążające to, że prymas ma wyższe wykształcenie, że pracował jako profesor seminarium duchownego i że jest „nienawracalny" na nowy ustrój.

Uwolniony został przez powstańców w październiku 1956 r. Jego wolność trwała pięć dni. Po wkroczeniu Armii Czerwonej schronił się do ambasady amerykańskiej. Stamtąd pisał m.in. listy do kolejnych prezydentów Stanów Zjednoczonych. Zostały niedawno wydane – są to ciekawe analizy ówczesnej sytuacji, doradzające prezydentom, co powinni robić. Natomiast z irytacją przyjmował informacje o próbach Watykanu dogadywania się z Jánosem Kádárem, rządzącym Węgrami po zdławieniu przez Rosjan powstania. Do końca był nieprzejednany wobec komunistów.

Władze pozwoliły mu opuścić amerykańską ambasadę i Węgry dopiero w 1971 r. On sam nie chciał wyjeżdżać, ale Watykan nalegał. Gdy z Wiednia przyleciał do Rzymu, Paweł VI zaprosił go do koncelebry. Podobno Mindszenty nie podał papieżowi znaku pokoju, gdyż miał mu za złe zbyt, jego zdaniem, miękką „politykę wschodnią".

Podobno Paweł VI zwykł go nazywać „ofiarą historii", a nie „ofiarą komunizmu".

Całkiem możliwe. W każdym razie zażyczył sobie, że chce być pochowany na Węgrzech, ale dopiero wtedy, gdy ostatni żołnierz sowiecki opuści kraj. I tego się rzeczywiście trzymano. Zmarł w Wiedniu 6 maja 1975 r. I dopiero w 1991 r. jego szczątki sprowadzono z Mariazell, gdzie był pochowany, i umieszczono w Krypcie Prymasowskiej archikatedry w Ostrzyhomiu. ©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

GRAŻYNA MAKARA

JÓZEF PUCIŁOWSKI *jest dominikaninem, historykiem. Jego matka była Węgierką. W latach 1996–2004 był przełożonym odnowionego po transformacji Wikariatu Dominikanów na Węgrzech.*

Laickość po francusku

ANDRZEJ STANISŁAW CHANKOWSKI

W polskiej dyskusji na temat rozdziału Kościoła od państwa model francuski funkcjonuje jako negatywny wzorzec. Czy słusznie?

W ŚWIETLE STULETNIEGO DOŚWIADCZENIA rozdział Kościoła od państwa może się rzeczywiście jawić jako rozwiązanie instytucjonalne, które oddzielając to, co należne Bogu, od tego, co należne cesarzowi, pozwala francuskim katolikom być lojalnymi i aktywnymi uczestnikami społeczeństwa obywatelskiego. Kiedy to stwierdzamy, uznajemy tym samym laickość (*laïcité*) za zasadę pozytywną".

Słowa te pochodzą z „Listu do katolików francuskich" – ważnego raportu o zadaniach Kościoła katolickiego we Francji, przygotowanego przez biskupa Claude'a Dagensa w 1996 r. Wywołać mogą one zdziwienie w Polsce, gdzie zasada laickości i francuski model stosunków między państwem a Kościołem uchodzą często za przykład „wrogiej separacji". Skrajnym uznał go Sebastian Duda na tych łamach w artykule „Związki partnerskie" („TP" nr 5 oraz na powszech.net/laickosc).

Nie bierze się najwyraźniej pod uwagę faktu, że zdecydowana większość francuskiej hierarchii i wiernych od dłuższego już czasu uważa ten model za udany, czego formalnym wyrazem był udział biskupów francuskich w obchodach setnej rocznicy uchwalenia „Prawa o rozdziale Kościołów i państwa" z 1905 r.

Rzecz jasna, obecny konsens jest wynikiem długiej ewolucji, w trakcie której sama *laïcité* ze „zdobywczej i antykatolickiej ideologii" przekształciła się w „ramy instytucjonalne i stan ducha", pozwalające odnaleźć się w nich katolikom (bp Dagens). Osiągnięto go nie bez trudności i tylko dzięki umiejętności szukania kompromisu po obu stronach ostrego niegdyś sporu.

Rozdział w 1905 r.

Spór między republikańską i antyklerykalną lewicą a katolicką (i często rojalistyczną) prawicą jest jednym z ważniejszych nurtów historii III Republiki od czasu jej powstania (1870) co najmniej do I wojny światowej (1914). Antyklerykalne elity republikańskie uznawały Kościół katolicki za ostoję „dawnego ustroju" (*ancien régime*) i przeszkodę na drodze do unowocześnienia kraju, upokorzonego porażką w wojnie z Prusami.

Głównym polem bitwy stało się szkolnictwo: to właśnie w tym kontekście pojawił się termin *laïcité*, rozumiany początkowo jako uwolnienie nauczania od wpływu kleru.

Ustawodawstwo szkolne ministra Fery'ego, które doprowadziło do utworzenia sieci szkół publicznych „bezpłatnych i laickich", uchodzi za najważniejszą w historii reformę na drodze ku zintegrowaniu różnorodnej kulturowo i światopoglądowo ludności. Nie chodziło jednak o likwidację szkolnictwa katolickiego, lecz o przełamanie jego dotychczasowego monopolu. Wysuwane przez antyklerykałów propozycje zastąpienia go monopolem państwa nie doczekały się realizacji: współistnienie dwóch szkół – publicznej (laickiej) i „wolnej" (katolickiej) – będzie od tej pory trwałym elementem pejzażu szkolnego.

Uchwalone w 1905 r. „Prawo o rozdziale Kościołów i państwa" – najważniejsza podstawa prawna laickości Francji – wpisywało się więc w kontekst zdawałoby się nieprzezwyciężalnego konfliktu między „dwiema Francjami", zaostrzonego w 1904 r. zerwaniem z powodów politycznych stosunków dyplomatycznych między Stolicą Apostolską a III Republiką.

Wśród najważniejszych postanowień prawa, które zastąpiło obowiązujący od 1801 r. konkordat, znalazło się zapewnienie wolności sumienia, w tym wyznania. Neutralności państwa wobec wszelkich religii służyć miał zakaz subwencjonowania kultów ze środków publicznych. Jednocześnie państwo stawało się gwarantem wolności kultów, których jakiekolwiek zakłócanie uznane zostało za wykroczenie. Przewidywano użytkowanie przestrzeni publicznej na potrzeby ceremonii religijnej, budynki kultu nie mogły z kolei być wykorzystywane do prowadzenia działalności politycznej. Kościoły i inne związki wyznaniowe miały od tej pory cieszyć się statusem stowarzyszeń.

Duch prawa był tedy liberalny i nie odpowiadał skrajnym propozycjom pojawiającym się wśród antyklerykałów. Wśród przedstawicieli ówczesnego francuskiego episkopatu, a także wiernych, nie brakowało głosów, aby współpracować z władzami w jego zastosowaniu. Reakcja Rzymu była jednak ostra: w dwóch encyklikach („Vehementer nos" i „Gravissimo officii") Pius X potępił to prawo i wezwał francuskich katolików do stawiania oporu.

Polem bitwy stała się inwentaryzacja dóbr kościelnych, będąca konsekwencją przewidzianej zmiany ich właściciela. Wynikała stąd konieczność otwarcia tabernakulów. Dzięki współpracy księży z władzami w niektórych miejscowościach inwentaryzacja odbyła się w sposób pokojowy, przy poszanowaniu sakralnego charakteru inwentaryzowanych przedmiotów, w wielu innych jednak doszło do starć, efektem była jedna ofiara śmiertelna. Doprowadziło to do zmiany rządu, którego nowy minister spraw wewnętrznych, Georges Clemenceau – skądinąd uchodzący za antyklerykała – w poufnym okólniku nakazał prefektom prowadzenie inwentaryzacji wyłącznie tam, gdzie nie napotyka na opór.

POŻEGNANIE

14 marca o godz. 17.00 w kolegiacie św. Floriana w Krakowie
ks. Adam Boniecki odprawi Mszę św.
z okazji 100. rocznicy urodzin

Jana Józefa Szczepańskiego

o czym zawiadamia
RODZINA

PHILIPPE LE TELLIER / GETTY IMAGES

Demonstracja w obronie prywatnych szkół, Paryż, maj 1984 r.

Droga do stworzenia ram, w których wszyscy obywatele, bez względu na światopogląd, utożsamiać by się mogli z Republiką – co było intencją prawodawców – była jeszcze daleka. Do zasypywania przepaści przyczyniła się niewątpliwie I wojna światowa i żywa w jej trakcie idea „świętej jedności" (*union sacrée*), zgodnie z którą nauczyciel szkoły publicznej i proboszcz wspólnie przyczyniali się do podtrzymania ducha narodowego. Ważną rolę odegrała także zmiana stanowiska Rzymu. W 1921 r. przywrócono stosunki dyplomatyczne między Republiką a Stolicą Apostolską, a Pius XI udzielił francuskim biskupom zgody na tworzenie stowarzyszeń diecezjalnych, stanowiących odtąd podstawę prawną działalności Kościoła.

Opór Kościoła katolickiego przyniósł mu trwałe korzyści. Wobec początkowej odmowy utworzenia stowarzyszeń, które miały stać się właścicielami budynków kultu, kościoły przejęte zostały na własność gmin (*communes*) i bezpłatnie przekazane na użytek wiernych. Doprowadziło to do paradoksalnej sytuacji: Kościoły protestanckie i wspólnota żydowska, podporządkowując się prawu z 1905 r., posiadają dziś budynki i ponoszą koszty ich utrzymania, gdy tymczasem Kościół katolicki, kontestując niegdyś wspomniane prawo, użytkuje kościoły utrzymywane w 90 proc. przypadków przez gminy.

Warto wreszcie wspomnieć, że prawo z 1905 r. nie obowiązuje na całym terytorium Francji. Pomijając skomplikowaną sytuację terytoriów zamorskich, najważniejszym wyjątkiem są trzy departamenty Alzacji i Lotaryngii, które w 1905 r. należały do Niemiec. Po powrocie tych regionów do Francji w 1918 r. nie zastosowano tam prawa o rozdziale Kościołów od państwa, lecz przywrócono napoleoński konkordat z 1801 r. Na jego mocy księża, pastorzy i rabini pobierają państwową pensję, religia jest w szkołach publicznych przedmiotem obowiązkowym (o zwolnienie od którego rodzice mogą wszelako wnosić), a prezydent Francji jest ostatnią w świecie głową państwa mianującą biskupów Kościoła katolickiego: arcybiskup Strasburga i biskup Metzu są formalnie rzecz biorąc pracownikami służby cywilnej i otrzymują stosowne do rangi w hierarchii urzędniczej uposażenie.

Kompromis szkolny

Jeżeli prawo z 1905 r. doprowadziło w dłuższej perspektywie do przezwyciężenia podziałów w dziedzinie stosunku obywateli do państwa, o tyle prawo wprowadzone przez rząd Michela Debrégo w 1959 r. przyczyniło się do załagodzenia konfliktu w kwestii szkolnej. Na jego podstawie szkoły prywatne mogą zawrzeć umowę (*contrat*) z państwowymi władzami szkolnymi. Zastrzegając sobie prawo zachowania „szczególnego charakteru" (czego wyrazem jest prowadzenie dobrowolnej katechezy), szkoły te zobowiązują się do realizacji ministerialnego programu nauczania i przestrzegania tych samych ogólnych norm, co szkoły publiczne – przede wszystkim niestosowania przy naborze i ocenie uczniów kryterium wyznaniowego. W zamian za to nauczyciele i personel tych szkół opłacani są przez państwo (co stanowi lwią część ich budżetu i pozwala utrzymać czesne na niskim poziomie) i praktycznie (choć nie formalnie) korzystają z przywilejów pracowników sektora publicznego.

Prawo Debrégo zniosło zatem radykalny przedział między dwoma konkurencyjnymi systemami szkolnymi, umożliwiając szerszy dostęp do placówek prywatnych i ujednolicając program nauczania w obu rodzajach szkół. Nietrudno się jednak domyśleć, że wzbudziło tym samym gorący opór „lewicy laickiej", widzącej w nim wyłom w zasadzie niesubwencjonowania instytucji religijnych przez państwo.

Licząc na jej głosy François Mitterrand obiecał w kampanii prezydenckiej zniesienie tego prawa. Przedłożony w 1984 r. ministerialny projekt wyprowadził jednak na ulice ponad milion obrońców „wolnej (tzn. prywatnej) szkoły", co skłoniło prezydenta Mitterranda do zdymisjonowania ministra edukacji oraz premiera i rezygnacji z projektu. Kiedy z kolei w 1993 r. prawicowy rząd Édouarda Balladura próbował tak zmienić prawo, aby umożliwić zwiększenie dotacji dla szkół prywatnych, musiał się również wycofać wobec milionowych demonstracji obrońców „szkoły publicznej".

Społeczeństwo francuskie nie chce więc naruszać osiągniętego niegdyś kompromisu. Jego wyrazem jest dzisiejsza sytuacja, w której sieć szkół publicznych uzupełnia rozbudowana sieć szkół katolickich, finansowanych w znacznej części przez państwo. W żadnym kraju europejskim państwo nie przyczynia się w takim stopniu do wspierania szkolnictwa katolickiego, jak czyni to w laickiej Francji.

Ostentacyjne znaki religijne

Z polskich publikacji można by niekiedy wnosić, że prawo francuskie ogranicza wolność osobistą obywateli, zabraniając ↦

↦ im używania w przestrzeni publicznej znaków religijnych. Jest to pogląd błędny. Prawo z 1905 r. zabrania wyłącznie umieszczania znaków religijnych na obiektach publicznych (w żadnym więc urzędzie francuskim nie wisi krzyż), respektuje się jednak te znaki, które (jak np. krzyż na rozstajach) stanowią część „dziedzictwa kulturowego". Nie znaczy to również, że sami obywatele nie mają prawa się nimi posługiwać, organizując np. w centrum miasta procesję.

Źródłem konfuzji w komentarzach jest stosunkowo niedawne prawo, zakazujące noszenia „ostentacyjnych znaków religijnych" w szkołach. Uchwalono je w 2004 r. w atmosferze narastającego niepokoju wobec radykalnego islamu i w kontekście sporów, które nasiliły się między uczennicami muzułmankami zakrywającymi głowy a władzami szkolnymi. Powołana przez prezydenta Chiraca komisja, reprezentująca całą paletę światopoglądów, stwierdziła, że zaistniały przypadki, kiedy uczennice zakrywały głowy nie z własnej woli, lecz pod naciskiem rodziny. Reakcją państwa było zakazanie noszenia „ostentacyjnych znaków religijnych" (jako przykład podano *explicite* „chustę islamską, kipę lub krzyż nadmiernej wielkości") na terenie szkół publicznych. Zakaz ten obowiązuje tylko tam i nie dotyczy ani szkół niepublicznych, ani szkół wyższych.

Prawo z 2004 r. wywołało gorącą dyskusję. Dla jednych prawodawca bronił osobistej wolności niepełnoletnich, dla drugich – wolność tę ograniczał, w sprzeczności z ustawowo gwarantowaną wolnością wyznania. Niewątpliwie nastąpiła znacząca zmiana w orzecznictwie: o ile poprzednio fakt noszenia „znaków religijnych" uznawano za neutralny (pod warunkiem, że nie towarzyszył temu „prozelityzm"), o tyle teraz za akt prozelityzmu uznano sam „znak religijny".

Dyskusje te skłaniają do jeszcze innego wniosku. Jeśli historycznie rzecz biorąc osią konfliktu wokół laickości był problem stosunków między Republiką a Kościołem katolickim, to obecnie spory dotyczą miejsca muzułmanów i islamu w laickim społeczeństwie. Dawny podział na „laicką lewicę" i „katolicką prawicę" całkowicie ustąpił miejsca debatom wśród samych zwolenników laickości (stanowiących zdecydowaną większość, obejmującą też katolików) na temat kształtu, jaki wobec nowych wyzwań winna ona przyjąć. Niedawny sprzeciw mer Paryża, Anne Hidalgo, wobec bożonarodzeniowej szopki na placu przed merostwem uznać można za przykład nowego rozumienia laickości, którego pryncypialność – krytykowana przez obrońców laickości „otwartej" i „integrującej" – niejako rykoszetem trafiła w akceptowany od dawna chrześcijański zwyczaj.

Jeśli ideologiczne spory i podawanie w wątpliwość uznanych wartości są oznaką nie tyle domniemanego duchowego upadku Europy, ile jej siły i wierności własnemu dziedzictwu, gorąca debata na temat miejsca wspólnot religijnych w porządku publicznym powinna cieszyć, podobnie jak różnorodność modeli, jakie państwa europejskie w tej dziedzinie wypracowały. Francja proponuje rozwiązanie godne uwagi.

© ANDRZEJ STANISŁAW CHANKOWSKI

Autor jest historykiem, zajmuje się historią starożytnej Grecji. Pracował na Uniwersytecie Warszawskim, obecnie pracuje na Uniwersytecie w Lille we Francji.

REKLAMA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

Mistyczni Żydzi wierzą, że gdy dusza stanie przed Bogiem, usłyszy pięć pytań, a czwarte będzie brzmiało – czy żyłeś zgodnie z wiarą w naprawianie świata?

Bogdan Białek

pamięć leczy rany

Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska" już w sprzedaży w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

Kraków

CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

znak

GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM

AUSTERIA

SZYMON

Hołownia:
My, oni, inni

Nie od dziś wiadomo, że wybory do Parlamentu Europejskiego ustanowiono po to, by były rodzajem oficjalnego sondażu przed najważniejszymi wyborami w galaktyce: tymi do parlamentu na Wiejskiej. Jak świat światem, wszyscy z zapartym tchem oddychają przecież w każdy boży dzień w zasadzie tylko jednym pytaniem: „Donek? A może Jarek?".

Taki papież. Znany z tego, że jest rannym ptaszkiem, pije tę swoją kawę już od czwartej, przecież tylko po to, by nie przegapić szóstej, „Sygnałów dnia" i pierwszych newsów z dziejów Najważniejszego Narodu pod Słońcem. Uchodźcy na Lesbos, dzieci na filipińskich wysypiskach, australijscy farmerzy, robotnicy rolni na brazylijskich plantacjach – wszyscy zaczynają dzień pełni tych samych dylematów: czy Richard Henry już odtweetował coś Grzegorzowi „Shrekowi" Schetynie? Czy partner Roberta Biedronia ma szanse jako lider listy w Małopolsce? Czy Ryszard Petru przeprosi się z Katarzyną Lubnauer? I dlaczego, do ciężkiego licha, nikt nie zauważył jeszcze, że jest też profesor Robert Gwiazdowski?

Polska jest najważniejsza. Europa jest zaś od tego, by można się było pomądrzyć o wartościach i korzeniach, poskarżyć na tamtych (bez znaczenia, kim aktualnie są), by dawać hajs na drogi. I – *last but not least* – ojro na diety dla ziomali, żeby móc z nich później golić partyjny haracz w kraju. Ta wizja zdaje się być jedną z niewielu rzeczy, które łączą niemal wszystkie siły na naszej scenie politycznej. Dlatego Robert Biedroń (mesjasz, który im dłużej się piecze, tym bardziej wydaje się niedopieczony) bez minimalnego obciachu deklaruje, że o mandat w PE zamierza się ubiegać po to, by go oddać komuś następnemu z listy, a samemu skupić się na tym, co jedynie ważne: na Wiejskiej. To dlatego rządząca partia obsadza pierwsze miejsca na listach całym swoim gwiazdozbiorem, bo przecież nie robi tego po to, by nagle eksmitować do Brukseli 80 proc. pierwszoligowych graczy. Tu też chodzi wyłącznie o przywalenie politycznym rywalom w kraju, zmiażdżenie ich zmasowanym atakiem zawodników wagi najcięższej.

Wszyscy bezwstydnie mają więc w końcowej części układu pokarmowego to, jak nieprawdopodobnie ważnym miejscem jest PE w świecie, w którym przedstawiciel naszej powstałej z kolan Rzeczypospolitej może co najwyżej zapewnić salę z cateringiem dla naprawdę wielkich graczy, ale dopiero gdy jego głos przemnoży się przez siłę Unii Europejskiej, dołącza do grona, którego głos musi być brany pod uwagę. Nikt, z Biedroniem włącznie, uparcie nie zamierza zauważyć, że nie żyjemy już w latach 90., że świat drugiej (a zaraz trzeciej) dekady XXI wieku to świat zglobalizowany, w którym różni lokalni populiści mogą (i będą) wymachiwać szabelkami partykularyzmów, ale koniec końców i tak będą musieli podkulić ogon przed prawami globalnej wioski.

Wiem, że my wszyscy, z Biedroniem włącznie, uformowaliśmy się w czasach, gdy świat to były cytrusy wiezione raz w roku przez statek wypatrywany przed Bożym Narodzeniem przez wszystkich od „Żołnierza Wolności" po „Sztandar Młodych". Dziś oddychamy światem, jemy go codziennie, wypijamy wspólną wodę, stymulujemy kosmiczne dramaty i je rozwiązujemy, tysiąc razy na dobę uczestniczymy w globalnej grze ekonomicznych związków. Żadna pompka do narodowej dumy ani obmadlanie granic nie są w stanie zatrzymać procesów, które za dekadę, dwie, zgłoszą się, by zabijać nasze dzieci – narastającej nierówności, ocieplenia klimatu, migracyjnej presji. Co na którykolwiek z tych tematów wie któryś z jedynkowiczów, wyciąganych dziś niczym rodowe srebra poszczególnych partii? Kto z nich jest w stanie wyjaśnić, jaka jest zależność między mechanizmami wspólnej polityki rolnej UE a kwestią głodu na świecie? Kto z nich ma pomysł, co zrobić z sytuacją w Jemenie? Ma zdanie na temat sankcji wobec Rosji? Jak z nimi o tym wszystkim debatować, skoro mówią otwarcie: „Kandydujemy dla picu"?

Zastanawiam się też, dlaczego po raz kolejny damy tym ludziom zrobić z siebie idiotów. Znów w poczuciu bezsilności oddamy swój głos w zasadzie tylko po to, by nie oddać go – a wraz z nim władzy – w ręce tamtych. Mam czasem wrażenie, że w polskiej polityce działa mechanizm podobny do obserwowanego w polskim Kościele. Owszem, i tu, i tam jest grono wyznawców i akolitów, idolizujących tego prezydenta, tego premiera, tamtego biskupa. Większość z nas traktuje jednak zarówno świeckich, jak i duchownych liderów tak jak chłopstwo magnaterię. Kłania się w pas, bijąc czapkami do ziemi, gdy pan przejeżdża, odwiedzając włości, lub trzeba załatwić zwolnienie z pańszczyzny. Darzy jednak czystą niechęcią, obmową, a czasem rewolucyjną pogardą, gdy zostaje się w (pozornym) zaciszu prywatności, domu czy internetu.

To dlatego nie dziwi mnie, że tak (rzekomo) arcykatolicki naród jest też zarazem tak wyraźnie antyklerykalny (i będzie jeszcze bardziej: nasi arcypasterze ciężko na to pracują). Nie jest też wielkim zaskoczeniem, że ludzie stale (od Polskiej Partii Przyjaciół Piwa, przez Samoobronę, po Kukiz'15) dają się nabrać na wybieranie polityków, którzy udają, że nimi nie są, że poczęli się wczoraj i są niepokalani niczym sny dziewicy, a lansują się przez samoznoszący się postulat: „Idziemy do polityki, żeby skopać tyłki politykom!".

A gdy patrzę, jak ta sama choroba ogarnia USA, Ukrainę, Włochy, Wielką Brytanię, szaleje już na Filipinach i w Ameryce Łacińskiej, przychodzi mi do głowy taka myśl: a co, jeśli wszelkiego rodzaju ludowi komedianci, dealerzy prostackich afektów, postaci w rodzaju Trumpów i Salvinich, to nie tyle termometr wskazujący chorobę, ale również identyfikacja jej przyczyny? Że co, że to oni na tamtych głosowali? A co, jeśli to my, układając w ostatnich latach tak, a nie inaczej listy naszych priorytetów, stworzyliśmy świat, w którym ich wybór był możliwy? ©

WYSPA FRUSTRACJI

Uchodźców na Lesbos przybywa mniej niż kiedyś, ale zostają tu na dłużej.

JAKUB MEJER Z GRECKIEGO ARCHIPELAGU NA MORZU EGEJSKIM

No i gdzie są, k..., wolontariusze? Nie ma! – Omar Al-Said, społecznik, wspina się drogą, która prowadzi do obozu dla uchodźców (lub, by użyć pojęć oficjalnych, do „hotspotu" i „miejsca pierwszej rejestracji") w miejscowości Moria.

Europejczycy uwielbiają określać „złe miejsca" pojęciami z literackiego świata Tolkiena. Ale tym razem nazwa nie pochodzi od mrocznych podziemi z „Władcy Pierścieni". Jest autentyczna: tak nazywa się wioska, wcześniej znana głównie z dobrze zachowanego rzymskiego akweduktu.

Przed chwilą zakończyła się burza z gradobiciem, typowa dla zimy na wyspach Morza Egejskiego. Stromą drogą spływa rzeka deszczówki wymieszanej z błotem. Tu, gdzie sporo jest przenośnych toalet (wyglądających jak ostatniego dnia na festiwalu Woodstock), brunatna breja miesza się z detergentami i ekskrementami. Obok bawią się dzieci – w klapkach, mimo temperatury 5 stopni Celsjusza. Nie wyglądają na przejęte sytuacją, dla nich to codzienność. Dorosłych prawie nie widać.

Po lewej stronie drogi rozciąga się główny obóz. Zdaniem jego administracji jest w stanie pomieścić w odpowiednich warunkach do 3,5 tys. osób. Ale potrafi tu mieszkać nawet trzy razy więcej – wtedy nazywany jest „najgorszym miejscem w Europie". Za dziurawym drutem kolczastym widzimy ciasno rozstawione kontenery mieszkalne. Natomiast po prawej stronie drogi leży nieoficjalna, miejscami nawet nielegalna część obozu, zwana Olive Grove (Gaj Oliwny).

Omar sprawdza, czy rozstawione na dziko prowizoryczne namioty, zbudowane z kawałków brezentu (z logo ONZ lub UE), gałęzi, plastiku i siatek, nie ucier-

piały podczas burzy. – Z reguły właśnie to robię na co dzień. Siedzę w Olive Grove, pomagam rozstawiać i poprawiać namioty – mówi.

– Wolontariusze przyjadą latem. Będą pracować po pół godziny dziennie, żeby poczuć się lepiej. Resztę dnia spędzą, opalając się na plaży, a wieczorem pijąc w barach i sypiając ze sobą – powie później.

Siła obrazu

Alan Kurdi – trzyletni syryjski Kurd, którego leżące na plaży w tureckim Bodrum ciało wstrząsnęło światem we wrześniu 2015 r. – nawet nie chciał dotrzeć do Lesbos. Jednak to ta grecka wyspa na Morzu Egejskim najbardziej odczuła jego wpływ.

– Stał się wiralem – mówi Omar. Wiral to treść (np. film, zdjęcie, hasło), która szybko rozprzestrzenia się w internecie i powoduje różne konsekwencje, także w świecie niewirtualnym.

Zdjęcie martwego Alana Kurdiego poruszyło mnóstwo ludzi na Zachodzie. Jedni ograniczyli się do wyrażenia emocji na portalach społecznościowych, inni postanowili zrobić coś więcej. – A ponieważ to na Lesbos przypływało wtedy najwięcej uchodźców, więc wolontariusze przyjeżdżali tutaj – wyjaśnia Omar.

– Wtedy było inaczej niż dziś. Budynki te same, ale było dużo wolontariuszy, małych i dużych organizacji pozarządowych, przypływających łodzi – mówi Farshad Shamgholi, koordynator akcji ratunkowych w Lighthouse Relief, zajmującym się obserwacją plaży na północy wyspy.

– To było jak rzymska orgia, wszyscy przyjeżdżali ratować ludzi. Dobrze wiedzieliśmy, że wielu z nich nic nie robiło – mówi Stavros Mirogiannis zarządzający obozem Kara Tepe.

Ci, którzy w dalszym ciągu są zaangażowani w pomoc dla przybywających na wyspę, uwielbiają wracać do tamtych momentów. Kiedy greccy rybacy się zjednoczyli i smażyli dla uchodźców 15 tys. sardynek dziennie. Kiedy wolontariusze własnoręcznie pomagali w rozładowywaniu dziesiątek pontonów. Kiedy sami zorganizowali prowizoryczny obóz w byłej dyskotece.

W styczniu 2016 r. brytyjski dziennik „Guardian" pytał, „czy na Lesbos nie ma za dużo organizacji pozarządowych?". Pisał, że na wyspie jest ich 81, a oficjalnie zarejestrowanych jest raptem 30. Tymczasem aktywiści mówią, że u szczytu popularności na Lesbos działało ich prawie 200, a wolontariuszy były tysiące.

Temat opatrzony

Trzy lata później nie trzeba zadawać tego pytania.

Mniejsze organizacje nie są w stanie pracować w okresie świąt, bo nikt nie chce przyjechać. Problem nie dotyczy tylko wolontariuszy: w styczniu w obozie Pikpa od czterech miesięcy nie było psychologa. W Morii pracował tylko jeden lekarz, przyjmował jedynie pilne przypadki. Kolejki były ogromne.

– Z powodu presji więcej osób rzuca robotę. Kiedyś w szpitalu było czworo pediatrów, teraz jest dwoje. Nikt nie przyjeżdża do pracy. W obozie też nie mogą znaleźć ludzi – mówi Nicolien Kegels, odpowiedzialna za sprawy medyczne w organizacji Lekarze bez Granic.

– Brakuje pieniędzy. W 2015 i 2016 r. uchodźcy na Lesbos to był gorący temat, było dużo wolontariuszy i dużo dotacji. Powoli to spowszechniało, opatrzyło się, stało się tematem podobnym do sytuacji izraelsko-palestyńskiej: włączasz telewizor, słyszysz, że zastrzelono dwie osoby, ale już cię to nie rusza, bo słyszałeś to tyle razy. Tak samo jest z pomocą humanitarną na Lesbos. Trwa to tak długo, że się stało normalne, coraz trudniej dostać dotację i wolontariuszy. To bardzo frustrujące – mówi Farshad Shamgholi.

→

Dzikie obozowisko Gaj Oliwny na wyspie Lesbos, styczeń 2019 r.

JAKUB MEJER

↦ – Ludzie z czasem są w stanie przyzwyczaić się do wszystkiego, od pewnych rzeczy odwracają wzrok i wypierają ich istnienie, bo tak jest łatwiej – dodaje Adam Pawłowski, który od 2016 r. jeździ jako wolontariusz na Lesbos.

Ofiary umowy

W marcu 2016 r. Turcja i Unia Europejska podpisały umowę o uchodźcach. W zamian za pomoc finansową prezydent Erdoğan zobowiązał się zatrzymać u siebie przybyszów i nie przepuszczać ich dalej. Po tej umowie zmniejszyła się też liczba przypływających na greckie wyspy. W 2015 r. było to – według Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców (UNHCR) – 856 tys. osób, a w 2017 r. już tylko niespełna 30 tys.

Potem, pod koniec lata 2017 r., fundusze unijne przestały płynąć bezpośrednio do organizacji pozarządowych, zaczął nimi dysponować grecki rząd. – Większość organizacji pozostało jeszcze kilka miesięcy i zakończyło operacje na wyspie – mówi Nicolien Kegels.

Ubiegających się o azyl jest mniej, ale zmienił się ich status. Przed umową Unia-Turcja przebywali tu zaledwie na kilka dni i szybko ruszali dalej, na europejski kontynent. Teraz muszą zostać aż do pełnej rejestracji wniosku o azyl, wraz z wywiadem z urzędnikiem i badaniem lekarskim.

– Średnio spędzają w obozie 4-5 miesięcy, a najdłuższy pobyt to rok i 8 miesięcy. Mamy 760-780 osób, które są tu już ponad rok. 80 proc. z nich ma pozytywną decyzję, ale boi się ją odebrać, bo w przypadku negatywnej jesteś zatrzymany aż do deportacji – mówi Patrick Mansour, odpowiedzialny za koordynację hotspotu w Morii.

Patrick dodaje: – Ludzie są uziemieni na dłuższy czas, utknęli w próżni. To kreuje frustrację, to normalna ludzka reakcja. Najbardziej wrażliwi się samookaleczają.

– W 2015 r. ludzie mieli nadzieję. Mogli się na czymś skupić, byli w ruchu. Cierpieli, ale to było zduszone, bo mieli nadzieję na lepsze życie. Teraz zabrali im całą nadzieję – mówi Philippa Kempson, jedna z bardziej znanych aktywistek na wyspie. – Wyobraź sobie: utknąłeś w namiocie, a jedynym powodem, żeby wstać, jest kolejka po jedzenie, którego nie da się jeść. Poziom depresji jest ogromny, ludzie próbowali popełnić samobójstwo, niektórzy w ogóle nie wychodzili z namiotu.

CHARLIE YAXLEY / UNHCR / ONZ

Codzienna wyprawa po wodę pitną. Miejscowość Moria na Lesbos, listopad 2018 r.

Problem psychiczny

Organizacja Aegean Boat Report szacuje, że w połowie lutego na Lesbos było 7300 uchodźców. Około 4500 z nich mieszka w Morii: obozie w byłych koszarach, który podlega bezpośrednio greckiemu rządowi.

W dzikiej części Olive Grove warunki są najgorsze. Kontenery i namioty przepełnione, ostatnio często nie było prądu. Za mało toalet i pryszniców, ludzie stoją w długich kolejkach po jedzenie.

– Pewien dziennikarz zrobił materiał o uchodźcach, którzy dotarli już do Belgii. Ci, którzy wcześniej mieszkali w Morii, radzą sobie gorzej niż ludzie przebywający w innych obozach. Mają problem, by się ustatkować, wrócić do życia, nawet psychologowie i pracownicy społeczni widzą różnicę – mówi Nicolien Kegels.

1200-1300 ludzi mieszka w Kara Tepe, zarządzanym przez samorząd obozie tylko dla rodzin w byłej strzelnicy. 80 osób znajduje się w Pikpie, obozie w byłym ośrodku dla młodzieży. Tu przebywają najbardziej narażeni, m.in. homoseksualiści i niepełnosprawni. Niewielu mieszka w wynajętych mieszkaniach.

Większość z tych 7300 ludzi to mężczyźni, ale coraz częściej są rodziny i samotnie podróżujące dzieci. Od ponad pół roku na wyspę docierają głównie Afgańczycy – w Morii stanowią dziś 77 proc. społeczności. Wielu ucieka z Iranu, gdzie przebywali od lat. Wygnał ich stamtąd kryzys ekonomiczny wywołany amerykańskimi sankcjami i ostrzejsza polityka irańskiego reżimu wobec Afgańczyków (są wydalani z kraju lub – podobno – wcielani do wojska i wysyłani do Syrii, gdzie walczy irański kontyngent).

Czekając, radzą sobie na różne sposoby. W Morii powszechne są alkoholizm i nadużywanie leków, łatwo dostępna jest też marihuana.

Somalijczycy, których spotykam wieczorem na obrzeżach Olive Grove, są pijani. Prawie każdy trzyma piwo lub plastikowy kubek z jakąś nalewką. Stoją, w japonkach lub klapkach i skarpetach, przed metalową beczką. Palą w niej plastikowymi i papierowymi śmieciami, dym dusi. Kilka dni wcześniej w pożarze spalił się ich dom: duży namiot-dormitorium, którego osmolone fundamenty widać w pobliżu.

Opowiadają różne historie. Idris twierdzi, że chce dotrzeć do swojej kenijskiej żony i dziecka, które mieszkają w Manchesterze. Inny mówi, że przez kilka miesięcy starał się przedostać przez granicę fińsko-rosyjską; prezentuje nawet podstawy języka rosyjskiego. – Rosja zły kraj dla uchodźców – mówi krótko. Chwali się zdjęciami ran postrzałowych.

– Miejscowi nas tu nienawidzą. W hotelu widzą czarną twarz i od razu wypraszają – mówi jeden. – Przestań, nie wszyscy są źli – odpowiada drugi.

Oferta przetrwania

Nie wszyscy odreagowują używkami. Można ich spotkać, jak łowią ryby na

plaży. Wielu spaceruje. Są w bankach, kantorach, lombardach, przeglądają półki sklepów. Dalej mogą korzystać z dość bogatej oferty organizacji pozarządowych.

Amir pracuje w Safe Passage, warsztacie, w którym szyje się torby z zostawionych kamizelek ratunkowych. Przydało się doświadczenie przy szyciu garniturów w Teheranie. Od dawna może opuścić wyspę, ale postanowił zostać. – Większość ludzi, których tu spotkałem, jest dobra. Niektórzy są źli, ale mam przyjaciół wśród uchodźców, wolontariuszy i lokalnych mieszkańców. A praca pozwoliła mi odzyskać życie – mówi.

Wynajął mieszkanie, kupił aparat fotograficzny i sprzęt do biegania. Planuje przebiec maraton, chciałby zostać fotografem. Na razie musi mu wystarczyć konto na Instagramie, gdzie ma 1300 obserwujących.

Pracę dostał, bo uczestniczył w zajęciach w pobliskim centrum kultury Mosaik. To – obok skierowanego do kobiet centrum Bashira – najważniejsze w Mitylenie, głównej miejscowości wyspy, miejsca socjalizacji uchodźców. Mogą tu uczestniczyć w warsztatach upcyclingu, lekcjach angielskiego, greckiego, alfabetu łacińskiego czy obsługi komputera.

Swoje zdolności artystyczne można też rozwijać w Hope Project, realizowanym przez Erica i Philippę Kempsonów, najgłośniejszych chyba aktywistów na wyspie. Niepozorny blaszak kryje pracownię malarską. Akurat kończą się warsztaty fotograficzne: uchodźcy dostali aparaty i mogli robić zdjęcia swojego życia w obozie, jego intymnych momentów.

Obok jest punkt dystrybucji ubrań, w którym pomagają odnaleźć się nowo przybyłym na wyspę. W tym samym budynku jest jeszcze piekarnia, kuchnia, magazyn na dary i coś w stylu kawiarni.

Podobne miejsce, łączące stołówkę i centrum kultury dla uchodźców, prowadzi w miasteczku Skala Sykountas greckie małżeństwo, Nikos i Katerina. W centrum Mityleny działa modna restauracja zarejestrowana jako organizacja pozarządowa, gdzie pracują uchodźcy.

Uczucia ambiwalentne

Poczucie niemocy wpływa na tych, którzy wciąż się angażują.

Często już po kilku minutach rozmowy zmierza ona w kierunku wzajemnych oskarżeń i wylewania żalów. Małe organizacje pozarządowe krytykują duże, twierdząc, że mogłyby robić więcej. Jedni drugim zazdroszczą popularności w mediach społecznościowych i rozpoznawalności. Powszechnie krytykowani są przedstawiciele Unii i ONZ. Na murach widać napisy pod adresem agencji unijnej z siedzibą w Warszawie, odpowiedzialnej za granice: „Pieprzyć Frontex" albo „Fronteksie, co powiesz swoim dzieciom?".

Ambiwalentne uczucia wywołuje też wielu wolontariuszy: czasami nie robią nic, a czasami wywołują dodatkowe problemy, np. wiążąc się w związki z uchodźcami. – Wolontariuszy trzeba monitorować. Co robią i dlaczego, czy przyjechali dla wpisu w CV, czy dla siebie? – mówi Stavros Mirogiannis.

Środowisko pomagających czuje się kryminalizowane. Ponad sto dni w areszcie spędziło dwóch aktywistów Emergency Response Centre International: Irlandczyk Sean Binder i Syryjka Sarah Mardini (jej siostra wystąpiła na igrzyskach w Rio w drużynie uchodźców). Zostali wypuszczeni za kaucją w grudniu 2018 r., czekają na proces. Są oskarżeni o handel ludźmi.

Od tego momentu liczba osób, które uczestniczą w akcjach ratunkowych na plażach Lesbos, znacznie spadła.

Specyficzne są relacje z miejscową ludnością. Mieszkańcy obozów często skarżą się na rasizm, właściciele hoteli starają się zamknąć Pikpę, a skrajna prawica zmusiła do wyprowadzki z północnej części wyspy rodzinę Kempsonów (ich nastoletnia córka ze względów bezpieczeństwa zaczęła naukę w Wielkiej Brytanii).

– Tam, gdzie mieszkaliśmy, było dużo faszystów. W pełni nas winili za uchodźców. Po 18 latach raju ostatnie dwa lata żyliśmy z monitoringiem, zamkniętymi bramami, reflektorami. Byliśmy więźniami we własnym domu – mówi Philippa Kempson.

Z drugiej strony obozy prowadzone przez mieszkańców Lesbos są oceniane lepiej niż te podlegające bezpośrednio rządowi.

Sytuacja zależy też od miejsca. W Mitylenie, która nigdy nie była bardzo turystyczna, jest łatwiej. Podobnie w Skali Sikamineas, zamieszkanej przez społeczność Greków, którzy emigrowali z Turcji dziesiątki lat temu. Najgorzej jest w malowniczych turystycznych miasteczkach, jak Molivos.

– Trzeba brać pod uwagę, że tutejsza gospodarka odczuła to mocno. Mówi się, że liczba turystów spadła o 70 proc. Dużo biur turystycznych wycofało Lesbos z oferty, przypływa mniej statków pasażerskich. Biznes nie jest taki jak kiedyś, a nikogo nie obchodzi sytuacja lokalnej społeczności. Łódź z uchodźcami może przybić do brzegu latem w porze lunchu. Nie można oczekiwać od każdego na wyspie, by kontrolował emocje i nie tracił równowagi – mówi Farshad Shamgholi.

Oczekując wiosny

Tir wyładowany darami z Polski jedzie na Lesbos 30 dni. Zbiórka koców, śpiworów, zabawek i kosmetyków, które zajęły 270 kartonów, trwała dłużej. – Prawie kwartał i była prowadzona w Warszawie, Poznaniu, Pabianicach, Krakowie, Wrocławiu i Opocznie, a na finiszu dołączyliśmy do wysyłki rzeczy zebrane w organizacji ADA Puławska – mówi Adam Pawłowski, organizator zbiórki.

Pod koniec stycznia zaczęła je rozdawać potrzebującym rodzina Kempsonów wraz z wolontariuszami (którzy sami są uchodźcami). Pieniędzy ze zbiórki internetowej starczyło też na bony świąteczne dla wolontariuszy i skarpety oraz buty dla ratującego na plażach Refugee Rescue. Teraz Pawłowski wraz z grupą znajomych zakłada fundację. Nazwa robocza: The Hope Project Polska (analogicznie do działalności Kempsonów). Chcą regularnie organizować zbiórki darów dla Lesbos.

Tymczasem na wyspie przygotowują się na wiosnę i lato, gdy na pewno pojawi się więcej łodzi. – W tym celu staramy się transferować ludzi do obozów na kontynencie – mówi Patrick Mansour.

– Trudno przewidzieć przyszłość. W jednym roku w jakimś miesiącu jest dużo łodzi, w następnym nie. Latem Moria jest najgorszym miejscem, w jakim byłam w życiu, a byłam wcześniej w Czadzie i Kongu. Ale jeśli w 2-3 tygodnie przeniosą ludzi i z 9500, bo tyle potrafi ich być, zrobi się 5000, będzie zupełnie inaczej, lepiej – mówi Nicolien Kegels.

Pracy już teraz jest dużo. W środę 13 lutego zaginęła dziewięcioletnia Afganka: z rodzicami i czworgiem rodzeństwa płynęła pontonem, ponton uderzył w skały, dziewczynka wypadła za burtę.

Inni mieli więcej szczęścia: tylko od 10 do 13 lutego na tutejsze plaże dotarło 330 ludzi. © JAKUB MEJER

Autor jest dziennikarzem polsatnews.pl.

W cieniu Rosji i populistów

DOMINIK WILCZEWSKI

Choć od paru lat rządzi nią partia popularna wśród rosyjskiej mniejszości, Estonia utrzymywała dotąd kurs proeuropejski i proatlantycki. Kto może go podważyć?

Prowokacja była zamierzona. „Tylko dla Estończyków" oraz „Tylko dla Rosjan": plakaty takiej treści pojawiły się na początku roku na przystanku tramwajowym w stołecznym Tallinnie. Agencja reklamowa, która je przygotowała, nie chciała zdradzić, kim był zamawiający. Ale szybko ustalono, że chodzi o Estonię 200 – jedną z partii biorących udział w zaplanowanych na 3 marca wyborach do parlamentu.

Swemu oburzeniu dawali wyraz zwłaszcza tzw. rosyjskojęzyczni, którzy stanowią aż jedną czwartą Estonii, liczącej 1,3 mln mieszkańców. „Już raz podzielono społeczeństwo w latach 90., gdy nazwano nas obywatelami drugiej kategorii" – pisał ktoś na Facebooku. Liderka Estonii 200 Kristina Kallas w końcu przyznała, że to jej partia zamówiła plakaty. Tłumaczyła, że celem było pokazanie, jak łatwo jest sztucznie podzielić społeczeństwo, i przeprosiła tych, którzy mogli poczuć się urażeni.

Estonia 200 jest obecna w polityce od listopada 2018 r. Nawiązuje nazwą do obchodzonego w ubiegłym roku stulecia uzyskania niepodległości – założyciele chcą zwrócić uwagę na problemy, które wymagają długofalowych działań w ciągu kolejnych stu lat. Na tym nie kończą się ich ambitne plany. Estonia 200 chce przełamać monopol tradycyjnych partii, oferując eklektyczny i technokratyczny program. Jest w nim miejsce na zmniejszanie nierówności, rozwój infrastruktury, a także wyzwania europejskie i globalne.

Kallas ma za sobą doświadczenie kierowania uczelnią w Narwie, mieście leżącym tuż przy granicy z Rosją. Nie są jej zatem obce problemy, jakimi żyje mniejszość rosyjska. Ale niefortunna kampania z „segregującymi" plakatami może zaszkodzić wizerunkowi Estonii 200 jako partii, która nawołuje do pogłębienia międzyetnicznej integracji.

Sprawy światowe i bytowe

Jednak głównym sprawcą przedwyborczych sporów jest ktoś inny.

Estońska Konserwatywna Partia Ludowa (EKRE) to nacjonalistyczno-populistyczne ugrupowanie, które nie stroni od haseł wymierzonych w imigrantów, homoseksualistów i „unijnych biurokratów", a ponad współpracę z Unią przedkłada sojusz z USA. Jego lider, 69-letni Mart Helme, w latach 90. ambasador Estonii w Moskwie, chce prosić Trumpa o miliard dolarów inwestycji w rozbudowę estońskiego potencjału obronnego. Rodaków straszy nie tylko Rosją, ale też Unią Europejską i „rządem światowym". EKRE jest kontynuatorką m.in. Ruchu Patriotycznego, który kilkanaście lat temu domagał się usunięcia z centrum Tallinna pomnika żołnierza Armii Czerwonej. Jego demontaż w 2007 r. doprowadził do zamieszek na tle narodowościowym, a estońskie systemy informatyczne stały się celem ataku rosyjskich hakerów.

Z uwagi na liczną mniejszość rosyjską jeszcze niedawno zagraniczne media rozpisywały się o możliwości powtórki w Estonii scenariusza krymskiego, „zielone ludziki" już prawie widziano w Narwie. Dziś można z satysfakcją stwierdzić, że strach miał zbyt wielkie oczy. Choć faktycznie część rosyjskojęzycznych nadal mentalnie żyje w „russkim mirze", to mało komu śpieszy się, by stać się jego częścią. Dotyczy to także mieszkańców Narwy, którzy mogą porównać swój poziom życia z leżącym po drugiej stronie granicy Iwangorodem.

Los rosyjskojęzycznych, choć jest społecznym problemem, nie będzie zatem kluczową kwestią w wyborach. Tym, co zajmuje mieszkańców Estonii (różnej narodowości), są raczej przyziemne sprawy bytowe, związane z podatkami czy różnicami w tempie rozwoju między Tallinnem a mniejszymi miejscowościami.

Stały kurs prozachodni

Wybory będą testem popularności dla rządu 40-letniego Jüriego Ratasa i jego Partii Centrum. Premier obiecuje podniesienie emerytur i świadczeń dla rodzin, lepszy dostęp do służby zdrowia, rozwój infrastruktury i rozszerzenie darmowego transportu poza Tallinn.

W poprzednich wyborach w 2015 r. centryści musieli ustąpić pierwszeństwa liberalnej Partii Reform. Na czele rządu stanął wówczas reformista Taavi Rõivas, ale w trakcie kadencji doszło do przesilenia: niezadowoleni ze współpracy koalicjanci z Partii Socjaldemokratycznej (SDE) i konserwatywnej Pro Patrii zwarli szyki z opozycyjnymi centrystami – i wspólnie obalili Rõivasa. Partia Reform, pozostająca u władzy przez prawie 15 lat, musiała przejść do opozycji.

Dla centrystów objęcie teki premiera było przełomem. Choć wcześniej dwukrotnie tworzyli wspólne gabinety z reformistami (w latach 2002-03 i 2005-07), to ciążyło na nich odium ugrupowania prorosyjskiego, co ograniczało ich zdolności koalicyjne.

Partia Centrum faktycznie cieszy się największą popularnością wśród rosyjskojęzycznego elektoratu, ale oskarżenia o sprzyjanie Rosji wynikały głównie z działań jej wieloletniego lidera Edgara Savisaara. Ten weteran estońskiej polityki, pierwszy premier po odzyskaniu niepodległości, a później mer Tallinna, naraził się opinii publicznej utrzymywaniem bliskich kontaktów z putinowską Jedną Rosją i tamtejszymi oligarchami. Sprzeciwiał się też przeniesieniu tallińskiego pomnika Armii Czerwonej.

Dopiero problemy zdrowotne Savisaara i zarzuty korupcyjne, które usłyszał w 2015 r., umożliwiły centrystom pozbycie się kontrowersyjnego lidera. Odwołanie Savisaara i zastąpienie go o prawie trzy dekady młodszym Ratasem otworzyło centrystom drzwi do udziału w głównym nurcie estońskiej polityki.

Wprawdzie zagraniczne media snuły kasandryczne spekulacje, czy pod rządami Partii Centrum Estonia nie znajdzie się w rosyjskiej strefie wpływów, ale nic takiego nie nastąpiło. Nowy rząd, współtworzony przez dotychczasowych koalicjantów Partii Reform, podtrzymał objęty przez poprzedników kurs prozachodni, proeuropejski i proatlantycki. Rządy Ratasa – jak mawiają Estończycy – nie są może efektowne, ale za to stabilne.

ESTONIAN PUBLIC BROADCASTING

Przystanek tramwajowy w Tallinie z plakatami „Tylko dla Estończyków" oraz „Tylko dla Rosjan", styczeń 2019 r.

Centryści kontra reformiści

Opozycyjni reformiści chcą teraz wrócić do władzy, a ma im w tym pomóc nowa liderka Kaja Kallas (nie jest spokrewniona z Kristiną z Estonii 200).

Jej rodzina dużo znaczy w estońskiej polityce: ojciec Kai, Siim Kallas, był premierem i pierwszym estońskim komisarzem europejskim po akcesji w 2004 r. Choć dopiero 41-letnia, Kaja Kallas zapracowała już na własną pozycję: ostatnie cztery lata spędziła w Parlamencie Europejskim, gdzie zdobyła opinię jednego z najbardziej pracowitych deputowanych (zajmowała się rynkiem cyfrowym i polityką energetyczną). W rankingu VoteWatch Europe dwukrotnie zdobywała miano najbardziej wpływowego spośród estońskich europosłów.

Kai Kallas udało się zapanować nad walkami frakcyjnymi. Co ciekawe, i Partia Reform, i Partia Centrum należą do unijnego Porozumienia Liberałów i Demokratów na rzecz Europy (ALDE). Wskazanie zasadniczych ideowych różnic między nimi byłoby trudne.

O ile Centrum odgrywa rolę prospołecznej lewicy, o tyle reformiści chcą bronić zdobyczy „taniego państwa": niskich i prostych podatków, ograniczonej interwencji w gospodarkę. „Jesteśmy elastyczni i otwarci na nowe idee, ale nie musimy każdego dnia wymyślać Estonii na nowo" – mówiła Kallas podczas konwencji inaugurującej kampanię.

Walka o pierwsze miejsce rozstrzygnie się więc między centrystami i reformistami. Sondaż z początku lutego daje im odpowiednio 26,5 i 24,5 proc. poparcia. Trudno wyrokować, kto wygra.

Nie zagrożą im raczej populiści, którzy – to trend ogólnoeuropejski – także w Estonii urośli już do rangi trzeciej siły. O ile w 2015 r. ich EKRE zgarnęła 8 proc. głosów, to w najnowszym sondażu cieszy się poparciem prawie 19 proc. ankietowanych. W tyle pozostają socjaldemokraci i Pro Patria, a na przekroczenie pięcioprocentowego progu może jeszcze liczyć Estonia 200.

Sondaże wskazują też, że Estończycy preferowaliby koalicję Partii Centrum i Reform, z Ratasem w roli premiera.

Czy wybory można zhakować?

Głównym pytaniem tych wyborów jest jednak to, czy uda się utworzyć stabilną większość bez udziału populistów z EKRE.

Na razie przedstawiciele wszystkich dużych partii wykluczają taką możliwość, a Kaja Kallas nazwała ich wprost „zagrożeniem dla porządku konstytucyjnego". Mart Helme ripostował, że tych zapowiedzi nie można traktować poważnie. „Zobaczymy, co się stanie z ich obietnicami po 3 marca. Coś mi się wydaje, że przyjdą oni na nasze powyborcze przyjęcie z prośbą o spotkanie" – tak lider populistów odgrażał się w mediach.

Niepokoje związane z udziałem populistów w rządzie studzi politolog Rein Toomla z Uniwersytetu w Tartu, cytowany przez dziennik „Postimees". Jeśli Partia Centrum wygra wybory, to jego zdaniem nie powinna mieć problemu ze sformowaniem rządu – tym bardziej że większość ugrupowań ma już doświadczenie wcześniejszej współpracy. „W porównaniu z ubiegłymi latami formowanie rządu powinno być tym razem łatwiejsze" – uważa Toomla.

101 członków parlamentu (Riigikogu) Estończycy wybiorą 3 marca. Już teraz głosować mogą wyborcy mieszkający za granicą. 21 lutego ruszyło także głosowanie elektroniczne za pomocą systemu informatycznego, którym Estończycy od kilku lat chwalą się na całym świecie. Cztery lata temu w takim e-głosowaniu wzięło udział ponad 170 tys. wyborców.

Czy głosowanie internetowe można zhakować? Przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej Priit Vinkel zapewnia, że kraj jest przygotowany na różne zagrożenia, a oddanie głosu przez internet jest całkowicie bezpieczne.

Priit Vinkel problem widzi w czym innym: w umiejętności odsiania rzetelnego przekazu medialnego od dezinformacji. To już jednak zadanie dla społeczeństwa. ©

DOMINIK WILCZEWSKI *jest redaktorem „Przeglądu Bałtyckiego".*

Przymiarki do ideału

PIOTR TARCZYŃSKI

Do wyborów prezydenckich w USA zostało jeszcze ponad 600 dni, ale po stronie Demokratów walka o nominację partyjną ruszyła już z kopyta.

Można się oczywiście zżymać, że kampania rusza zbyt wcześnie – głosowanie dopiero w listopadzie 2020 r. – przez co potrwa za długo, wyczerpując zarówno wyborców, jak też pretendentów. Jednak przed wyborami w 2008 r. główni kandydaci startujący w prawyborach Partii Demokratycznej – Hillary Clinton, Joe Biden i Barack Obama – też ogłaszali swój start w styczniu i lutym roku poprzedzającego głosowanie.

Na razie początek kampanii – lub utworzenie komitetu, jakoby tylko badającego taką opcję, co jednak zawsze kończy się decyzją na „tak" – zapowiedziało dziesięcioro polityków. Choć liczba na pewno wzrośnie – kilku ważnych graczy wciąż bije się z myślami – to raczej nie będzie ich więcej niż rekordowa 17, która w 2016 r. ubiegała się o nominację Partii Republikańskiej.

Walka o to, kogo Partia Demokratyczna nominuje, będzie wyjątkowa – i to z wielu powodów.

Biden jeszcze się waha, Sanders próbuje ponownie

Przede wszystkim wśród Demokratów nie ma dziś wyraźnego faworyta, choć na tym etapie sondaże jeszcze niewiele znaczą. Wie o tym aż za dobrze Hillary Clinton, której koronacja w roku 2008 i 2016 zdawała się pewniakiem. Część rywali powiedziała wówczas „pas". Ale ci, którzy rzucili jej rękawicę, wyszli na tym nieźle: Obama niespodziewanie zdobył nominację (i potem prezydenturę), a Bernie Sanders, choć przegrał prawybory w 2016 r., to wyrósł na nieoficjalnego lidera amerykańskiego obozu lewicowego.

W badaniach opinii publicznej prowadzi obecnie Joe Biden. Ale 76-letni były wiceprezydent wciąż się nie zdecydował, by po raz trzeci ubiegać się o partyjną nominację. Powszechnie lubiany i szanowany, jest jednak świadom, że jego popularność w niemałym stopniu bierze się z przyjętej przezeń roli emerytowanego męża stanu. Powrót do aktywnej polityki oznaczałby też konieczność zmierzenia się z dziedzictwem Obamowego centryzmu, którego Biden jest naturalnym spadkobiercą. Tymczasem, mimo że Obama wciąż cieszy się wśród sympatyków Demokratów wielką popularnością, to linia partii przesunęła się zdecydowanie na lewo.

Senator Kirsten Gillibrand z mężem Jonathanem, Waszyngton, 12 lutego 2019 r.

CAROLYN KASTER / AP / EAST NEWS

Paradoksalnie właśnie to może być problemem również dla 77-letniego Berniego Sandersa, senatora z Vermont, który – zgodnie z przewidywaniami – po raz drugi będzie ubiegał się o nominację. „Kontynuujemy rewolucję rozpoczętą w 2016 roku" – zapowiedział Sanders w minionym tygodniu. Gdy zachodził Hillary Clinton „z lewej flanki", był jedynym głosem wewnątrzpartyjnej opozycji. Dziś pole bitwy wygląda zupełnie inaczej niż trzy lata temu.

Postulat powszechnej opieki zdrowotnej – jedno ze sztandarowych haseł Sandersa, niegdyś uważane za straszliwy radykalizm – poparł oficjalnie Barack Obama i dziś znajduje się ono w programie prawie wszystkich liczących się Demokratów.

Inny temat Berniego Sandersa – zasadnicza zmiana paradygmatu ekonomicznego, sprawiedliwsze podatki, zmniejszanie nierówności, lepsze warunki pracy, ukrócenie nadużyć wielkiego biznesu, darmowa edukacja na publicznych uniwersytetach itd. – także wszedł już do mainstreamu.

To oczywiście wielki sukces Sandersa: bez mała w pojedynkę zdołał zmienić ideowy kurs największej partii w Stanach, w dodatku takiej, do której formalnie wciąż nie należy (bo oficjalnie jest politykiem niezależnym).

Wprawdzie Sanders wciąż budzi entuzjazm wielu Demokratów, ale zasadne jest pytanie, czy „sandersizm" naprawdę potrzebuje dziś Sandersa, oraz czy sztandaru rewolucji nie może ponieść inny kandydat, lepiej spełniający różne (czasem sprzeczne) oczekiwania wyborców – nie tylko tych demokratycznych, ale też niezależnych.

Albo kandydatka, w tym roku bowiem pole zdominowały urzędujące senatorki.

Cztery mocne kobiety

Elizabeth Warren z Massachusetts wystartowała jako pierwsza, bo jeszcze w grudniu. Orędowniczką walki z nierównościami ekonomicznymi jest od lat, to z jej inicjatywy Obama powołał Biuro Ochrony Finansowej Konsumentów – znienawidzone przez Wall Street.

Gospodarczy program Elizabeth Warren właściwie nie różni się od programu Sandersa i był to jeden z powodów, dla których nie wystartowała ona w 2016 r., choć wielu ją do tego namawiało – konkurowałaby z Sandersem o ten sam elektorat. Sanders nie miał takich oporów, a jego decyzja o starcie to właśnie Warren najbardziej namieszała w planach.

Kwestię kobiecą podnosi Kirsten Gillibrand z Nowego Jorku. Kiedyś konserwatywna Demokratka, dziś jest jedną z najbardziej liberalnych członkiń Senatu, a w kampanii przyjęła ton jednoznacznie feministyczny. Dała się już poznać na tym polu, walcząc z seksizmem również w szeregach własnej partii: to także pod jej naciskiem zrezygnował oskarżony o molestowanie senator Al Franken. Strategia ta może się opłacić, bo przepaść polityczna między płciami się pogłębia: Republikanie stają się coraz bardziej partią mężczyzn, a Demokraci partią kobiet. Tymczasem to głos kobiecego elektoratu może być decydujący w prawyborach tego ugrupowania.

Demokraci są też partią mniejszości, co z kolei sprzyja Kamali Harris z Kalifornii – jedynej czarnoskórej kobiecie w Senacie, córce Jamajczyka i Hinduski, porównywanej czasem do Obamy. Nie tylko z powodu imigranckiego pochodzenia i talentu oratorskiego, lecz także krótkiego, bo dwuletniego stażu w polityce. Harris, wieloletnia prokurator (okręgowa w San Francisco, a potem generalna swojego stanu), dała się już jednak poznać jako konkretna i nieustępliwa – zarówno w trakcie senackich przesłuchań Bretta Kavanaugh, kontrowersyjnego nominata Trumpa do Sądu Najwyższego, jak i Marka Zuckerberga (gdy bronił się on przed zarzutem, że Facebook wykorzystano do „zhakowania" wyborów prezydenckich w 2016 r.).

Ostatnia na liście jest Amy Klobuchar z Minnesoty. Najmniej znana, choć jest w Senacie najdłużej – i z tego właśnie próbuje uczynić swój atut. Stawia na pragmatyzm i umiejętność szukania porozumienia ponad podziałami partyjnymi. W przeciwieństwie do koleżanek z Senatu nie popiera powszechnej opieki zdrowotnej i pozycjonuje się w ideologicznym centrum swojej partii, gdzie jak na razie jest najwięcej miejsca (przynajmniej dopóki nie wystartuje Joe Biden). Klobuchar pochodzi z tradycyjnie demokratycznego Środkowego Zachodu, który w 2016 r. poparł Trumpa, i przedstawia się jako osoba, która zdoła odzyskać ten region dla swojej partii.

Zarzuty, szkielety i drwiny

Powodów, dla których w 2016 r. Hillary Clinton przegrała z Donaldem Trumpem, było wiele – niebagatelną rolę odegrał jednak seksizm. Tymczasem w 2020 r. pod tym względem będzie jeszcze gorzej. Już mamy przedsmak tego, co nas czeka: nie minął miesiąc kampanii, a zaczęły padać najróżniejsze zarzuty, od absurdalnych po obraźliwe.

Jedna z kandydatek usłyszała więc, że... źle je kurczaka. Inna, że źle traktuje stażystów w Senacie. Jeszcze inna, że zrobiła karierę przez łóżko. Każda słyszy też to samo pytanie – czy jest wystarczająco „sympatyczna" – choć nikt nie zgłasza takich oczekiwań wobec kandydatów płci męskiej. Różne rzeczy w końcu można powiedzieć o Donaldzie Trumpie czy Mitcie Romneyu (w 2012 r. przegrał on z walczącym o reelekcję Obamą), ale nie to, że są szczególnie „sympatyczni".

Nie znaczy to, że kandydatki-senatorki nie mają szkieletów w szafie. Warren bardzo niezręcznie rozgrywa kwestię swojego rzekomo indiańskiego pochodzenia, budząc tym z jednej strony irytację lewicy, a z drugiej drwiny prawicy. Z kolei Gillibrand i Harris muszą odpierać zarzuty, że nie są wcale aż tak liberalne: pierwsza popiera prawo do posiadania broni palnej, a dla drugiej problemem może być jej kariera prokuratorska i to, że jakoby zbyt często stawała po stronie policji, a nie traktowanych niesprawiedliwie mniejszości.

Młodsi czy doświadczeni?

Na razie wśród zadeklarowanych już i liczących się kandydatów Partii Demokratycznej nie ma ani jednego białego heteroseksualnego mężczyzny. Cory Booker, senator z New Jersey, jest czarnoskóry. Julián Castro, były sekretarz ds. mieszkalnictwa, jest Latynosem. Pete Buttigieg, burmistrz z Indiany, jest gejem. Dopiero w trzecim szeregu majaczą postacie wyglądające jak „tradycyjni" kandydaci na prezydenta: senator Sherrod Brown z Ohio czy John Hickenlooper, były gubernator stanu Kolorado. Ich udział w wyścigu to raczej próba zdobycia rozpoznawalności; być może też celują oni w wiceprezydenturę albo stanowisko w przyszłej demokratycznej administracji.

Nie da się ukryć, że w sytuacji, gdy Partia Republikańska coraz wyraźniej ustawia się w roli ugrupowania białych mężczyzn, po lewej stronie sceny politycznej USA nie jest to dla nich dobry czas. Trump jest w końcu białym heteroseksualnym mężczyzną *par excellence*, a w dodatku najstarszym prezydentem USA w historii.

Tymczasem Sanders i Biden dobiegają osiemdziesiątki, a Elizabeth Warren jest młodsza od nich o dekadę. Elektorat ↦

Demokratów chce zmiany pokoleniowej, co widać choćby po entuzjazmie, z jakim przyjmowana jest najnowsza gwiazda partii, 29-letnia kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez. Gdyby spełniała warunek formalny i miała ukończone 35 lat, zapewne namawiano by ją do startu. Przymierza się podobno do tego młody (czytaj: czterdziestoparoletni) i charyzmatyczny Beto O'Rourke, któremu prawie udało się zostać senatorem z Teksasu.

Oczywiście paradoks polega na tym, że w 2016 r. wyborcy pragnący zmiany pokoleniowej – mający już dość „odwiecznej" Hillary Clinton – koniec końców zagłosowali na starszego od niej Sandersa. W tym roku może być podobnie. Ale rozmowy o wieku kandydatów na pewno nie uda się uniknąć. Demokraci są zdeterminowani, by odzyskać Biały Dom, a szeroki i różnorodny wachlarz kandydatów daje szansę na rzetelną debatę o ideowym kierunku partii: czy powinna iść na lewo, w stronę Sandersowską, czy raczej Bidenowską, ku centrum.

„Im więcej, tym lepiej" – tak Kamala Harris skomentowała wiadomość, że w osobie Sandersa ma kolejnego mocnego rywala w tym wyścigu. Walka o nominację pokaże, na jakich kwestiach zależy elektoratowi, jakie niedociągnięcia jest w stanie wybaczyć kandydatom, a jakie niekoniecznie.

Demokraci są zdeterminowani, by w 2020 r. odzyskać Biały Dom, a szeroki wachlarz ich kandydatów daje szansę na rzetelną debatę o ideowym kierunku partii.

Kto po drugiej stronie?

Badania pokazują jednak, że ponad połowa wyborców Demokratów chce, aby kandydatem była nie tyle osoba, z którą zgadzają się ideowo we wszystkim, lecz taka, która stanowczo stawi czoło Trumpowi i będzie w stanie go pokonać.

Ale wcale nie jest pewne, czy w 2020 r. przeciwnikiem kandydata Demokratów będzie Donald Trump. Nawet jeśli ostateczny raport specjalnego prokuratora Roberta Muellera w sprawie konszachtów z Rosjanami będzie dla Trumpa druzgoczący, republikańskie kierownictwo zapewne będzie bronić prezydenta przed impeachmentem za wszelką cenę. Pod jednym wszakże warunkiem: że wciąż będzie go popierać partyjna baza. Ta zaś może się odwrócić od Trumpa – jeśli nie z powodu Russiagate, to zawiedzionych oczekiwań.

Sztandarowa obietnica prezydenta z jego kampanii – zbudowanie muru na granicy z Meksykiem – zakończyła się spektakularną porażką i wśród konserwatywnych komentatorów słychać pomruki niezadowolenia. Coraz bardziej oczywiste dla wyborców staje się też to, że republikańska reforma podatkowa z 2017 r. przyniosła obniżki tylko dla najbogatszych, a nie – jak obiecywano – dla klasy średniej.

Nie da się więc wykluczyć, że jeśli jego notowania się nie poprawią, wtedy Donald Trump – mając w perspektywie przegraną – po prostu ogłosi, że już uczynił Amerykę wielką i nie musi walczyć o reelekcję.

Demokraci muszą się jednak szykować na wszystkie możliwości – wybory w 2016 r. dobitnie pokazały, że w amerykańskiej polityce każdy scenariusz jest dziś możliwy. © PIOTR TARCZYŃSKI

REKLAMA

Prestige MJM · UNITED TALENT AGENCY · REGENT WARSAW HOTEL · wprost · DO RZECZY · GAZETA BANKOWA · T3 · WP · STRÖER · VIXON · PRESS SERVICE · pap

Narzeczona dżihadu

PATRYCJA BUKALSKA

Shamima Begum – jedna z wielu nastolatek, które uciekły z domu, by dołączyć do islamskich ekstremistów – chce wrócić do Wielkiej Brytanii. Londyn odmawia.

LAURA LEAN / AFP / EAST NEWS

Renu Begum ze zdjęciem swej siostry Shamimy na konferencji prasowej, Londyn, 14 lutego 2019 r.

Gdy opuściła Wielką Brytanię w 2015 r., miała 15 lat. Jej sprawa była głośna: razem z nią do Syrii uciekły dwie jej koleżanki z tej samej szkoły we wschodnim Londynie. Kadiza Sultana podobno zginęła w 2016 r., los Amiry Abase jest nieznany. Jak inne zradykalizowane dziewczyny Shamima Begum wierzyła, że tzw. Państwo Islamskie buduje utopijne społeczeństwo doskonałe. Wyszła za mąż za dżihadystę z Holandii, urodziła dzieci.

Brytyjski minister spraw wewnętrznych Sajid Javid nie pozostawia dziś wątpliwości: „Chcę, aby to było jasne. Jeśli ktoś wspierał organizację terrorystyczną za granicą, nie zawaham się uniemożliwić mu powrotu". Zdecydował, że Begum zostanie pozbawiona brytyjskiego obywatelstwa. Ona sama przebywa w obozie dla uchodźców w Al-Hawl, w północnej Syrii. Niedawno urodziła tam trzecie dziecko (dwoje urodzonych wcześniej umarło). Shamima Begum uważa, że decyzja ministra jest niesprawiedliwa.

NA DŻIHAD POJECHAŁO ok. 900 obywateli Wielkiej Brytanii. Połowa z nich już wróciła. Obywatelstwo utraciło jak dotąd ok. stu, co oznacza, że nie mogą wjechać na Wyspy. „Nie wiem, dlaczego mój przypadek różni się od przypadków innych ludzi [którym pozwolono wrócić]. Czy może to dlatego, że wystąpiłam w mediach przed czterema laty?" – zastanawia się teraz Shamima. Wtedy stała się „dziewczyną z plakatu", wykorzystywaną w propagandzie islamskich ekstremistów.

Dziś chodzi jednak chyba bardziej o jej aktualne poglądy i wypowiedzi, które nie przysporzyły jej sympatii. W wywiadach dziewczyna nie wyrażała żalu z powodu swej decyzji o dołączeniu do ekstremistów. Przeciwnie: mówiła, że jest teraz silniejszą osobą, że w „kalifacie" miała dobre życie, i że w Wielkiej Brytanii nie znalazłaby takiego męża.

Wzburzenie wywołała zwłaszcza jej deklaracja, że nie była zbulwersowana obcinaniem głów jeńcom, i że zamach bombowy po koncercie w Manchesterze w 2017 r. (zginęło wówczas ponad 20 osób) był usprawiedliwionym odwetem.

Sara Khan, brytyjska komisarz ds. zwalczania ekstremizmu, stwierdziła, że Begum to „pozbawiona skrupułów zwolenniczka Daesh" (to inne określenie Państwa Islamskiego). Najwyraźniej władze brytyjskie nie są zainteresowane postawieniem jej przed sądem, lecz po prostu nie zamierzają wpuścić jej do kraju.

ODEBRANIE OBYWATELSTWA nie jest jednak proste. Prawnik Begum i jej rodzina rozważają apelację, sprawa może ciągnąć się latami. Nie można bowiem nikogo uczynić bezpaństwowcem, a ona nie ma innego obywatelstwa niż brytyjskie. Strona rządowa argumentuje, że jej matka pochodzi z Bangladeszu, zatem dziewczyna może zwrócić się do tego kraju o przyznanie obywatelstwa (Bangladesz już stwierdził, że Begum nie jest jego obywatelką i jej nie wpuści). Ona sama bierze pod uwagę Holandię, skąd pochodzi jej mąż. „Jeśli zostanie tam wysłany do więzienia, mogę na niego po prostu poczekać" – mówi. Szanse na wjazd do Holandii ma jednak marne.

Osobną kwestią jest narodowość jej dziecka. Eksperci są zgodni: chłopiec narodził się jeszcze przed odebraniem obywatelstwa matce, więc ma do niego prawo. Może też mieć narodowość holenderską – jeśli jego ojciec to potwierdzi. Czy któryś kraj przyjmie chłopca? I co wtedy z jego matką bez paszportu?

Po pierwszej fali oburzenia postawą Begum, część polityków i mediów coraz głośniej podkreśla, że należy pozwolić jej na powrót, by na miejscu ocenić jej działania i ewentualnie postawić przed sądem. Argumenty są różne: od humanitarnych po pragmatyczne (że w kraju łatwiej byłoby ją monitorować i zapobiec dalszej radykalizacji jej samej oraz jej wpływowi na innych).

SZEŚĆ TYSIĘCY: tylu obywateli państw Europy Zachodniej mogło wstąpić w szeregi ekstremistów (szacuje się, że kobiety stanowiły 15 proc.). Najwięcej z Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii. Niektórzy wracają – na razie ok. 1800. Pozostali zginęli lub przebywają w Iraku lub Syrii, gdzie wojska kurdyjskie otoczyły ostatnich zorganizowanych bojowników w rejonie Baghuz.

Powroty z dżihadu są wyzwaniem dla wszystkich tych państw – nie tylko ze względów bezpieczeństwa, ale też społecznych i prawnych – i wszędzie trwa dziś dyskusja. Szczególnie prawo nie nadąża za rzeczywistością: w brytyjskim dopiero od niedawna jest zapis uznający za przestępstwo podróżowanie na tereny kontrolowane przez organizacje terrorystyczne i przebywanie tam. Prawo nie działa wstecz, nie dotyczy więc Shamimy Begum i innych ochotników.

Tymczasem do obozu Al-Hawl docierają kolejne Brytyjki, które chcą wrócić do domu. Także w ich sprawach będą musiały zapaść jakieś decyzje. ©℗

ŻYCIE I SPRAWY STEFANA MICHNIKA

„Bez wahania szafował karą śmierci" – ocenia historyk Antoni Dudek. Kim jest człowiek, którego ekstradycji Polska żąda dziś od Szwecji?

PIOTR LITKA

Był 31 grudnia 1956 r. W krótkiej opinii służbowej dotyczącej kapitana Stefana Michnika zapisano tego dnia, że „jest wyrobiony politycznie" oraz „entuzjastycznie nastawiony do procesu demokratyzacji i przemian". Dziewięć miesięcy później Michnik odszedł z pracy w sądownictwie wojskowym PRL.

Sędzia po kursie

Rocznik 1929, pierwsze dwa lata wojny i okupacji przeżył w Krakowie, Częstochowie i we Lwowie. Po napaści Niemiec na Związek Sowiecki został ewakuowany z rodzicami do Uzbekistanu. Tam kontynuował edukację i ukończył „siedem klas szkoły średniej w ZSRR". W latach 1945-46 przebywał we Lwowie. Później wspólnie z rodzicami zamieszkał w Warszawie, gdzie ukończył jedną klasę liceum energetycznego. W 1948 r. został zatrudniony jako laborant-elektryk w Elektrowni Warszawskiej na Powiślu. Zapisał się też w tym czasie do partii komunistycznej: najpierw do PPR, od 15 grudnia 1948 r. – już PZPR.

Wiosną 1949 r. rozpoczął naukę w Oficerskiej Szkole Prawniczej w Jeleniej Górze. Była to wtedy kuźnia kadr dla komunistycznego wymiaru sprawiedliwości.

W podaniu napisał: „Służba w odrodzonym Wojsku Polskim jest dla mnie zaszczytem (...). Znane mi są obowiązki żołnierza Polski Ludowej i przyrzekam, że nie będę szczędził sił, aby je należycie wykonywać".

Z akt zachowanych dziś w IPN wynika, że jeszcze podczas trwającego 18 miesięcy kursu w Jeleniej Górze Michnik został konfidentem (tajnym współpracownikiem) Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego (czyli wojskowej bezpieki); nadano mu pseudonim „Kazimierczak". Za donoszenie na kolegów-kursantów otrzymywał wynagrodzenie w kwocie blisko 1000 zł miesięcznie (w 1950 r. przeciętne wynagrodzenie wynosiło ok. 6,5 tys. zł). Współpracę z Informacją Wojskową zakończył dopiero w czerwcu 1953 r., gdy studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim.

Janczarzy komunizmu

Wcześniej, w 1951 r., został sędzią Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie, decydującym o życiu lub śmierci. Miał wtedy 21 lat.

– Stefan Michnik należał do grupy, którą można nazwać „janczarami komunizmu" – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" historyk prof. Antoni Dudek. – Młodzi, słabo wykształceni ludzie zostali na przełomie lat 40. i 50. skierowani na znaczące stanowiska w newralgicznych częściach aparatu państwa, aby dokonać jego rewolucyjnego przeobrażenia.

I tę szansę, którą dała im władza komunistyczna, wykorzystywali.

Stefana Michnika rzucono na odcinek wojskowego wymiaru sprawiedliwości. Tych słów – wymiar sprawiedliwości – w zasadzie powinno się tu używać w cudzysłowie: w zamierzeniu komunistów po 1944 r. wojskowe prokuratury i sądy miały być jeszcze jednym narzędziem represji państwa totalitarnego. Miały służyć władzy w dławieniu w Polsce najmniejszego oporu, a także tworzyć w społeczeństwie atmosferę zastraszenia.

Z badań historyka prof. Krzysztofa Szwagrzyka (dziś szefa Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN; Biuro zajmuje się ustalaniem miejsc, gdzie nadal pochowane są anonimowo ofiary II wojny światowej i obu totalitaryzmów) wynika, że pracownicy wojskowych sądów i prokuratur w stalinowskiej PRL byli resortem „najbardziej polskim wśród wszystkich działających wówczas instytucji komunistycznego aparatu represji". Przedstawiciele innych narodowości (w tym żydowskiej, jak Stefan Michnik) na przełomie 1944-45 r. stanowili wśród nich tylko ok. 10 proc. z ponad tysiącosobowej kadry (wśród nich przodowali wtedy Rosjanie). W kolejnych latach ten odsetek stale się zmniejszał.

Obecny przy egzekucji

Po ukończeniu szkoły w Jeleniej Górze, w końcu marca 1951 r. Stefan Michnik trafił do stolicy. Zaczął pracę w Wojskowym Sądzie Rejonowym. Jak pisano w opinii służbowej z 12 lipca 1951 r: „ppor. Michnik dał się poznać jako oficer zdolny i bystry, wykazujący duże i głębokie zainteresowanie zagadnieniami politycznymi, prawnymi i praktyką tut.[ejszego] Sądu. (...). Z biegiem czasu (...) wciągnął się do tej

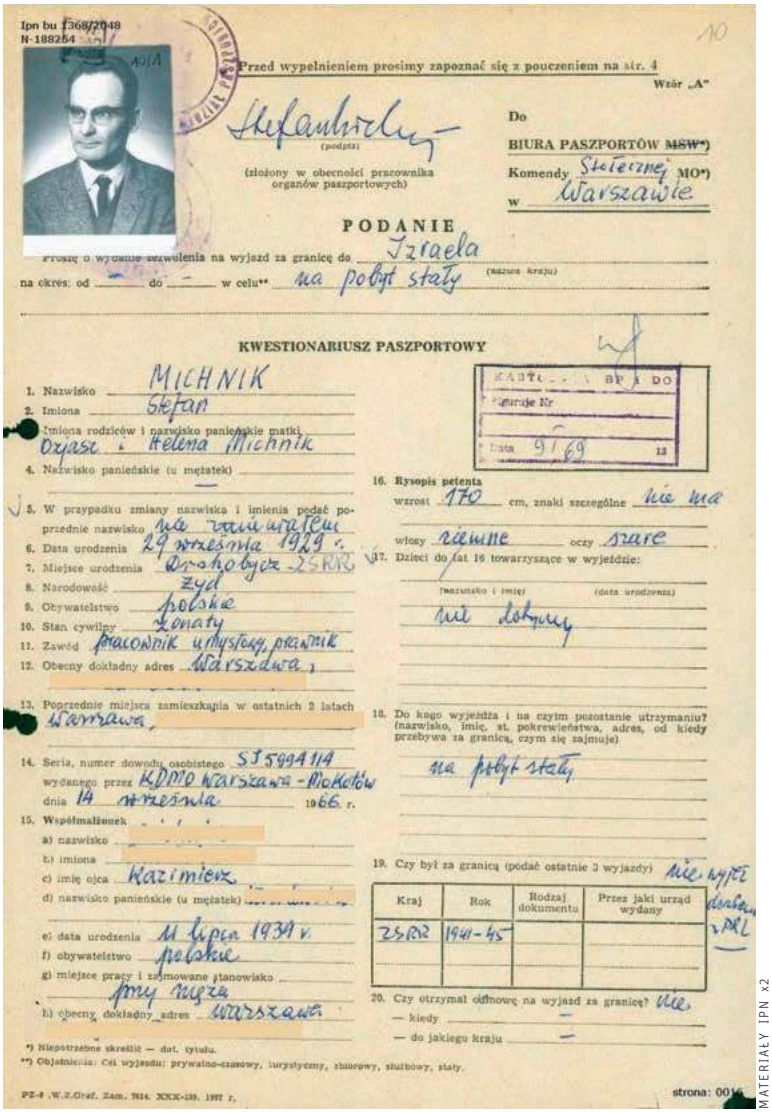

Ipn bu 1368/2049
N-188254

Wzór „A"

Przed wypełnieniem prosimy zapoznać się z pouczeniem na str. 4

Stefan Michnik
(podpis)
(złożony w obecności pracownika organów paszportowych)

Do
BIURA PASZPORTÓW ~~MSW~~*)
Komendy Stołecznej MO*)
w Warszawie

PODANIE

Proszę o wydanie zezwolenia na wyjazd za granicę do Izraela (nazwa kraju)
na okres: od — do — w celu** na pobyt stały

KWESTIONARIUSZ PASZPORTOWY

1. Nazwisko MICHNIK
2. Imiona Stefan
3. Imiona rodziców i nazwisko panieńskie matki Dyasz i Helena Michnik
4. Nazwisko panieńskie (u mężatek) —
5. W przypadku zmiany nazwiska i imienia podać poprzednie nazwisko na rzecz ojca
6. Data urodzenia 29 września 1929 r.
7. Miejsce urodzenia Drohobycz - ZSRR
8. Narodowość żyd
9. Obywatelstwo polskie
10. Stan cywilny żonaty
11. Zawód pracownik umysłowy, prawnik
12. Obecny dokładny adres Warszawa
13. Poprzednie miejsca zamieszkania w ostatnich 2 latach Warszawa
14. Seria, numer dowodu osobistego SJ 599414 wydanego przez KDMO Warszawa - Mokotów dnia 14 września 1966 r.
15. Współmałżonek
a) nazwisko
b) imiona
c) imię ojca Kazimierz
d) nazwisko panieńskie (u mężatek)
e) data urodzenia 11 lipca 1931 r.
f) obywatelstwo polskie
g) miejsce pracy i zajmowane stanowisko przy ręce
h) obecny dokładny adres Warszawa

KARTOTEKA BP I DO
Seria Nr
Data 9.1.69 13

16. Rysopis petenta
wzrost 170 cm, znaki szczególne nie ma
włosy ciemne oczy szare
17. Dzieci do lat 16 towarzyszące w wyjeździe:
(nazwisko i imię) (data urodzenia)
nie dotyczy
18. Do kogo wyjeżdża i na czyim pozostanie utrzymaniu? (nazwisko, imię, st. pokrewieństwa, adres, od kiedy przebywa za granicą, czym się zajmuje)
na pobyt stały
19. Czy był za granicą (podać ostatnie 2 wyjazdy) nie był

Kraj	Rok	Rodzaj dokumentu	Przez jaki urząd wydany
ZSRR	1941-45		

20. Czy otrzymał odmowę na wyjazd za granicę? nie
— kiedy —
— do jakiego kraju —

*) Niepotrzebne skreślić — dot. tytułu.
**) Objaśnienia: Cel wyjazdu: prywatno-czasowy, turystyczny, zbiorowy, służbowy, stały.

PZ-4 W.Z.Graf. Zam. 7614. XXX-139. 1967 r.

strona: 001

MATERIAŁY IPN x2

Powyżej: zdjęcie z 1951 r. z dokumentu podpisanego przez komendanta szkoły prawniczej w Jeleniej Górze, potwierdzającego tożsamość kursanta Stefana Michnika.

Z prawej: pierwsza strona podania o paszport Stefana Michnika z 1969 r.

pracy wykazując pilność i dużą obowiązkowość. (...). [Dlatego] ma duże perspektywy w służbie w Sądach [wojskowych], a w jak najbliższej przyszłości będzie mu można udzielić prawa przewodniczenia na rozprawach".

W kolejnych procesach Stefan Michnik jako jeden z sędziów skazywał żołnierzy Armii Krajowej, poakowskiego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość oraz Narodowych Sił Zbrojnych. Wszystkie wyroki w swoich uzasadnieniach zawierały m.in. „udowodnione" zarzuty dotyczące szpiegowania na rzecz obcych wywiadów lub ich agend w kraju, tworzenia grup spiskowych w polskiej armii, a także zbrojnych prób obalenia siłą władzy ludowej.

I tak, Stefan Michnik był jednym z trójki sędziów podczas procesu majora Zefiryna Machalli. Ten żołnierz kampanii wrześniowej 1939 r. i potem więzień NKWD, zesłany do Archangielska, po ataku Hitlera na Stalina został – jak wielu polskich zesłańców – zwolniony i trafił do armii generała Andersa. Po wojnie wrócił do kraju i został aresztowany. W wyniku tortur, jakie stosowano w czasie śledztwa, „przyznał się" do winy. Podczas procesu nie miał obrońcy, a rozprawy miały charakter tajny. Gdy usłyszał wyrok śmierci, odwołał wymuszone zeznania. Prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski, egzekucję wykonano 10 stycznia 1952 r. Do dziś miejsce jego pochówku nie jest znane.

Podobny los spotkał majora Andrzeja Rudolfa Czaykowskiego. Także żołnierza kampanii 1939 r., a później oficera Armii Krajowej, który w 1949 r. wrócił do Polski z tajnymi rozkazami Rządu RP na Uchodźstwie. Sędzia Michnik był w składzie sędziowskim, który wydał wyrok śmierci na Czaykowskiego. Brał także udział w jego egzekucji, jako sędzia obserwator. Miejsce pochówku Czaykowskiego nie jest znane.

Samych tylko spraw dotyczących wyższych stopniem oficerów, w których Stefan Michnik orzekł karę śmierci, było kilkanaście (część z nich zamieniono potem na więzienie; kilku sądzonych zmarło przed egzekucją na skutek tortur).

– Stefanowi Michnikowi przypadła w latach 50. wyjątkowo zbrodnicza rola „sędziego", bez wahania szafującego karą śmierci w procesach politycznych – mówi prof. Antoni Dudek. – Trudno dziś na poważnie usprawiedliwiać tę zbrodniczą działalność jego młodym wiekiem czy ideologicznym zaślepieniem. Dla mnie był klasycznym przykładem mordercy zza biurka.

Sędziowska samokrytyka

Na fali „odwilży" lat 50. władze PRL postanowiły rozliczyć także prokuraturę i sądy wojskowe – albo przynajmniej stworzyć wrażenie takiego rozliczenia. Powołana ↦

↦ w tym celu 10 grudnia 1956 r. specjalna Komisja Mazura analizowała życiorysy i działalność tych, którzy pracowali w resorcie po 1944 r. Powstanie komisji poprzedziła dwudniowa (20-21 listopada 1956 r.) narada „aktywu partyjnego Najwyższego Sądu Wojskowego i Zarządu Sądownictwa Wojskowego", w której wziął udział także Stefan Michnik.

„Do służby w organach sprawiedliwości – tak tłumaczył wówczas swoim kolegom – przyszedłem w 1951 r. Przypuszczałem wtedy, że ja i tacy jak ja mają zastąpić starą kadrę, która miała odejść. Dostałem się do Wojskowego Sądu Rejonowego warszawskiego, który miał najwięcej spraw »ciężkiego kalibru«. (...). Używano nas – młodych sędziów – do rozpoznawania tych spraw dlatego, że nas łatwo można było dostosować do systemu, używać jako bezwiedne narzędzie terroru w stosunku do niewinnych ludzi. Nam wtedy imponowało powiedzenie o zaostrzającej się walce klasowej i nieprawdę powie ten, kto by twierdził, że wtedy z niechęcią rozpatrywał sprawy. Ja wiem, że raczej ludzie garnęli się do tych spraw, sam muszę przyznać, że kiedy dostałem pierwszy raz poważną sprawę, to nosiłem ją przy sobie i starałem się, żeby mi tej sprawy nie odebrano".

Na koniec swojego wystąpienia Stefan Michnik dodał, że teraz „należy stworzyć takie warunki prawne, które by w przyszłości uniemożliwiały i utrudniały dokonywanie takich bezeceństw, jakie miały miejsce w przeszłości".

Samokrytyka wypadła dobrze. Kapitan Michnik nie został w żaden sposób ukarany, nawet dyscyplinarnie (jak wielu jego kolegów z resortu), nie wytoczono mu też procesu. Jedyną karą było „przesunięcie do rezerwy": Michnik odszedł z wojska.

W cywilu pracował przez kilka miesięcy jako adwokat w Warszawie. Później był m.in. redaktorem w Wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej oraz likwidatorem szkód w PZU w powiecie pruszkowskim. W 1969 r. opuścił PRL na stałe. Przez Izrael trafił do Szwecji. Otrzymał obywatelstwo. Do emerytury pracował m.in. w niewielkiej miejskiej bibliotece.

Szwecja odmawia

W 2010 r. – jak wynika z maila przesłanego nam przez rzecznika prasowego Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie – wydano „pierwszy Europejski Nakaz Aresztowania wobec kapitana w stanie spoczynku Stefana Michnika".

„Dopóki sprawcy zbrodni nazistowskich czy komunistycznych żyją, należy ich ścigać" – uważa historyk Antoni Dudek.

Ten nakaz trafił do sądu w szwedzkiej Uppsali. Jednak, jak informuje rzecznik WSO, sąd „postanowieniem ostatecznym z dnia 5 listopada 2011 roku oddalił ten wniosek o przekazanie [Michnika Polsce]. Odmowa związana była z faktem, iż przestępstwa zarzucane podejrzanemu, który jest jednocześnie obywatelem szwedzkim, zgodnie z prawem szwedzkim przedawniły się".

Kolejny Europejski Nakaz Aresztowania wydał stołeczny Wojskowy Sąd Okręgowy na wniosek pionu śledczego IPN z sierpnia 2018 r. Obecnie, jak wyjaśnia w mailu sędzia ppłk Tomasz Krajewski, „funkcjonują oba ENA wydane za kapitanem w stanie spoczynku, przy czym [pierwszy z 2010 r.] nie dotyczy już – z uwagi na odmowę – Szwecji, a pozostaje rozszerzony na pozostałe kraje Unii Europejskiej, na wypadek, gdyby podejrzany fizycznie opuścił teren Szwecji".

12 lutego 2019 r. Sąd Rejonowy w Göteborgu odrzucił drugi wniosek o ekstradycję Stefana Michnika.

Z relacji dziennikarki Anny Nowackiej-Isaksson opublikowanej w „Rzeczpospolitej" wynika, że szwedzka prokuratorka Lena Modelius (mająca z urzędu zreferować w sądzie sprawę w imieniu wnioskodawcy) nie wyjaśniła podczas rozprawy, o co podejrzewany jest Stefan Michnik przez pion śledczy IPN. Nie przeprowadziła też żadnego dochodzenia.

Mimo to w jej ocenie „warunki ekstradycji nie zostały spełnione". Prokurator Modelius nie skontaktowała się też w sprawie ekstradycji z samym Stefanem Michnikiem, który przebywa dzisiaj w domu seniora.

Od tej decyzji stronie polskiej przysługiwało odwołanie (można je było złożyć do poniedziałku 25 lutego).

W imię pamięci o ofiarach

Odmowa ekstradycji Stefana Michnika wywołała skutki dyplomatyczne. W miniony wtorek, 19 lutego, do polskiego MSZ został wezwany w trybie pilnym ambasador Szwecji Stefan Gullgren. Po spotkaniu z nim wiceszef MSZ Szymon Szynkowski vel Sęk oświadczył na konferencji prasowej, że przekazał ambasadorowi „nasze oburzenie w związku z decyzją o odmowie wydalenia Stefana Michnika. Przekazałem również, że polska historia jest obciążona jarzmem komunistycznego reżimu, który tworzyli konkretni ludzie, i jedną z bardziej wyrazistych postaci, które ten zbrodniczy reżim tworzyły, był Stefan Michnik". Wiceminister przypomniał, że przestępstwa zarzucane Michnikowi pion śledczy IPN uznaje za „zbrodnie komunistyczne wyczerpujące znamiona zbrodni przeciwko ludzkości, niepodlegające przedawnieniu w myśl prawa międzynarodowego".

– Dopóki sprawcy zbrodni komunistycznych czy nazistowskich żyją – podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Antoni Dudek – należy ich ścigać. Pamiętając jednak, że – w przypadku sprawców mieszkających za granicą – w większości państw świata zbrodniarze komunistyczni nie są traktowani na równi z tymi nazistowskimi i szanse na ich ekstradycje są niewielkie. Przykłady Stefana Michnika czy Heleny Wolińskiej-Brus [prokurator wojskowej w latach 1949-54, która zmarła w 2008 r. w Oksfordzie; wcześniej władze brytyjskie odmówiły jej ekstradycji – red.] są bardzo wymowne.

– Jednak – dodaje prof. Dudek – w imię pamięci o ofiarach należy wykorzystać wszystkie prawne możliwości, aby doprowadzić do ich osądzenia. Nawet jeśli z każdym rokiem szansa na to jest coraz mniejsza.

© PIOTR LITKA

Tekst ukończono 22 lutego.

Korzystałem z materiałów archiwalnych znajdujących się obecnie w IPN oraz książek: J. Poksiński „My, sędziowie, nie od Boga..."; „Z dziejów Sądownictwa Wojskowego w PRL 1944–1956. Materiały i dokumenty"; K. Szwagrzyk „Prawnicy czasu bezprawia: sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956".

weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok. Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: **rodzina.gov.pl**
Szczegółowy regulamin prenumeraty na **powszech.net/regulamin**

TYGODNIK POWSZECHNY

+

KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę powszech.net/prenumeruj, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

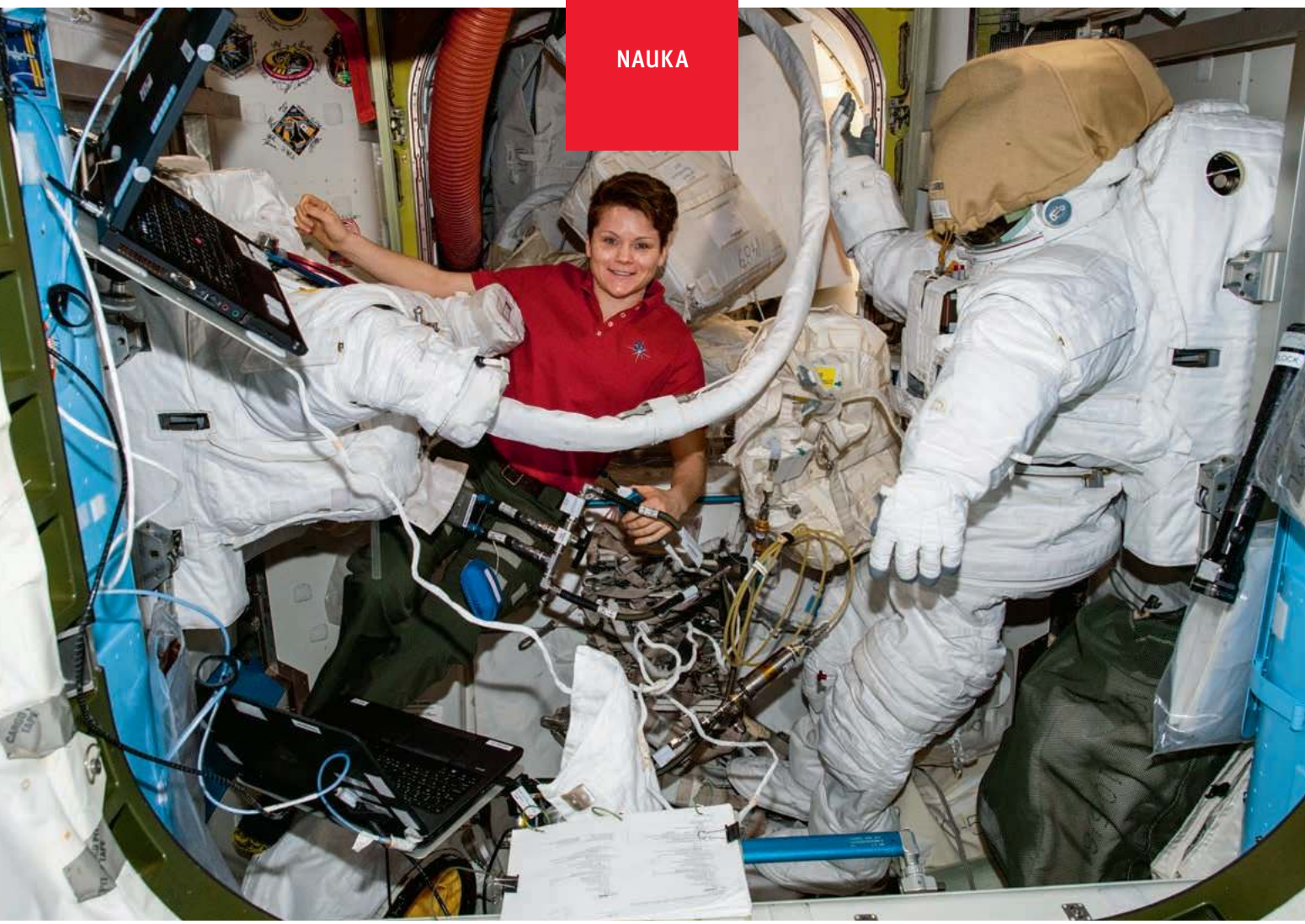

Kobiety mają zwykle sprawniejsze układy krwionośne i odpornościowe. Na zdjęciu amerykańska astronautka Anne McClain podczas misji Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, grudzień 2018 r.

KOSMICZNA CHOROBA

W stanie nieważkości czyha mnóstwo zdrowotnych zagrożeń. Zespoły badawcze pracują nad tym, by pomóc astronautom przezwyciężyć ograniczenia ciała przystosowanego do życia na Ziemi.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Jake Garn nie bawił się dobrze w kosmosie. Prawda, za oknami promu Discovery miał najlepszy widok na świecie, miał też, jako pierwszy członek amerykańskiego Kongresu na orbicie, wszelkie powody do dumy. Ale i duma, i widoki przegrywały od chwili osiągnięcia przez prom orbity z wulkanicznym odruchem wymiotnym.

Garn poleciał w kosmos, bo był jednym z ludzi pilnujących w Kongresie budżetu NASA, ale był też emerytowanym pilotem myśliwskim. Agencja była więc przekonana, że da sobie radę. Myliła się. Astronauta Mike Mullane opisał później „chorobę kosmiczną" Garna jako „jedną z najbardziej legendarnych w historii lotów kosmicznych". Wymioty Garna wbiły się w pamięć NASA tak, że dziś astronauci siłę nieprzyjemnych odczuć związanych ze stanem nieważkości mierzą w... gar-

nach. Jak pisze lekarz NASA, dr Robert Stevenson: „Nie wiem, czy powinniśmy opowiadać takie historie, ale Jake zapisał się w historii Korpusu Astronautów, bo osiągnął maksymalny poziom choroby kosmicznej, jaki ktokolwiek może osiągnąć. Poziom, na którym ktoś jest kompletnie chory i przez to całkowicie niezdolny do zrobienia czegokolwiek, nazywamy jednym garnem. Większość ludzi osiąga może 0,1 garna. Jego zapamiętamy na zawsze".

Garn nie był pierwszym człowiekiem, który zwymiotował w kosmosie, ten zaszczyt przypadł Frankowi Bormanowi, dowódcy Apollo 8, który był chory przez całą drogę na Księżyc. Źródłem kłopotów astronautów jest rzecz jasna błędnik, który w stanie nieważkości wariuje. Choroba kosmiczna nie różni się więc szczególnie od choroby morskiej – i podobnie jak tamta w większości przypadków sama mija najdalej po kilku dniach. Ale inne efekty, jakie kosmiczne środowisko wywiera na nasze organizmy, są o wiele bardziej długotrwałe. I bez porównania groźniejsze.

Nie tylko mięśnie i kości

W 2015 r. NASA opracowała raport, w którym zidentyfikowała 30 czynników medycznych, które mogą wyłączyć z akcji astronautę lecącego na Marsa. I przyznała, że to dopiero początek listy, bo dopóki człowiek nie postawi stopy na Marsie, nie jesteśmy zapewne w stanie wyobrazić sobie wszystkich możliwych zagrożeń. Te, które znamy i rozumiemy, poznaliśmy głównie dzięki badaniom prowadzonym na stacjach kosmicznych, w stanie nieważkości.

Pozbawione obciążenia mięśnie są błyskawicznie konsumowane przez organizm, który uznaje je za zbędne obciążenie. NASA zarejestrowała u astronautów nawet 20-procentowy ubytek masy mięśni podczas misji trwających mniej niż 11 dni. Z tego samego powodu kości astronautów tracą około 1 proc. masy w ciągu każdego miesiąca spędzonego w stanie nieważkości. Jedynym sposobem na utrzymanie sprawności jest trening: astronauci spędzają co najmniej 2,5 godziny dziennie na specjalnie zaprojektowanej siłowni.

Brak ciążenia sprawia też, że płyny gromadzą się w głowach astronautów. Stąd charakterystyczne opuchnięte twarze, podwyższone głosy (przez ucisk na drogi oddechowe), stale zapchane zatoki i pogorszony, prawdopodobnie na resztę życia, wzrok: dno oczodołu, wypychane do przodu przez płyny, uciska gałkę oczną, zmieniając jej kształt. Skutkiem ubocznym jest też ryzyko odwodnienia, bo nagromadzenie płynów w górnej połowie ciała prowokuje organizm do częstszego oddawania moczu.

Nieważkość funduje także astronautom kilka dodatkowych centymetrów wzrostu, bo kręgosłup nie jest już dociskany do ziemi. Ale kosztem częstych bólów pleców.

Eksperyment z bliźniakami

Szczególnie cennych obserwacji dokonano dzięki rocznemu pobytowi na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej astronauty Scotta Kelly'ego. To nie był rekord, rosyjski kosmonauta spędził na stacji Mir 14 miesięcy, a samemu Kelly'emu towarzyszył w rocznej wyprawie Michaił Kornijenko, ale Kelly na Ziemi zostawił bliźniaka, Marka, z którym mogli porównywać go lekarze. Po locie organizm Scotta przejawiał typowe dla astronautów zmiany, a jego niektóre geny, zwłaszcza te odpowiedzialne za naprawę DNA i system odpornościowy, zmieniły swoją ekspresję (sposób aktywacji). Podobne efekty pojawiają się u wielu ludzi przebywających w ekstremalnych, stresujących środowiskach. Większość symptomów ustąpiła po około sześciu miesiącach.

Stacja kosmiczna nie daje nam jednak pełnego obrazu tego, co spotka załogę, która wybierze się gdzieś dalej: na dłuższą wyprawę na Księżyc czy na Marsa. Tutaj w grę wejdą dwa czynniki, których dziś w pełni nie rozumiemy: jak na załogę będzie oddziaływać odległość i promieniowanie kosmiczne.

Droga z ISS na szpitalne łóżko to kwestia godzin; z Księżyca – co najmniej trzy dni. Z Marsa – osiem miesięcy. O ile w przypadku potencjalnych baz na Księżycu można pokładać nadzieje w telerobotyce – pozwalającej przy pomocy robotów prowadzić operacje lekarzom przebywającym na Ziemi, o tyle na Marsie nawet takie rozwiązanie będzie niewykonalne, bo który chirurg podejmie się operacji, jeśli na rezultat nawet najdrobniejszego ruchu będzie musiał czekać przez 20 minut?

W razie nagłych wypadków astronauci mają już techniki pozwalające na pomoc rannym. Opracowano np. sposoby udzielania pierwszej pomocy: w przypadku konieczności ręcznego stymulowania akcji serca astronauta zapiera się nogami o sufit i dociska pacjenta do podłogi. Ale jakiekolwiek bardziej skomplikowane zabiegi czy konieczność opieki nad przewlekle chorym to z punktu widzenia międzyplanetarnej misji najczarniejszy możliwy scenariusz. Oczywiście w załodze będzie zapewne chirurg, ale co, jeśli to jemu trzeba będzie udzielić pomocy? Co, jeśli na pokładzie wybuchnie epidemia grypy?

Sen z oczu planistom misji marsjańskich spędza też promieniowanie. Na Ziemi chronią nas przed nim dwie tarcze: atmosfera i pole magnetyczne Ziemi. Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, leżąca tuż ponad atmosferą, jest już środowiskiem podwyższonego ryzyka radiacyjnego. Stacja, przelatując nad wschodnim wybrzeżem Ameryki Południowej, muska pas Van Allena: radioaktywny pierścień otaczający naszą planetę. Astronauci na pokładzie stacji w ciągu tygodnia przyjmują tyle promieniowania, ile mieszkaniec powierzchni Ziemi przyjmie w ciągu roku.

Ale to ciągle nic w porównaniu z realiami lotu na Marsa. „Dawki promieniowania przyjmowane przez astronautów w przestrzeni międzyplanetarnej byłyby kilkaset razy większe od tych, z którymi kontakt mają ludzie na powierzchni Ziemi i kilkakrotnie wyższe niż te dla astronautów na ISS" – pisze Jordanka Semkova z Bułgarskiej Akademii Nauk, która dzięki jednemu z marsjańskich orbiterów Europejskiej Agencji Kosmicznej zbadała dawki promieniowania, jakich doświadcza pojazd w drodze na Marsa. Astronauta lecąc na Marsa i z powrotem przyjąłby 60 proc. dawki promieniowania zalecanej na całą jego karierę. Na powierzchni planety będzie jeszcze gorzej.

Największym zagrożeniem będą wysokoenergetyczne cząsteczki produkowane np. przez odległe supernowe. To w zasadzie jądra atomów pozbawione elektronów, pędzące jak pociski przez przestrzeń – uderzając np. w cząsteczkę DNA, mogą wyrządzić duże zniszczenia. Zeszłoroczne badanie na myszach wykazało, że takie bombardowanie poważnie wpływa na funkcjonowanie jelit i żołądka, zaburzając ich zdolność do regeneracji i potencjalnie uniemożliwiając ich pracę.

Ryzyko demencji

Inne opublikowane w zeszłym roku w „Science Advances" badania na myszach dały jeszcze bardziej niepokojące rezultaty, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, po co w ogóle wybieramy się w kosmos. ↦

NASA.ORG

↦ Zespół onkologa Charlesa Limolego z University of California Irvine School of Medicine pokazał, że nawet niewielkie dawki wysokoenergetycznych promieni kosmicznych mają niszczycielski wpływ na funkcje poznawcze. Poddane bombardowaniu symulowanego kosmicznego promieniowania myszy przejawiały po kilku tygodniach o wiele mniejszą ciekawość. Nie badały nowych obiektów, które pojawiały się w ich środowisku. Naukowcy ustalili, że promieniowanie wpłynęło na strukturę obszarów mózgu odpowiedzialnych za pamięć. Neurony w tych obszarach miały o wiele mniej dendrytów – długich wypustek łączących je z innymi neuronami i przekazujących sygnały – niż u grupy kontrolnej. Myszy z największymi deformacjami miały najgorsze wyniki w testach poznawczych. Zmiany wydają się permanentne i przypominają demencję.

„Podobne zmiany znajdujemy w wielu chorobach neurodegeneracyjnych, pojawiają się także w ramach procesu starzenia. Daje to nam porównanie z tym, co promieniowanie robi w mózgach gryzoni i ludzi" – pisze zespół Limolego. Inżynierowie pracują już nad sposobami efektywniejszego chronienia załogi przed promieniowaniem. Dzięki ciężkim, metalowym tarczom, sztucznemu polu magnetycznemu czy zbiornikom z pochłaniającą promieniowanie wodą. Zespół Limolego pracuje zaś nad farmakologicznymi sposobami redukcji tego negatywnego wpływu.

Trudniej będzie farmakologicznie rozwiązać problemy psychologiczne. A to one mogą zadecydować o być albo nie być marsjańskiej misji.

Jeffrey Johnson, antropolog z University of Florida, badał przez cztery lata załogi pięciu baz na Antarktydzie: Amerykanów, Rosjan, Chińczyków, Hindusów i Polaków. Sprawdzał, jak ekstremalne warunki, izolacja i ciasnota wpływają na interakcje w zespole, i jakie typy osobowości radzą sobie w takich warunkach najlepiej. Owszem, twardziele znajdują w takich zespołach swoje miejsce. Ale Johnson odkrył, że żaden zespół nie jest w stanie na dłuższą metę funkcjonować skutecznie bez gawędziarzy, mediatorów i... klaunów. „Te role są nieformalne, one same pojawiają się w grupie, ale ciekawe jest to, że jeśli masz właściwą kombinację charakterów, grupa radzi sobie świetnie, jeśli jej nie masz – bardzo źle – tłumaczy. – W załodze musi być ktoś, kto pomoże wszystkim dogadać się ze sobą, tak żeby mogli wykonywać swoje zadania i bezpiecznie wrócić. To krytyczne dla misji".

Nie tylko kosmicznych. W 1910 r. jednym z najważniejszych członków wyprawy Roalda Amundsena na Biegun Południowy był kucharz, Adolf Lindstrøm. Nawet nie ze względu na kulinarne talenty, ale przez to, że okazał się największym kawalarzem na Antarktydzie i utrzymał morale oraz spójność grupy. „Oddał większe usługi norweskiej wyprawie niż jakikolwiek inny człowiek" – napisał o nim w pamiętniku Amundsen. Tymczasem konkurencyjna, tragicznie zakończona wyprawa Roberta Scotta niemal natychmiast rozpadła się na kliki.

Strajk w metalowej puszce

Podczas misji, które opuszczą ziemską orbitę, najważniejszym czynnikiem wpływającym na morale będzie zapewne narastające poczucie izolacji. Im dalej od Ziemi, im większy dystans muszą pokonać fale radiowe, tym większe opóźnienie w łączności – na Marsie dwukierunkowa rozmowa oznaczałaby 20-minutowe oczekiwanie na odpowiedź. Tymczasem nawet niewielkie opóźnienie w łączności z Ziemią jest złe dla stanu psychicznego załogi. Kiedy NASA eksperymentalnie wprowadziła 50-sekundowe opóźnienie w łączności z ISS, natychmiast spadło samopoczucie załogi i wzrosła jej frustracja.

A frustracja w kosmosie bywa bardzo niebezpiecznym zjawiskiem, o czym agencja przekonała się już prawie pół wieku temu. W 1973 r. trzyosobowa załoga stacji Skylab, przeładowana pracą, pozbawiona choćby minuty wolnego czasu... zastrajkowała. Przez niemal całą dobę astronauci nie robili nic poza patrzeniem przez okno. Podobnie miała się zachować jedna z załóg radzieckich stacji Salut.

Rosjanie wyodrębniają cztery fazy przystosowania się załogi stacji kosmicznej do nowych warunków. I nie rysują one różowego obrazu tego, jak wygląda życie w kosmosie. Pierwsza jest zdominowana przez fizjologię i adaptację do życia w stanie nieważkości. Astronauci nie są w pełni zdolni do pracy, dopóki ich organizmy nie dostosują się do mikrograwitacji. Pełna adaptacja – fizyczna i psychologiczna – następuje około szóstego tygodnia. Ale problemy pojawiają się szybko. Około 12. tygodnia zaczyna się zwyczajna ziemska nuda. Astronauci wykazują problemy ze snem, zmiany w nastroju, wpadają w apatię albo fiksują się na jednym, konkretnym zadaniu. Pojawia się także nadwrażliwość na hałasy, a w pewnych przypadkach stan nazwany przez Rosjan „astenią": wyczerpanie, brak aktywności, motywacji i apetytu, w ekstremalnych przypadkach przechodzące w ciężką depresję, bądź przeciwnie – maniakalną euforię. I dopiero tuż przed zakończeniem misji sam proces przygotowania do powrotu przywraca załogę do stanu zbliżonego do poprzedniego.

Psychologowie lotów kosmicznych sięgają więc po doświadczenia innych grup, które spędzają długi czas w ekstremalnych warunkach i zamknięciu: w więzieniach, okrętach podwodnych czy bazach antarktycznych. Jednym z najprostszych sposobów na poprawę morale są zdjęcia. Obrazki zwyczajnej (ziemskiej) codzienności – przyrody, rodziny, znajomych stron. W kosmosie przydać się może wirtualna rzeczywistość, która pozwoli załodze choćby w taki sposób wyrwać się na chwilę z metalowej puszki. Dziś filmy VR są testowane jako sposób na poprawę nastroju przywiązanych do łóżka seniorów.

Część ekspertów sugeruje jednak, że wiele medycznych i psychologicznych problemów można rozwiązać stosunkowo prosto: wysyłając, np. na Marsa, załogę składającą się wyłącznie z kobiet. Kobiety mają zwykle sprawniejsze układy krwionośne i odpornościowe, lepiej też znoszą przebywanie w zamkniętej przestrzeni z innymi ludźmi i izolację od reszty świata. I, co z punktu widzenia projektowania misji jest cennym bonusem, są mniejsze i potrzebują nieco mniej wody i pożywienia.

Ryzyko jest ogromne, ale czy warto? Jake Garn sądzi, że tak. „Uwierzcie mi, wymiotowałbym każdego dnia, gdyby to pozwoliłoby mi znowu polecieć w kosmos" – powiedział w wywiadzie w 20. rocznicę swojego lotu. Czy człowiek, który jest wzorcem z Sèvres dla kosmicznych lekarzy, może się mylić?

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

RDC POLSKIE RADIO

WOJCIECH BRZEZIŃSKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 27 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

ANDRZEJ

Stasiuk:
Ludzie (3)

Gospodarstwo leżało na wzniesieniu i trudno było tam wjechać. Wyboista droga z wąwozem po jednej stronie zimą była nieprzejezdna. No, może traktor by sobie poradził. A i latem auto zostawiało się kilkaset metrów wcześniej, bo osobówka nie dawała sobie rady z koleinami i błotem. To były głównie łąki i pastwiska na takich stromiznach, że zwykła zwózka siana stawała się wyzwaniem. No ale krowy, owce, koń dożywający w spokoju swoich dni, psy, koty, wszystko w jakiejś symbiozie, w pogodnym bałaganie i pomieszaniu z ludzkim światem, bo bydlęta miały swoje imiona, psiarnia zalegała pod stołem w kuchni, a kocięta dorastały na piecu. Sam dom, starawy i zaniedbany z wyglądu, wewnątrz kipiał życiem. Ktoś zawsze wpadał, odwiedzał, siedział za stołem, na blasze bez przerwy coś się gotowało, bulgotało, żeby żaden gość nie wyszedł głodny. Chwilami trudno było zgadnąć, jak ta nieustająca gościnność dała się godzić z gospodarskimi koniecznościami. Ale dała. Dzięki niej.

Była szczupła, niewysoka, silna i żywa jak płomyk. Bez przerwy w ruchu i w dobrym humorze. Zawiadywała pozornym chaosem, wydawała polecenia znad kuchni, zastawiała stół, biegła do stajni, do stodoły, takim samym głosem przemawiając do domowników, gości i do wielkich kudłatych psów, które trzeba było nieustannie omijać, przestępować, bo leniwie polegały to tu, to tam, najczęściej w przejściach. Nie znałem gościnniejszego domu, nie znałem kobiety, która w równie naturalny sposób potrafiła się domem opiekować. Nie zważając na pozory, konwenanse, wymyślne formy. Sadzała przybysza za stołem, nakładała do talerza, opowiadała historie, by zaraz potem wypędzić go na strome łąki do wideł i grabi, do sianokosów, bo deszcz idzie, a wieczorem, po dniu harówki, miała jeszcze siłę tańczyć w ciasnej kuchni, bo przecież jak świat światem zawsze był czas pracy i czas zabawy. Tak, to był dom, do którego ludzie się garnęli, a do niej lgnęli. Ktoś z zewnątrz miałby kłopot z odróżnieniem, kto jest domownikiem, rodziną, a kto gościem.

A potem było trochę jak w „Nocach i dniach" i trochę jak w „Pani Bovary". Tyle że Bogumił nie umarł, ale odszedł. Emma też została przy życiu. Rudolf Boulanger okazał się młodym, ale zakochanym w sobie powiatowym Adonisem. Patrząc na to z boku, trudno sobie było wyobrazić gorszą uczuciową inwestycję. Ale cóż my wiemy o uczuciach... W każdym razie, jak to w takich historiach bywa, gdy zaczęła się proza życia, a pieniądze kończyć, zniknął, pozostawiając na pociechę potomka.

Można było oglądać powolny upadek domu na wzniesieniu. Zniknęła większość zwierząt, maszyny. Ubywało gości. Droga zarastała. Ubywało życia. Ale jej nie ubywało siły. Jakby postępująca samotność jeszcze ją wzmocniła. Może tylko stała się bardziej milcząca. Skupiona w sobie. Jakby gdzieś w środku na zawsze splótł się jakiś węzeł, który utrzyma jej drobne ciało w całości w najcięższej próbie. Zimą ładowała na sanki worek z węglem i ciągnęła w górę kilkaset metrów. Latem wyglądała rysia, który zawziął się na stadko kóz. Zostawiła sobie jedną krowę, która nadawała rytm jej dniom: nakarmić, napoić, wydoić, nakarmić, napoić, wydoić. Krowa była jak ciepły, żywy zegar. Ale nawet wtedy, gdy dom opustoszał, gdy zniknęli goście, ilekroć się przyszło, pod kuchnią się paliło, na kuchni bulgotały garnki, pachniało jedzeniem, a na stole leżał upieczony przez nią chleb i stało masło, i natychmiast dostawało się na talerz dobre jedzenie ugotowane z najprostszych składników. Pod stołem, ale na samym środku, w przejściu leżały nieodmiennie kudłate psy. Tyle że coraz starsze i nieskore, by w ogóle się ruszyć i zaszczekać w ciemność lasu, skąd przychodził ryś.

Nigdy nie słyszałem od niej słowa skargi. Dawna radość życia i energia zamieniły się w spokojną, niezłomną siłę, która mierzy i mocuje się z losem, któremu kiedyś rzuciła wyzwanie. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

Moc ma Joyce'a

MAGDA HEYDEL O VIRGINII WOOLF W NOWYM TARGU

Tematem lekcji, która odbędzie się w **piątek 1 marca** w II LO w Nowym Targu, będzie utwór Virginii Woolf „The Death of the Moth". W spotkaniu, oprócz nowotarskich licealistów, wezmą udział ich rówieśnicy z Austrii, Bułgarii, Francji i Włoch, przebywający na Podhalu w ramach projektu „ART TRA: From ART TRAilers towards new skills and competences, more responsive to the labour market and the knowledge-based society needs".

WOJCIECH BONOWICZ O TISCHNERZE W ŻUROMINIE I RYPINIE

We **wtorek 5 marca** Wojciech Bonowicz spotka się z licealistami w Powiatowo-Miejskiej Bibliotece Publicznej w Żurominie. Tematem dyskusji będzie esej „Co to znaczy myśleć?" ks. Józefa Tischnera. Tego samego dnia w rypińskiej Miejsko-Powiatowej Bibliotece Publicznej uczniowie klas humanistycznych Zespołu Szkół nr 1 porozmawiają z Bonowiczem o tekście Tischnera „Jak przerwać spiralę przemocy".

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · TYGODNIK POWSZECHNY · UNIWERSYTET ŁÓDZKI · Quad Graphics · SALES MANAGO marketing automation

PO MUCHOMORACH

GABRIELA MUSKAŁA, AKTORKA:

Kiedy zdarzały się przebłyski świadomości, babcia wołała: „Boże, nie zabieraj mi pamięci! Pozwól mi wiedzieć, że żyję, pozwól mi zrozumieć, że jestem".

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Chciałaby Pani o czymś zapomnieć?

GABRIELA MUSKAŁA: Przeciwnie. Najgorsza rzecz, jaka mogłaby mnie spotkać w życiu, to utrata pamięci.

Nawet gdy wspomnienia dręczą?

Nawet tych bolesnych nie chciałabym nigdy zapomnieć. To bezcenne, mieć pod koniec życia pełen obraz siebie. Jesteśmy zbudowani z tego, co było dobre, piękne i szlachetne, ale też z tego, co głupie, wstydliwe i krzywdzące.

No nie wiem.

To ja opowiem pani o mojej babci. Urodziła się w 1913 r. Była rzeczowa i pragmatyczna. Na alzheimera zachorowała w początkach lat 80. Dwaj bracia taty z rodzinami wyemigrowali wtedy do Niemiec. Babcia wyjechała z nimi, zresztą my także, ale rodzice po dwóch tygodniach zdecydowali, że wracamy. To jednak zupełnie inna historia...

Ją też proszę opowiedzieć.

Dobrze, ale do babci jeszcze wrócimy. Tata, z zawodu kardiolog, był motorem tej rodzinnej emigracji. Odkąd pamiętam, namawiał do niej swych braci. Nie mógł znieść życia w zakłamanym kraju, chciał być wolnym człowiekiem. Wujkowie początkowo byli niechętni, bali się ryzykować – mieli małe dzieci. W końcu jednak, po paru latach tych taty namawiań – zdecydowali się. Jesienią '81 wyjechaliśmy trzema samochodami do Niemiec, skąd po jakimś czasie mieliśmy lecieć dalej, do Kanady albo Stanów. Miałam 12 lat, moja siostra Monika 15. Nasza rodzina jechała maluszkiem na najwolniejszym pasie niemieckiej autostrady. Wyglądało to tak: tir, tir, tir, tir, nasz maluszek i tir... Ci, którzy nas mijali na szybszych pasach, pokazywali nam znak zwycięstwa. A ja z Moniką siedziałyśmy na tylnym siedzeniu, jadłyśmy misie Haribo i też odpowiadałyśmy im znakiem zwycięstwa.

Gdy dojechaliśmy na miejsce do miejscowości Kempen, wujkowie od razu zgłosili się do urzędu emigracyjnego, dostali mieszkanie i zapomogę. A rodzice przez dwa tygodnie wyruszali do okienka i spod niego zawracali. Mama ciągle płakała za Polską, a tatę nagle zaczęły dopadać wątpliwości. Czy im się uda, czy mama nie rozpadnie się z tęsknoty za Polską, czy znajdą w sobie tyle siły, by emigrować dalej i zaczynać życie od nowa? Świadomość, że mogą nigdy nie wrócić do ojczyzny, nie dawała mu spokoju. Wujkowie i ich żony już uczyli się niemieckich słówek, szukali pracy – skoro wreszcie podjęli decyzję, teraz nie mieli zamiaru się cofać ani oglądać wstecz. Byli konsekwentni. A rodzice po dwóch tygodniach postanowili wrócić do Polski.

Złamali się jednak?

Niezupełnie. W drodze powrotnej: w samochodzie straszna, gęsta od emocji cisza. Tata kieruje, mama obok cichutko pociąga nosem. Wie, że kiedy wrócimy, tata będzie żałował. Tata nagle stwierdza: „Nie! Zawracamy!". Po czym zawraca auto na środku ulicy i znów jedziemy do Kempen. Mama w płacz. Po 15 minutach tata znów zawraca w kierunku granicy: „Jedziemy do Polski. To nie ma sensu...". Ta podróż trwała wiecznie. Była noc, tata zawracał w jedną albo drugą stronę. Zatrzymaliśmy się w jakimś lasku na siusiu, i kiedy wróciłam do auta, spytałam: „Tato, to my teraz jedziemy do Polski czy do Niemiec?". Kiedy wreszcie przekroczyliśmy granicę, otwarła się czeluść: długi pas drogi pomiędzy granicami zachodnich Niemiec i Czechosłowacji, gdzie nie było żadnych znaków, świateł, tylko złowrogi mrok.

Wróciliśmy do domu. Po trzech miesiącach ogłoszono stan wojenny. Tata się załamał, miał krótki okres depresji. Po pewnym czasie jednak zrozumiał, że decyzja o powrocie była słuszna. Zwłaszcza kiedy Polska stała się wolnym krajem.

A co z pamięcią i babcią?

Wtedy też z nami emigrowała. Tata i jego bracia byli z nią bardzo związani, wiedzieli, ↦

GABRIELA MUSKAŁA jest aktorką i dramatopisarką. Z siostrą, Moniką Muskałą, tworzą duet pisarski Amanita Muskaria. Autorka scenariusza do filmu „Fuga" (Złote Lwy dla najlepszego filmu na festiwalu w Gdyni) w reż. Agnieszki Smoczyńskiej, w którym zagrała główną rolę. W lutym w Teatrze Narodowym odbyła się premiera sztuki „Jak być kochaną" w reżyserii Leny Frankiewicz, gdzie zagrała Felicję.
W tym roku dostała trzy nominacje do nagrody filmowej Orły: za role w filmie Marka Koterskiego „Siedem uczuć" i w „Fudze", oraz w kategorii „Odkrycie roku" za scenariusz do tego filmu.

JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA GAZETA

↦ że dużo jej zawdzięczają. Babcia młodo owdowiała, dziadek zmarł w 1954 r., kiedy mój tato – najstarszy z trzech synów – miał 15 lat. Babcia praktycznie sama ich wychowała.

Już w latach 70. miała przebłyski dziwnych zachowań. Mimo pojawiających się coraz częściej artykułów o alzheimerze i jego pierwszych słynnych przypadkach – Ricie Hayworth i Ronaldzie Reaganie – synowie bagatelizowali te objawy... Ale one się nasilały. W Niemczech babcia dawała już w kość wujkom. Kiedyś jeden zadzwonił do taty i powiedział, że w szufladzie, gdzie babcia trzymała pierścionki i inne swoje precjoza, znalazł karteczkę: „Złodzieju, niech ci rączka uschnie". Chyba dopiero wtedy tato przyjął do wiadomości, że babcia ma alzheimera. Jeden wujek był prawnikiem, drugi ekonomistą, tato lekarzem – wiadomo było, kto najlepiej zajmie się babcią.

I babcia wróciła do Polski?

Zamieszkała z nami. Przez całe liceum obserwowałam chorobę, w której się pogrążała. Miała jej agresywną postać: była strasznie podejrzliwa. Jedząc obiad dopytywała: „To jest sałata? Taka zielona, psiakrew jedna? Zjem, ale jak umrę, żądam sekcji zwłok!". Pomstowała całe dnie: „Trzech synów wychowałam własnoręcznie. Trzech synów. Trzech synów... skurwysynów!". Mieszkaliśmy w budynku ośrodka zdrowia na pierwszym piętrze. Na parterze tato przyjmował pacjentów. Babcia schodziła na dół i zaczepiała ludzi: „Proszę pani, mój syn jest szanowanym obywatelem Ołdrzychowic, ale ja pani powiem, że ja w tej jednej, jedynej sukience chodzę. Jeżeli ubłagam, to dostanę czasem suchą bułkę, a tak to nic...".

By nie zwariować, ratowaliśmy się śmiechem. To było uwalniające i oczyszczające. Wtedy uwielbiałam odgrywać różne scenki, robić domowy teatrzyk dla rodziców. Odgrywałam też babcię Władzię – przebierałam się w jej ubrania, garbiłam jak ona, chodziłam po domu i pomstowałam.

A w 2001 r. zagrała Pani babcię w „Podróży do Buenos Aires", monodramie, który napisała Pani z siostrą.

Jeszcze wcześniej monolog babci powiedziałam na egzaminie do szkoły teatralnej. Zasugerował mi to wspaniały, nieżyjący już aktor Kazimierz Borowiec, którego poznałam na festiwalu Wrostja we Wrocławiu, gdzie zaproszono mnie jako laureatkę ogólnopolskiego amatorskiego konkursu recytatorskiego w sekcji monodramu. Borowiec spytał, czy kończyłam szkołę teatralną. Ja: „Nie, dwa razy się nie dostałam". On: „Jak chcesz, możesz przyjechać do Krakowa, pomogę ci się przygotować do egzaminu".

Jeździłam do niego raz w miesiącu i między recytowaniem wiersza czy prozy opowiadałam o babci – to był czas jej najintensywniejszego stadium choroby. Borowiec rzucił: „Napisz, jak ona się modli". Bo babcia płynnie przechodziła w modlitwach do przekleństw. Klęczała w koszuli nocnej przy łóżku, z grzecznie złożonymi rękami, i recytowała bez zająknięcia: „Żebyście tak czezli, czezli, i sczeznąć nie mogli w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, żeby sumienie dręczyło, żeby dręczyło sumienie w najprzyjemniejszych chwilach życia, sumienie za krzywdy wyrządzone jako w niebie, tak i na ziemi, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy, ja nikomu źle nie życzę, ale żeby ręce, nogi połamali za to, co tu ze mną wyrabiają, i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw od złego. Amen".

Ta „modlitwa" znalazła się w tekście „Podróży do Buenos Aires".

Nie tylko modlitwa. Nagrywałam babcię grundigiem i zapisałam cały gruby zeszyt jej monologów, z którego później korzystałyśmy z Moniką, pisząc monodram – to był niesamowity dokument.

Babcia dzień i noc chodziła po mieszkaniu i pomstowała. Kiedyś powiedziałam: „Babciu, błagam cię, za chwilę zdaję maturę, nie mogę się uczyć". Na co babcia: „Muszę mówić! Gdybym nie mówiła, tobym się udusiła!". Więc z tej bezradności włączyłam jej magnetofon, żeby sama siebie posłuchała. Powiedziałam: „Babciu posłuchaj, czy to można wytrzymać? Posłuchaj sama siebie!". I jej głos poszedł z grundiga: tu mi zabierają, tu mnie chcą otruć, tu mnie oszukują... Babcia na moment zamilkła, słucha, a ja się łudzę, że może coś zrozumie. A ona nagle mówi w stronę tego magnetofonu: „Przepraszam panią, ja jestem Władysława Muskała, a pani jak się nazywa? O Boże! Naprawdę? Naprawdę kradną? No to muszę pani powiedzieć, że my jesteśmy w takiej samej sytuacji! Mam taki pomysł: ja się tu przesunę, pani koło mnie się położy, jakoś dotrwamy do rana, a jutro pójdziemy na pocztę i zapytamy o rentę. Bo mi rentę też zabierają". Stałam jak zaczarowana i słuchałam, jak babcia prowadzi dialog ze sobą.

Obok tragikomicznych sytuacji z szukaniem szczęki czy prawej piersi, którą, jak sądziła, ktoś jej ukradł, zdarzały się momenty przejmujące. Na przykład kiedy babcia nie mogła doliczyć się własnych dzieci, które tak bardzo kochała. Wymieniała: „Grzegorz, Antoni, Jasiu, Antoś, Grzesiu, Antek, Jan... Boże!!! Przecież troje! Troje dzieci przecież miałam!". I zaczynała od nowa. Dalej nie mogła się doliczyć, płakała. Zrozpaczona pytała: „Ileż to ja mam tych dzieci?". Zdarzały się jej przebłyski świadomości, wtedy wołała: „Boże, nie zabieraj mi pamięci! Pozwól mi wiedzieć, że żyję, pozwól mi zrozumieć, że jestem".

Zaczynam rozumieć, skąd ten pseudonim: Amanita Muskaria, którym z siostrą podpisujecie swoje wszystkie sztuki. To łacińska nazwa muchomora, którym narkotyzują się szamani...

...w Jakucji, gdzie podróżowała Monika. Ten pseudonim to jej pomysł. Pasował nam bardzo do tytułu naszej pierwszej sztuki. Monologi babci przypominały taki odjazd po muchomorach...

Temat pamięci nas nie opuszcza. Jest też głównym bohaterem naszych następnych sztuk. W „Daily Soup" inspiracją postaci Babki była nasza druga babcia – Marysia, która miała dobrą pamięć, ale też niesamowitą wyobraźnię. Tę rolę w Teatrze Narodowym zagrała pani Danusia Szaflarska.

Do filmu ,,Fuga" napisała Pani scenariusz i zagrała główną rolę. Bohaterka pod wpływem traumy traci pamięć biograficzną. I odchodzi z domu stając się innym człowiekiem.

13 lat temu w programie „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie..." zobaczyłam kobietę, wtedy trzydziestoparolatkę, moją rówieśniczkę. Nie znała nawet swojego imienia, nie miała pojęcia, że jest matką. Poprzez program szukano ludzi, którzy mogą ją rozpoznać, w końcu zadzwonił jej sąsiad. W pustych oczach tej kobiety było coś, czego nie można zobaczyć w oczach innych ludzi. Każdy ma swoje życie wypisane w spojrzeniu. A u niej nie było tam nic.

Ta kobieta przypominała Pani babcię, której choroba potężnie zmieniła osobowość?

Jednak alzheimer pojawia się wbrew woli, a fuga jest rodzajem uwolnienia, krótkotrwałą ulgą, bo przecież przeszłość znika wyłącznie w pamięci. Ona istnieje i za chwileczkę upomni się, by za nią wziąć odpowiedzialność. Człowiek podświadomie chce wtedy zapomnieć o tym, czego doświadcza, bo żyje w traumie, w toksycznym układzie czy dramatycznych warunkach socjalnych. I zawsze jest podobny schemat: taka osoba chce popełnić samobójstwo, wyjeżdża gdzieś daleko, ale nie potrafi się zabić – tak jak wcześniej nie potrafi zmienić swojego życia. I wtedy, w akcie samoobrony, mózg resetuje pamięć biograficzną. Potem, kiedy odnajduje się rodzina, wraz z nią przychodzi przypomnienie: oto jesteśmy, ja jestem twoim mężem, a ja twoim dzieckiem – wróć i bądź taka, jak byłaś. A tym osobom często o 180 stopni zmienia się osobowość, są kompletnie kimś innym. I na przykład wraca do domu taki mężczyzna, który zaginął sześć lat wcześniej, a jego żona opowiada później: „Wrócił obcy mężczyzna w skórze mojego męża".

A w „Jak być kochaną" w Teatrze Narodowym, gdzie gram Felicję, pamięć jeszcze inaczej jest potraktowana. To pamięć, która nie chce się zapomnieć.

Felicję w „Jak być kochaną" zagrała w 1962 r. Barbara Krafftówna. A Kazimierz Brandys, autor opowiadania, które sfilmował Wojciech Jerzy Has, historię oparł na losach aktorki zakochanej w koledze z pracy, którego za okupacji ukrywa i dla którego gra w niemieckich teatrach. W ten sposób chce go chronić.

Z Barbarą Krafftówną spotkałyśmy się kilka dni przed premierą spektaklu. Dopytywała: „Jak wy o tej wojnie opowiadacie?". Powiedziałam: „Pani Barbaro, wiem, że po filmie Hasa pewnie trudno będzie pani oglądać wersję teatralną – to zupełnie inne medium, nowa adaptacja...". A ona złapała mnie za rękę i mówi: „Ja na to właśnie czekam, żeby było inaczej, żeby ten Brandys został odczytany na nowo". Poprosiłam ją też o kopniaka w tyłek – na szczęście. To był kopniak od Felicji dla Felicji. Dla mnie przedpremierowy, bezcenny dar.

Niczego nie chciałaby Pani zapomnieć. W takim razie, do jakich wspomnień lubi Pani wracać?

Kiedy urodziłam syna, położono mi go na piersiach, złapał mnie maleńką rączką za palec. Spojrzał mi w oczy, choć wiedziałam, że jeszcze mnie nie widzi. Dotarło do mnie, że to osobny człowiek, z własnym charakterem. Ale jako jego mama będę mu towarzyszyła przez wiele lat. I zrozumiałam, jak wiele w jego życiu będzie zależało ode mnie. Przyszła świadomość tej ogromnej odpowiedzialności. Ale przede wszystkim szczęście.

> Babcia dzień i noc chodziła po mieszkaniu i pomstowała. Kiedyś powiedziałam: „Babciu, błagam cię, za chwilę zdaję maturę, nie mogę się uczyć". Na co babcia: **„Muszę mówić! Gdybym nie mówiła, tobym się udusiła!".**

Tylko jedno wspomnienie?

Jedno z najbardziej intensywnych. Lubię też moje wspomnienia z czasów, kiedy sama byłam dzieckiem: wolność na łąkach ołdrzychowickich, zabawy w gospodarstwie naszej sąsiadki, pani Bednarskiej. Bezcenne flesze: siedzę w stajni z gromadką dopiero co urodzonych prosiaczków, albo z cielaczkiem, który próbuje ssać mój rękaw. Albo hodowla ślimaczków. Za kościołem był dziecięcy poniemiecki cmentarzyk. Żyły tam całe rodziny ślimaków. Godzinami obserwowałam, jak wędrują, każdy dostał ode mnie imię. Sprawdzałam, co się z nimi dzieje, który poszedł na sąsiedni grób albo zaginął.

Zdarzały się też z nimi traumatyczne sytuacje: pożegnałam się ze ślimaczkami, bo mama zawołała mnie na obiad. Biegnę przez łąkę i nagle coś mi chrupnęło pod nogą. Ja – miłośniczka ślimaków – zabiłam jednego z nich. Dramat! Płakałam i urządzałam mu pogrzeb. Ratowałam żaby: wywoziłam do jeziorka w lesie ze stawu w parku, gdzie chłopcy tłukli je kijami. Najgorliwiej ci, którzy sami wcześniej dostawali pasem od ojców.

Kiedyś tata przyniósł mi zajączka. Dostał od pacjenta na jakiejś wizycie – kot przyniósł go z lasu. Nie miałam pojęcia, że dla dzikich zwierząt krowie mleko jest trucizną. Biedny zajączek po dwóch dniach karmienia umarł w męczarniach. Albo jastrząb, który wypadł z gniazda. Przyniosła mi go koleżanka. Hodowałam, karmiłam go wnętrznościami kur. Jastrząb rósł, gubił już puch, miał coraz więcej piór i wielki apetyt. Pewnego dnia wyjeżdżaliśmy do Gliwic odwiedzić rodzinę, więc jastrzębia z całą instrukcją obsługi zostawiłam na przechowanie u koleżanki. Ale ona wbrew moim zakazom postanowiła nauczyć go latać. Złamał skrzydło. Chodziłam z nim do weterynarzy, a oni pukali się tylko w głowę: „Dziecko, już nic z niego nie będzie".

Smutne te historie.

Tak, ale dla mnie dziś niezwykle inspirujące. Jako córce lekarza zdarzało mi się widywać nieboszczyków. Tata wioząc mnie do szkoły muzycznej w Kłodzku musiał gdzieś wstąpić, by stwierdzić zgon. A ja dreptałam za nim. Za dnia widywałam zmarłych, a w nocy przychodziły do mnie ich duchy. Nie mogłam spać, zawijałam się w kołdrę, bałam się, że duch mnie dotknie... To był stan, który przypomina opis śmierci klinicznej: leżałam w łóżku i ze strachu traciłam przytomność. Wpadałam w tunel, leciałam w nim i wirowałam, a jednocześnie wiedziałam, że leżę w łóżku. Straszne uczucie. Kiedyś powiedziałam o tym rodzicom. I tata zadecydował: „Będziesz spała z nami. Trzymaj nas za ręce i jak się tylko to zacznie, ściśnij dłoń moją lub mamy". Więc leżałam między nimi i dopóki nie spali tak jak ja, to się nie bałam. Lecz gdy usłyszałam ich miarowe oddechy, wiedziałam już, że zasnęli i że znów jestem sama. I wtedy przychodził ten lęk i ten sam scenariusz: wpadałam w tunel i leciałam, wiedząc, że leżę w łóżku. I mimo prób nie mogłam ścisnąć rąk rodziców, bo byłam nieprzytomna, a moje dłonie bezwładne.

I o tym też nie chciałaby Pani zapomnieć? Może bez tego nie zostałaby Pani aktorką.

No właśnie. Może w Kanadzie czy Ameryce te marzenia i wspomnienia nigdy by do mnie nie przyszły. Ale kiedy teraz wspominam wzruszenie rodziców po mojej pierwszej premierze i mokrą od łez marynarkę taty, myślę: cudownie, że takie chwile możemy pamiętać... I chyba dobrze, że wtedy wróciliśmy do Polski.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Budowniczy

MARCIN WICHA

Józef Sigalin nie został skorumpowany, przekupiony, omotany. Był świetnym architektem, dla którego władza stała się narzędziem, tworzywem i materiałem budowlanym.

Widziałem go kiedyś. To musiało być lato 1982 lub 1983 r. Lipiec, może pierwsza połowa sierpnia. Wakacje w Domu Architekta.

Był łysy i chudy. Wydawał się ogromny. W książce jest fotografia z tego okresu. Czarno-biała, ale to bez znaczenia. Tamtego lata nie zostało w nim wiele koloru. Może tylko w sińcach pod oczami.

Umarł w grudniu 1983 r. (sprawdzam datę na okładce). Chorował długo. Więc już wtedy praktycznie umierał. Zapowiedział, że opowie anegdotę. Wokół zebrali się słuchacze. Zupełnie świeżą i ogromnie pikantną – ostrzegł i przez chwilę się sumitował, że przyjdzie mu użyć niecenzuralnego wyrazu. To przykuło moją uwagę. Miałem dziesięć lat.

Szybko się zawiodłem. Rzecz dotyczyła Akademii, skąd władze próbowały usunąć rektora czy dziekana. Trwał stan wojenny. W historyjce występował szwarc-charakter, jakiś partyjny komisarz. Wyjątkowy sukinsyn, z uczczeniem uszu. I to był ten brzydki wyraz. Doprawdy, spore rozczarowanie.

Żadne muzeum nie przyjmie takiego wspomnienia w depozyt, ale pamiętam brzmienie jego głosu. Nie wiem, czy spotkałem kogoś, kto miałby więcej energii niż tamten starzec.

CARYCA KEFIRU Andrzej Skalimowski próbuje odtworzyć awanturniczą historię babci Józefa Sigalina, Klaudii Sigaliny.

Była Żydówką z Kaukazu. Ponoć wzięła udział w powstaniu Szamila. W latach 60. XIX w. przywędrowała do Warszawy. Wiozła ze sobą grzybki kefirowe. W tym miejscu autor przedstawia zdumiewający wykład o znaczeniu, jakie miały grzybki w życiu górskiego plemienia Swanitów. Klaudia zdobyła ten skarb i stworzyła w Warszawie kefirowe imperium. Umierając, podzieliła firmę między synów. W kolejnym pokoleniu rodzinne mleczarnie i sklepy podupadły. Może po prostu minęła moda na kefir. Potem i tak przyszła wojna.

SOVFOTO / UIG / EAST NEWS

Prezydent Bolesław Bierut (trzeci od lewej) i Józef Sigalin (czwarty od lewej) na budowie Trasy W-Z, Warszawa, 1948 r.

Znakomite preludium do opowieści. W Józefie Sigalinie żył duch awanturnika. Kusząca myśl: zobaczyć w nim urodzonego przedsiębiorcę, menadżera, poszukiwacza przygód. Jakoś ominąć ten cały komunizm.

KONSPEKT ŻYCIA Był komunistą, zanim został architektem. W jego przedwojennym życiorysie znajdziemy nazwy, które rozpoznają dziś głównie historycy IPN i trzecie pokolenie KPP: woskówka i wojskówka, dwójka, defa, obwodowiec.

Na dzień przed śmiercią, w rządowej lecznicy sporządził konspekt kolejnej wersji wspomnień. Miał czytelne architektoniczne pismo. Prawie jak druk. Nie łączył liter. Linie lekko drżały, gdy spisywał w punktach historię swojej choroby.

„– 1922 – zabójstwo Narutowicza (endecy, antysemityzm) – 1923 – Kraków – robotnicy – ułani (nasi ułani!), czyją stronę trzymać? – 1925 – Polek, literatura, Engels, Manifest Komunistyczny, co to są komuniści, Kirsanow, »Grenada« (...) – 1927 – jednostronna informacja o »Sowdepii« źle wówczas przeze mnie przyjmowana, a jednocześnie etos, »John Reed«, Sejfullina »Mierzwa«, Majakowski, sztuka awangardowa, nie ma tam antysemityzmu".

A kilka linijek niżej: „– 1937 – Procesy w Moskwie. Nie rozumiem. Raczej wierzę, ale wątpliwości (słabe)".

Kiedyś takie rzeczy wydawały się ważne. Dylematy starych komunistów. Wiedzieli? Nie wiedzieli? Jak mogli nie wiedzieć? Czyli wiedzieli. Wiedzieli i nie wiedzieli. Wiedzieli, ale nie wierzyli. Wierzyli, więc nie wiedzieli. Plus inne kombinacje czasowników.

Sam Sigalin wyznał, że czuje się jak mężczyzna, który po 40 latach małżeństwa odkrył, że ożenił się z dziwką. Jeszcze wolno było mówić o komunizmie jak o nieudanym związku. Fatalnym zauroczeniu. Nieszczęśliwej miłości. Zobaczyć w sobie bohatera melodramatu. A choćby i trywialnej farsy. Komedii w trzech aktach z zaślepionym mężem rogaczem.

Dzisiaj to już bez znaczenia. Nikogo nie obchodzi, czy komunista przejrzał na oczy (jeździł do Lasek, podpisywał protesty), czy może przeciwnie – trwał w uporze niczym Komitet Centralny w Albanii.

Nawiasem mówiąc, pan Sigalin nie robił żadnej z wymienionych rzeczy. W swoim konspekcie zapisał, nie szczędząc wielkich liter: „1968 – Antysemityzm – ustawy norymberskie. Moczar – kartoteki spisów. KONIEC Z WIARĄ W PARTIĘ. Sierpień 1968 – KONIEC JAKIEGOKOLWIEK ZAUFANIA DO INTERNACJONALIZMU, do ZSRR. (...) chcę oddać legitymację partyjną. Nie oddaję (oportunizm – obawa o rodzinę i moją pracę nad budowaniem Warszawy)".

CZĘŚCI ZAPASOWE Pamiętam, że w domu właśnie tak się mówiło: pan Sigalin. Nie trzeba było uściślać, o którego pana Sigalina chodzi.

Kiedyś miał dwóch starszych braci – architektów. Roman był specjalistą od luksusowych kamienic. Do dziś stoją w Warszawie domy jego projektu. Luksusowe budynki mają większe szanse na przetrwanie. Zawsze się znajdzie okupant skłonny wziąć je na kwaterę.

Grzegorz Sigalin miał wielkie ambicje. Wziął udział w konkursie na Pałac Rad w Moskwie. Wyjechał do Związku Radzieckiego. Wkrótce zaczęła się czystka, rozstrzelali go w 1938 r.

Roman przeżył dwa lata dłużej. Zmobilizowany we Wrześniu, trafił do niewoli i zginął w Katyniu lub Charkowie.

Ojciec umarł przed wojną. Matka z siostrą zginęły w Treblince. Troje rodzeństwa ocalało. Józef Sigalin zdołał uciec na wschód. Kierował brygadą budowlaną, w radzieckim mundurze prowadził ciężarówki do Teheranu, uczył w szkole. W końcu wezwali go do Moskwy.

To niesamowite. Trwała wojna. Miliony ludzi znikały bez śladu. ZSRR obejmował jedną szóstą kuli ziemskiej, ale władza radziecka świetnie pamiętała, gdzie umieściła przydatnych uchodźców.

Kiedy przyszedł czas, bezpieka sprowadzała ich z posiołków, kołchozów. Wyciągała z więzień, obozów, z tartaków, gorzelni i fabryk. Stanowili ludzki zestaw do składania. Komplet zapasowych części, z których teraz montowano administrację nowej Polski.

PISARZ W 1943 r. wstąpił do armii Berlinga. Służył jako oficer oświatowy, potem w łączności; był adiutantem dowódcy dywizji.

Przymierzali go do różnych ról. Dobrze pisał. Już przed wojną partia zwróciła uwagę na jego talent. W Charkowie wydał powieść po rosyjsku. Planował kolejne. Publikował w „Nowych Widnokręgach" i „Rzeczpospolitej". Równie dobrze mogli go rzucić na odcinek literacki.

Na mgnienie oka ukazuje się inna ścieżka. Sigalin – autor powieści produkcyjnych, programowych referatów i sztuk teatralnych, trzykrotny laureat nagrody państwowej, drukowany w setkach tysięcy egzemplarzy. Dziś gruntownie zapomniany, wycofany z bibliotek i lektur szkolnych... Spuściznę urbanisty trudniej wymazać.

ZNAD OKI TRASĄ W-Z W 1943 r. Leonid Utiosow nagrał skoczną piosenkę o żołnierzach, którzy odczytują nazwę ostatniej ulicy wyzwolonego miasta. Refren brzmiał: „Tędy nas prowadzi droga / Tędy nas prowadzi droga / Ulica Briańska na zaachód wiedzie nas!". W miarę postępów ofensywy pojawiały się kolejne zwrotki. W Briańsku – kierunek wyznaczała ulica Mińska. W Mińsku – Brzeska. W Brześciu ↦

↦ oddziały maszerowały ulicą Lubelską. W Lublinie – Warszawską.

Major Sigalin zdobywał Chełm, Lublin i Warszawę. Praca przy odbudowie była kontynuacją tego szlaku. Urbanistyka stała się przedłużeniem wojny.

Plan Warszawy jest zawikłany. Żeby go zrozumieć, trzeba zanurkować do archiwów. Odszukać zapomniane jurydyki. Odnaleźć ślady dawnych umocnień. Odtworzyć historię parcelacji. Określić wysokość wręczonych kiedyś łapówek.

W tym chaosie jest kilka wspaniałych tras wytyczonych przez Sigalina. Trzeźwo, racjonalnie, bez alienacji. Trasa W-Z wchodzi w miasto jak tor pocisku. Dziś trochę zakorkowany w godzinach szczytu.

Skalimowski przytacza słowa Marii Dąbrowskiej: „W lipcu [1949], kiedy gazety pełne były wiadomości o mającym nastąpić otwarciu Trasy W-Z, powiedziałyśmy sobie z Anną: – Cóż, to jest wielka droga strategiczna dla ofensywy lub odwrotu armii rosyjskiej (...) Trasę W-Z powinien otwierać Rokossowski – to trasa dla niego”.

WIELKI BOS(S) Z PISTOLETEM CV Sigalina układa się w historię odbudowy. Był kierownikiem Grupy Operacyjnej „Warszawa”, potem zastępcą kierownika Biura Odbudowy Stolicy, kierownikiem Pracowni Głównej BOS, kierownikiem pracowni W-Z, kierownikiem pracowni MDM, naczelnym architektem Warszawy i pełnomocnikiem rządu do spraw budowy Pałacu Kultury i Nauki.

Na zdjęciu z 1945 r. występuje jeszcze w mundurze. Stoi na podwyższeniu. Szeroko rozstawił nogi. Ręce trzyma z tyłu. Trwa w pozie generała Pattona. Dowódca przemawia do swego oddziału. Ogłasza pierwsze z serii zwycięstw. Otwiera prowizoryczne osiedle domków fińskich.

Ma przy sobie broń. Można ułożyć słownik pisarzy, filozofów i dziennikarzy, których w tamtych czasach widywano z bronią. Faktycznie, miasto było niebezpieczne, ale chodzenie z pistoletem należało do rewolucyjnego szyku. A Sigalin robił rewolucję. Wprowadzał lud do Śródmieścia. Towarzysz mauzer miał jeszcze sporo do powiedzenia.

WAŻENIE ZAWODNIKA Był nadzwyczajnym organizatorem. Potrafił znaleźć współpracowników. Potrafił koordynować pracę setek architektów, inżynierów, kreślarzy. Potrafił zarządzać biurem i placem budowy. Umiał przekonać do nowej władzy. Wiedział, jak pacyfikować, dyscyplinować, zastraszać.

Biograf próbuje przypisać Sigalina do właściwej kategorii wagowej. Ustalić jego miejsce w partyjnej hierarchii. Z jednej strony: „zbyt mało znaczył, by wejść do komunistycznej elity. (...) Miejsce w partyjnym szeregu zostało mu jasno wskazane i jak się miało okazać, był to raczej trzeci szereg”.

Mimo wszystko należał do: „nieformalnego kręgu wtajemniczonych. (...) Była to grupa około dwustu osób, które znały się jeszcze z »pionierskich czasów«. Właśnie w tym kręgu ustalano, kto jaki »odcinek« obejmie, pilnowano także najważniejszych instytucji państwowych”.

Ten pakiet akcji, to miejsce w trzecim szeregu władzy wystarczało, żeby stać się jedną z najpotężniejszych osób w polskiej architekturze.

„Tajemnica [jego] powodzenia polegała na ścisłym kontakcie z prezydentem PRL Bierutem” – napisał po latach jeden z podwładnych. Bez sympatii.

PRAWA RĘKA PRAWEJ RĘKI W albumie „Plan sześcioletni odbudowy stolicy” są plany, wykresy, zdjęcia przedwojennej nędzy (mrok, prątki, wilgoć) i powojennych murarzy (słońce i rusztowania). Na kredowym papierze błyszczą nowiutkie linie do produkcji landrynek.

A obok rysunki Jana Knothego zapowiadają ciąg dalszy: gmachy i samochody o opływowych kształtach. Rysunki tych bolidów, komiksowych batmobili, zdradzają jakąś chłopięcą radość. Podobnie jak fryzy i kolumnady, wieże, latarnie morskie rozrzucone po mieście. Ależ panowie mieli zabawę!

Nad treścią referatu pracował tłum ludzi, ale na okładce wydrukowano tylko jedno nazwisko: Bolesława Bieruta. Księgę odbudowy dyktował Bierut. Sigalin był jego wiernym skrybą, redaktorem, cieniem.

Na początku lat 50. miał wszystko, o czym i dziś marzą architekci. Zburzone miasto, nieograniczone środki i własnego dyktatora. Zaprowadzał socrealizm.

ZAPIS PARAMETRÓW LOTU Nie został skorumpowany, przekupiony, omotany. Nie był ulubieńcem władzy, tylko jej częścią. Świetnym architektem, dla którego władza stała się narzędziem. Tworzywem. Materiałem budowlanym.

Potrafił ominąć nieprzychylne instancje, skracać długie procedury. Chwytać za telefon. Podsuwać pomysły. Pozostawił szczegółowe archiwum. Wystarczyło na trzy tomy pośmiertnie wydanej autobiografii (z dołączoną teczką planów). Notatki i stenogramy to było jego ubezpieczenie. Czarna skrzynka z zapisem lotu.

Skrupulatnie notował przeprowadzone rozmowy. Brzmiały jak scenariusz powieści radiowej. Najsłynniejszy dialog dotyczył budowy Pałacu Kultury:

„[Mołotow]: A jakbyście widzieli taki wieżowiec jak u nas?

[Sigalin]: No cóż, owszem”.

„No cóż” – od którego bierze początek najsłynniejszy budynek Warszawy. Wahanie podane do protokołu. Przecinek, w którym można się dopatrzyć zdania odrębnego. Znak przestankowy jako symbol *Realpolitik*.

MRÓZ Z ASTANY Empik przy Nowym Świecie. Odkąd zdjęli reklamy, znów można odczytać słowa „CAŁY NARÓD BVDVJE SWOJĄ STOLICĘ”. Spiczaste U nadaje sentencji uroczysty wygląd.

O dziwo, słynne hasło jest starsze niż odbudowa Warszawy. W 1935 r., gdy Komitet Centralny KPZR przyjął uchwałę o „Generalnym Planie Rekonstrukcji Moskwy”, w piśmie „Architektura ZSRR” można było przeczytać: „[R]ekonstrukcja Moskwy to sprawa całego kraju, sprawa wszystkich narodów Związku Radzieckiego”.

Historyk architektury, Władimir Papiernyj, tak po latach objaśniał to stanowisko: „[K]ażdy mieszkaniec kraju, niezależnie od miejsca zameldowania, stawał się niejako honorowym obywatelem Moskwy, toteż nie mógł występować z pretensjami, że państwowe środki przeznaczono na budowę Moskwy, a nie, powiedzmy Baku, skoro w każdym wypadku chodziło o jego miasto”.

Dla Papiernego był to przykład szczególnego postrzegania przestrzeni. Ustanawiania hierarchii miejsc, charakterystycznej dla architektury stalinizmu.

„[K]oncentracja budownictwa na głównych magistralach i nabrzeżach stolicy miała automatycznie upiększyć całe miasto. Kształtuje się taka struktura przestrzeni, w której wartość wyodrębnionej części (na przykład Moskwy lub centrum miasta, fasady budynku czy głównej osi fasady) staje się większa niż wartość pozostałej przestrzeni. Dlatego skupienie wysiłków na wyodrębnionej części (...) nie

Z ARCHIWUM RODZINNEGO JÓZEFA SIGALINA / WYDAWNICTWO CZARNE

Józef Sigalin

jest luksusem czy pompą, lecz po prostu sensownym działaniem ekonomicznym".

Uderzające, jak dobrze ten opis pasuje do socrealistycznej Warszawy. Zresztą nie tylko socrealistycznej i nie tylko Warszawy. W 2008 r. prezydent Nursułtan Nazarbajew zachwalał nową stolicę Kazachstanu: „Budowa stolicy – to sprawa całego narodu, całego państwa. (...) Astana stała się sercem naszej Ojczyzny, ideą jednoczącą naród, stała się symbolem wiary narodu w swoje siły i wielkie przeznaczenie".

W Astanie pracowały największe gwiazdy współczesnej architektury. Może i tędy wiedzie droga od socu do architektury współczesnego kapitalizmu. „Tędy nas prowadzi droga / Tędy nas prowadzi droga"...

UPADEK PRZERYWANY Pisząc o latach (czy miesiącach) odwilży Skalimowski zauważa, że ówczesna debata o socrealizmie służyła jako wentyl bezpieczeństwa. Temat zastępczy.

„[W]ładzom łatwiej było dyskutować o złej literaturze i sztuce niż o katowniach UB, w związku z czym pierwszy impet odwilżowych dyskusji poszedł w kierunku spraw estetycznych".

Jednak krytyka pompatycznych fasad i ciasnoty mieszkań uderzała w podstawę stalinowskiego obrazu świata. W architekturze wróciły idee awangardy. Październik przyniósł gorzki triumf modernizmu.

Sigalinowi mocno się wtedy oberwało. Koledzy wypomnieli mu dyktatorskie metody i polityczną gorliwość. Przywieziony na bagnetach, idealnie pasował na kozła ofiarnego. Fakt, że kozioł ofiarny miał swoje na sumieniu.

To jeszcze nie był ostateczny upadek. Jeszcze się odbijał jak kamyk od powierzchni wody. Wciąż miał biuro, samochód, ludzi i telefon, który czasem ktoś odbierał.

Po 1956 r. budował przeprawę koło Cytadeli. Potem projektował Trasę Łazienkowską. Minęły czasy szybkich decyzji, więc dyskusje trwały latami. Gdy wreszcie zaczęto budowę, on sam popadł w ostateczną niełaskę.

CENA BARYŁKI W CENTRUM Dzisiaj architektura jest bardziej szczera. Właściciel działki nie wmówi obywatelom, że mają swój udział w metrach kwadratowych. Deweloper nie zwoła narady w sprawie dekoracji rzeźbiarskiej.

Posągi górników poznikały z fasad, ale deweloperka to wciąż przemysł wydobywczy. Grunty miejskie są jak ropa naftowa. Trzeba tylko budować wieże do wyciągania pieniędzy z ziemi.

Zbawca narodu – nawet nie Nazarbajew – chce zostawić taką wieżę kolegom. Niech mają. Niech im ciurka. Niech im kapie. Żeby nigdy nie zabrakło na konfetti, nagłośnienie i spoty. Sprytny architekt pokaże obrazki, na których bliźniaczy budynek dekomunizuje chmury. Ktoś usłużnie wskaże symboliczne przesłanie. „Swoisty pomnik" – podsunie.

Akurat! To tylko biznes. Wszędzie obok wyrastają podobne budynki. Bez żadnego trybu i żadnego przesłania. Zapobiegliwy biskup chce uposażyć diecezję w stupiętrowy kranik. Zaradny adwokat kombinuje, czy nie dałoby się postawić malutkiego szybu gdzieś w centrum („Mam dzieci" – wyjaśnia). Spadkobiercy arystokratycznych rodzin też myślą o własnym biurowcu. Ich przodkowie wznosili w tym mieście pałace.

Czy to wszystko jest gorsze od rewolucji? Nie. Nie jest gorsze. Problem w tym, że to właśnie cynizm ściąga rewolucje.

Jedno się nie zmieniło. To, co nazywamy architekturą, pozostaje władzą nad przestrzenią i życiem. Nad wyobraźnią, potrzebami, świadomością mieszkańców. Urbanistyka jest podbojem.

PRZEDMIOTY OSOBISTE Andrzej Skalimowski pisze rzeczowo. Skąpi szczegółów osobistych. Czuje detal. Wspomina, że jego bohater był świetnie zorganizowany. Mało sypiał („co było charakterystyczną przypadłością ludzi mających za sobą wielomiesięczną służbę frontową"). Sporo zarabiał, ale musiał utrzymać dwa domy. Miał dwie córki, z dwóch związków.

W 1948 r. zabrał żonę i córkę na wycieczkę. Pewnie do Młocin, może Konstancina. Jeździł wtedy służbową cytryną. To był ten sam model, którego używało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Produkowany od połowy lat 30. Ze względu na niski środek ciężkości i dobrą przyczepność zyskał we Francji miano „gangsterskiej limuzyny". W Polsce budził lęk.

Ojciec sadza dziecko na masce, robi zdjęcie. Pewnie zabrał małą zdobyczną leicę. Szpanerski gadżet tamtych czasów. Dziewczynka śmieje się spod czapki. Ma przed sobą jakieś 60 lat. Umrze w samotności. W jej opuszczonym mieszkaniu biograf znajdzie pocięte fotografie. Ordery z metalu i porcelany. Krzyże budowniczych. Medale walecznych. Kilka maszynopisów. Cynowe blaszki z pogrzebu rodziców.

Historie o władzy nie miewają dobrych zakończeń.

© MARCIN WICHA

Andrzej Skalimowski **SIGALIN. TOWARZYSZ ODBUDOWY,** *Czarne, Wołowiec 2018*

Śpiący rycerze

ANITA PIOTROWSKA

Tryumfował film idealnie skrojony pod stare Oscary. „Green Book" Petera Farrelly'ego nie tylko pogodził skrajne gusta, ale i poprawił samopoczucie tych, którzy zdążyli już poczuć na plecach zimny powiew zmiany.

Brak gospodarza, skrócona ceremonia i spodziewany deszcz nagród dla „Romy", czyli filmu wyprodukowanego przez Netfliksa – ta edycja miała udowodnić, że Oscary w dotychczasowej formule tracą na znaczeniu i stały się po prostu anachroniczne. Sugerowano, że święto amerykańskiego kina uosabia „stare Hollywood", którego model biznesowy nie nadąża za zmianami wprowadzanymi przez wielkie platformy streamingowe. I że tegoroczna gala bezlitośnie to obnaży.

Przeminęło z wiatrem

Nominowane tytuły stają się coraz mniej reprezentatywne dla tego, czym żyje dziś masowa publiczność. Czasy, kiedy największym przebojem kasowym był „Ojciec chrzestny", nieśmiertelne arcydzieło i zwycięzca Oscarów z 1973 r., rzeczywiście przeminęły z wiatrem. Dlatego widzowie komiksowych superprodukcji spod znaku studia Marvel słabo identyfikują się z oscarową galą. To dla nich próbowano w tym roku wprowadzić nową kategorię – dla najlepszego filmu rozrywkowego. Stanęło na tym, że o główną statuetkę mogła powalczyć superbohaterska i mocno zanurzona w afrykańskim folklorze „Czarna Pantera" Ryana Cooglera, ostatecznie nagrodzona za muzykę, scenografię i kostiumy.

Ale nie tylko oglądacze kinowych igrzysk tracą zainteresowanie filmami fetowanymi w Dolby Theatre. Nowi konsumenci ery cyfrowej od multipleksów wolą kino domowe, które dostarcza im najlepszych seriali i dobrej jakości „kina środka". Nie ruszając się z kanapy mogli obejrzeć „Romę" (nagrody za reżyserię, zdjęcia i film nieanglojęzyczny), nominowaną w trzech kategoriach „Balladę o Busterze Scruggsie" Ethana i Joela Coenów czy krótkometrażowe dokumenty: „Koniec gry" Roba Epsteina i Jeffreya Friedmana oraz „Okresową rewolucję" Rayki Zehtabchi, oba wyprodukowane bądź dystrybuowane przez Netflix (ten ostatni film otrzymał statuetkę). Na pozostałe tytuły trzeba było jednak pofatygować się do kina.

Tymczasem giganci internetowi robią wszystko, by nie było potrzeby opuszczania kanapy. Inwestowanie w produkcje bardziej niszowe staje się dla nich wyznacznikiem prestiżu, ma przyciągać do współpracy wybitne nazwiska, a wraz z nimi kolejnych płatnych subskrybentów. Stanowi tym samym coraz większe zagrożenie dla hollywoodzkich studiów, które uzależnione są głównie od dystrybucji kinowej i stawiają przede wszystkim na sprawdzone, wysokobudżetowe, naszpikowane efektami bajki dla dużych dzieci. Jednocześnie kino artystyczne traktowane bywa przez nie jak listek figowy. Coraz częściej zapominają też, że może istnieć jeszcze coś pomiędzy.

Właśnie z tej dwubiegunowości wyłamuje się zwycięzca oscarowej nocy – „Green Book", film o przyjaźni czarnoskórego muzyka i białego szofera, trochę komedia, trochę dramat stający w poprzek oczywistych społecznych podziałów. Podobnie „demokratyczny" wydźwięk ma także „Roma", szukająca w osobistej opowieści o meksykańskiej służącej uniwersalnych kodów kina. Gdyby wygrała głównego Oscara, byłby to bez wątpienia produkcyjno-dystrybucyjny precedens. Netflix miał bowiem udowodnić filmem Alfonso Cuaróna, że może wszystko. Że potrafi stworzyć ponaddwugodzinny, nieanglojęzyczny, niskobudżetowy i czarno-biały film, pozwolić jego twórcy na nieograniczoną kreatywność – po czym rozbić bank z nagrodami. I prawie mu się to udało.

Między innymi z tego powodu „Zimna wojna" musiała wyjechać z Los Angeles bez złotych statuetek. Bajka Ezopa o lisie, który pocieszał się, że winogrona były kwaśne, a tak naprawdę nie zdołał ich dosięgnąć, przebija z komentarzy wielu zawiedzionych rodaków. Mówi się: nie mieliśmy aż takich środków jak inne nagrodzone Oscarami „lisy". To prawda, budżet Netfliksa na promocję „Romy" prawie dwukrotnie przewyższył koszty jej produkcji. Film Pawła Pawlikowskiego miał jednak wyjątkowego pecha (choć polski reżyser poczytuje to mimo wszystko za zaszczyt), stając w szeregu obok filmu spełnionego pod każdym względem, nakręconego w zbliżonej estetyce, a w dodatku reprezentującego „gorący" politycznie Meksyk.

Poprawnie

Politykę czuło się na Oscarach w silniejszej niż zwykle reprezentacji filmów o tematyce afroamerykańskiej, jak „Green Book" (Oscar również za scenariusz oryginalny), „Czarne Bractwo. BlacKkKlansman" Spike'a Lee (nagroda za scenariusz adaptowany), „Gdyby ulica Beale umiała mówić" Barry'ego Jenkinsa (twórcy zwycięskiego „Moonlight" sprzed dwóch lat) czy wspomniana „Czarna Pantera". Patrząc chociażby na ich gatunkową rozpiętość, można uznać, że postulat rasowej różnorodności nareszcie w kinie się spełnia, i to w całkiem dobrym stylu.

Nie można tego powiedzieć o tegorocznej reprezentacji kobiet, całkowicie nieobecnych już na etapie najbardziej prestiżowych nominacji. Przypomnijmy: w prawie stuletniej historii Oscara tylko raz kobieta otrzymała statuetkę za reżyserię (Kathryn Bigelow za „The Hurt Locker. W pułapce wojny" w 2010 r.). Stąd i tegoroczne wątpliwości: czy rzeczywiście „Zatrzyj ślady" Debry Granik, „Nigdy cię tu nie było" Lynne Ramsay, „Jeździec" Chloé Zhao albo „Can You Ever Forgive Me?" Marielle Heller (z dwiema nominowanymi kreacjami aktorskimi) zostały wyreżyserowane gorzej niż np. „Vice" Adama McKaya – zabawny, choć politycznie bardzo tendencyjny portret Dicka Cheneya? Nie chodzi o to, by na siłę dowartościowywać przedstawicielki dyskryminowanej mniejszości – wystarczy przywołane tytuły rzetelnie porównać.

Kontrowersje towarzyszyły też kobiecym nominacjom aktorskim, a zwłaszcza pominięciu Nicole Kidman w „Destroyerze", Toni Collette w „Dziedzictwie. Hereditary" i Claire Foy w „Pierwszym człowieku" – jakby role w filmach *stricte* gatunkowych z góry zasługiwały na mniej-

ROBERT DEUTSCH / USA TODAY NETWORK / SIPA / EAST NEWS

Spike Lee, reżyser filmu „Czarne Bractwo. BlacKkKlansman", odbiera Oscara za najlepszy scenariusz adaptowany.

szą uwagę. Raz jeszcze okazało się, że aktorstwo to bardzo kapryśna kategoria w Hollywood. Charyzmatyczna Glenn Close po raz siódmy musiała zadowolić się jedynie nominacją, choć w „Żonie" Björna Rungego stworzyła bardzo subtelny, a zarazem pogłębiony portret małżonki noblisty. Pokonała ją przepyszna Olivia Colman w „Faworycie" Yorgosa Lanthimosa, tworząc postać królowej, która jest jednocześnie potworem i ofiarą. I dając pokaz brytyjskiego aktorstwa najwyższej próby.

Wśród panów jak zwykle dominowały kreacje imitacyjno-popisowe, nic więc dziwnego, że Oscara zgarnął Rami Malek wcielający się z dużym poświęceniem (ta protetyka!) w postać Freddiego Mercury'ego z ugrzecznionej „Bohemian Rhapsody" Bryana Singera. W obu kategoriach drugoplanowych poziom był za to tak wysoki i wyrównany, że uhonorowanie dwójki Afroamerykanów, Reginy King („Gdyby ulica Beale umiała mówić") i Mahershali Alego („Green Book") mogłoby zakrawać na ukłon w stronę politycznej poprawności. Lecz były to akurat role wyjątkowo intensywne i zapadające w pamięć.

Fabryka się broni

Poza tym wszystko odbyło się tak jak zawsze. „Jesteśmy częścią tego samego oceanu" – mówił ze sceny Cuarón, oczywiście mając na myśli budowę muru odgradzającego USA od Meksyku. Twórcy „Czarnej Pantery" odwoływali się do mitycznej panafrykańskiej wspólnoty zwanej Wakandą, podczas gdy twórczynie „Okresowej rewolucji" upominały się o edukację – i o dostępne dla wszystkich kobiet podpaski. Przebił te apele weteran Spike Lee, który odbierając pierwszego w życiu Oscara zachęcał, by podczas najbliższych wyborów prezydenckich „stanąć po właściwej stronie historii". Polityczno-obywatelskie wzmożenie stało się tradycją tej ceremonii, która próbuje być luksusowa i misyjna, spontaniczna ↦

↦ i dopięta, popularna i artystyczna jednocześnie.

Co ciekawe, filmy z największą liczbą nominacji („Roma" i „Faworyta" miały ich aż po dziesięć) były zarazem propozycjami najbardziej wyrafinowanymi, przynajmniej w głównej stawce. W finale musiały jednak ustąpić miejsca pokrzepiającej komedii Farrelly'ego, film Lanthimosa zaś pozostał jednym z najbardziej niedocenionych tytułów tego wieczoru. Podobną zachowawczość zaobserwować można było w przypadku pełnometrażowego dokumentu, gdzie ciągle bardziej liczy się spektakularna wyczynowość (tegoroczny Oscar dla „Free Solo" Jimmy'ego China i Elizabeth Chai Vasarhelyi wyprodukowanego przez National Geographic) niż mistrzostwo dokumentalnej obserwacji (patrz: „O ojcach i synach" Talala Derkiego czy „Jutro albo pojutrze" Binga Liu). Takie właśnie decyzje każą czasem zwątpić w merytoryczny charakter amerykańskich nagród.

A może powinniśmy się cieszyć, że wszystko jest na razie po staremu? Zwłaszcza że niektórzy prorokują, iż mogła to być ostatnia taka gala. Hollywood jako rzekomo podupadająca „fabryka snów" nie przegrała w tym roku oscarowego starcia z tytanami internetowego streamingu, lecz musi uwzględnić na rynku nowych graczy, takich jak Netflix czy Amazon. I zacząć przeciwko nim się zbroić, nagradzając Oscarami „swoich". Czy oznacza to nowe myślenie na temat programowania naszej wyobraźni, zarządzania naszym wolnym czasem i bardziej płynnej dystrybucji?

Studio Disneya już szykuje się na wielką wojnę z platformami streamingowymi, przygotowując swój własny serwis. Widzom zaś pozostaje mieć nadzieję, że w tej walce o nasze portfele tudzież ślady pozostawione w sieci prawdziwe i różnorodne kino nie straci na ważności, niezależnie od tego, kto je stworzy i gdzie będziemy je oglądać. Cokolwiek by powiedzieć o pozłacanych rycerzach z mieczami, ciągle stoją oni na straży zbiorowych fantazji i snów – nawet jeśli sami czasem przesypiają to, co naprawdę ważnego dzieje się dzisiaj w kinie.

© ANITA PIOTROWSKA

Karolina Bruchnicka jako Wiktoria i Jacek Braciak w roli jej ojca, w filmie „Córka trenera".

Niebieski plasterek

ANITA PIOTROWSKA

„Córka trenera" to film zrodzony z trudnej, a może nawet trochę zawiedzionej miłości do sportu.

Na odrapanym murze kortu widnieje napis „Wimbledon jest po drugiej stronie" – i już wiadomo, że nie będzie to film z kategorii wielkoszlemowych. Kino coraz chętniej, być może w odpowiedzi na medialne pompowanie wydarzeń sportowych, wybiera perspektywę kameralną, prowincjonalną, zakulisowo-szatniarską. Opowiada o prawdziwych, tych bardziej ludzkich aspektach sukcesu. Łukasz Grzegorzek w swoim najnowszym filmie stawia na to, co międzyludzkie, czyli na relację łączącą nastoletnią tenisistkę i trenującego ją ojca. Film nosi więc tytuł „Córka trenera", lecz w miarę rozwoju akcji coraz bardziej ta relacja ulega odwróceniu. Bo choć „Trener córki" brzmiałoby z pewnością dużo gorzej, to trafniej oddawałoby znaczenie tytułu i hierarchię filmowych postaci. A przy okazji podkreśliłoby pierwszorzędną rolę Jacka Braciaka.

Filmowi Grzegorzka towarzyszą zresztą dwa różne oldskulowe plakaty, stworzone przez Agatę „Endo" Nowicką: córka w cieniu ojca i ojciec w cieniu córki. Ten drugi „film" jest zdecydowanie ciekawszy. Co sprawia, że dorosły mężczyzna poświęca życie osobiste i zawodowe w imię sportowej kariery swego dziecka? Historia Maćka i Wiktorii (w tej roli debiutantka Karolina Bruchnicka), przemierzających Polskę wzdłuż i wszerz szlakiem tenisowych zawodów, oparta została na dialektyce zależności. Współscenarzysta i reżyser sięga po osobiste doświadczenia z czasów, kiedy on sam trenowany był na korcie przez własnego ojca – stąd na ekranie ów dziwaczny splot miłości i tresury. Psychoterapeuta dopatrzyłby się w nim głęboko skrywanych mechanizmów obronnych: ucieczki, przeniesienia, kompensacji... A Braciak dyskretnie podsuwa mu kolejne sygnały. Jego ruchy, gesty, gry-

AKSON STUDIO / MATERIAŁY PRASOWE

masy mają w sobie nerwowość, które mówią o tej postaci więcej niż tworzona wokół szorstka dyscyplina. Ujawniają w tej postaci rozmaite wewnętrzne tarcia. Bo przecież ktoś, kto raczej nie przypadkiem nadał córce imię Wiktoria i zamiast wakacji funduje jej morderczy trening, nie może okazywać żadnej słabości czy bólu. Pęknięta łękotka? Wystarczy blokada kortyzolu – i do przodu.

„Córka trenera" to film zrodzony z trudnej, a może nawet trochę zawiedzionej miłości do sportu. W zwolnionych ujęciach, podkręcanych „Kaprysem nr 24" Paganiniego, reżyser niby to celebruje ulotne piękno wyczynowego tenisa, ale nie ukrywa, że pod spodem są pot i łzy. Oraz wszelkie niewypowiedziane podczas treningu uczucia, zepchnięte na dalszy plan przez wyniki kolejnych meczy tudzież obliczanie dziennej zawartości białka w diecie. Z drugiej strony reżyser z nieskrywaną czułością odtwarza didaskalia towarzyszące sportowym wędrówkom bohaterów. Jak przystało na kino drogi, istotniejszy od dziania się staje się klimat czasu i miejsca: te wszystkie paździerzowe hoteliki, małe stacje, kiepskie bary, zapach igliwia na kempingu i muśniętej słońcem skóry. Aż by się chciało jeszcze więcej tej Polski B, C i D w drodze do wymarzonego Wimbledonu. Pojawiają się na niej zarówno inni członkowie tenisowej sekty, jak i barwne postacie, które na chwilę wyrywają bohaterów ze sportowego kieratu. Jest wśród nich wyluzowany właściciel samochodu kempingowego grany przez Piotra Żurawskiego (czyżby aluzja do poprzedniego filmu Grzegorzka pod tytułem „Kamper", gdzie ten właśnie aktor zagrał wespół z Braciakiem?). Jest też zmysłowa wczasowiczka odtwarzana przez Agatę Buzek, która odkrywa przed głównym bohaterem, iż jedzenie może być czymś więcej niźli tylko „optymalizacją procesu trawiennego". Albo że po prostu życie ma smak, w przeciwieństwie do sportowych odżywek.

Z takich drobiazgów stworzona została bezpretensjonalna aura filmu, jego nieśpieszność i ostentacyjna niewidowiskowość. Pewnie dlatego tak łatwo go przeoczyć. Stało się to nawet udziałem selekcjonerów ostatniego festiwalu w Gdyni, którzy nie zakwalifikowali filmu do konkursu głównego. Z pewnością brakuje „Córce trenera" mocnych tonów emocjonalnych, dramaturgicznych akcentów i silniejszego umocowania bohaterów na osi czasu. Dostajemy za to intrygujący portret podwójny uchwycony tu i teraz: zaprogramowanej na sukces nastolatki, która poszukuje własnej przestrzeni, i starzejącego się, pełnego kompleksów mężczyzny, któremu poświęcenie już dawno pomyliło się z poczuciem władzy. I który nagle zaczyna tracić absolutną kontrolę nad światem. W porównaniu z „Kamperem" ten film nie pretenduje do rangi pokoleniowej diagnozy. Właściwie nie pretenduje do niczego większego niż jest. Nawet eklektyczna ścieżka dźwiękowa czy skąpane w naturalnym świetle, a zarazem przydające dodatkowych znaczeń zdjęcia Weroniki Bilskiej trzymają się ściśle tej słodko-gorzkiej historii. Zamiast wielkich emocji sportowych, mamy dwójkę niepozornych bohaterów skazanych na siebie nawzajem i jednocześnie bardzo sobie bliskich w walce o upragnione mistrzostwo.

Są w filmie sceny, kiedy Maciek obkleja córkę specjalnymi taśmami kinezjologicznymi, które mają łagodzić ból i obrzęki. Tak właśnie pracuje ten skromny film: na jednych zadziała terapeutycznie, innym przyniesie efekt placebo, a dla jeszcze innych okaże się po prostu uroczym niebieskim plasterkiem. ©

CÓRKA TRENERA – *reż. Łukasz Grzegorzek. Prod. Polska 2018. Dystryb. Akson. W kinach od 1 marca.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [2 – 8 III]

1. Shtisel

Serial, reż. Ori Elon, Yehonatan Indursky, Izrael 2013–2016, sezon 1 i 2, Netflix

Jak funkcjonuje dzisiaj ortodoksyjna rodzina żydowska z jerozolimskiej dzielnicy Geula? Bez sensacji i egzotyzowania tematu twórcy serialu opowiadają o codziennym życiu konserwatywnej społeczności, która musi stawić czoło zarówno nacierającej modernizacji, jak i zwykłym domowym problemom.

2. Czyściciele internetu

Dokumentalny, reż. Moritz Riesewieck, Hans Block, Brazylia, Holandia i inne 2018, nc+ GO, od 2 III

Dzień i noc przeglądają treści publikowane przez nas w mediach społecznościowych i usuwają te niezgodne z regulaminem. Kryteria selekcji bywają dyskusyjne. W filmie poznajemy z bliska filipińskich moderatorów, którzy obcują z tym, co w sieci najbardziej plugawe.

3. Free Solo: ekstremalna wspinaczka

Dokumentalny, reż. Elizabeth Chai Vasarhelyi, Jimmy Chin, USA 2018, National Geographic, 3 III, 21.00, 4 III, 19.00

Jeden z tegorocznych oscarowych faworytów to portret amerykańskiego wspinacza Aleksa Honnolda. Samotnie i bez zabezpieczeń postanowił zdobyć liczącą 2300 m ścianę skalną w kalifornijskim Parku Narodowym Yosemite. Film jest zapisem przygotowań, osobistych refleksji i samej wspinaczki.

4. Beksińscy. Album wideofoniczny

Dokumentalny, reż. Marcin Borchardt, Polska 2017, TVP2, 5 III, 23.05

Z inspiracji książką Magdaleny Grzebałkowskiej i niezależnie od filmu fabularnego „Ostatnia rodzina" powstał portret Beksińskich złożony wyłącznie z archiwaliów. Lwią część stanowią materiały nakręcone przez samego Zdzisława, a efektem jest studium niezwykłych osobowości i skomplikowanych rodzinnych relacji.

JAN

Klata:
Jedyne wyjście

TEGOROCZNA TZW. CEREMONIA OSCAROWA obyła się bez prowadzącego. I bardzo dobrze, może będzie krótsza – pomyślałem jeszcze przed nocą z niedzieli na poniedziałek, troszkę jak myśli pies ogrodnika, wszak i tak nie miałem zamiaru oglądać, jak co roku zresztą, żenującego pokazu samozadowolenia i hipokryzji, nieudolnie zresztą odgrywanej przez bandę pustaczek i pustaków z kalifornijskim adresem.

Jeden Marlon Brando potrafił sobie z tym poradzić, *per procura*, swego czasu. Reszta jest, a raczej powinna być milczeniem, choć ostatecznie powtarza się jako wielce przewidywalna żenada. Może więc bez prowadzącego ludzkość szybciej o tym widowichu zapomni, Oscary przelecą przez źrenice z szybkością czarnej pantery, nie przerywając snu. Gwiazdy sobie podogadzają, czerwone dywany będą wdzięcznie przespacerowane, koperty zostaną rozdarte, momenty szoku i nieuniknionego niedowierzania spontanicznie odtworzone, szlachetne apele do ludzkości wygłoszone *ex cathedra*, i wszyscy do domciu, a widzowie lulu. Bez prowadzącego, bo i niby co tu i dokąd poprowadzić, kiedy się samo toto udaje na manowce, na bezsensu przełęcze.

Ale, ale, niech żywi nie tracą nadziei, może już 2020 będzie rokiem przełomu w dziejach oscarowego jubla. Przecież teraz mamy hologramy! Jak już swego czasu pisałem, po Tupacu wskrzeszony został niejaki Dio, jego holotrasa koncertowa była ani chybi sukcesem, gdyż teraz występujące „na żywo" hologramy mnożą się na potęgę: Roy Orbison, Amy Winehouse, Abba, Maria Callas, Papa Dance, Papa Smerf, Sławomir... nie, Sławomir nie, on nie musi być hologramem, on potrafi „koncertować" na żywca w dwóch miejscach naraz, na razie tylko w Sylwestra. Sławomir jednak nie, ale reszta tak, naprawdę, wybiera się na hologramowe tournée już w tym roku, rozpoczętym przez Sławomira w Dwójce TVP pana Jacka. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nawet Frank Zappa doczeka się hologramowego wcielenia oraz – co za tym idzie – trasy koncertowej. Rodzina ponoć jest podekscytowana (rodzina Franka, nie moja).

W związku z powyższym pozwalam sobie wyświetlić śmiałą propozycję, dzielę się pomysłem, występuję z inicjatywą mogącą uratować twarz Oscarów, nadać choć cień sensu wręczaniu statuetek wzajemnej adoracji: niech następną ceremonię poprowadzi hologram Marlona Brando! ©

Lektor:
Kręgi zła

▪ *Przemysław Semczuk*
M JAK MORDERCA.
KAROL KOT – WAMPIR Z KRAKOWA
Świat Książki,
Warszawa 2019,
ss. 288.

OD REPORTAŻY KRYMINALNYCH wolę Iana Rankina, P.D. James czy Petera Robinsona, ale w tym przypadku chodzi o kawałek moich własnych wspomnień. Leszek Całek, chłopiec z sankami zaszytletowany przez Karola Kota 13 lutego 1966 r. pod kopcem Kościuszki, był moim rówieśnikiem. Dziewczynka zaatakowana dwa miesiące później w bramie przy Sobieskiego, dwie ulice obok naszego mieszkania, trafiła na ostry dyżur w nowohuckim szpitalu – oddziałem chirurgii kierował tam mój ojciec. Nie wiedziałem, że to właśnie nowohuccy chirurdzy ratują kolejną ofiarę, wszyscy zobowiązani zostali do zachowania tajemnicy. Pamiętam natomiast dławiącą atmosferę zagrożenia, zakaz wychodzenia z domu i coraz bardziej makabryczne plotki. Tamten szary, ogarnięty lękiem Kraków wraca w książce Przemysława Semczuka. Dziennikarz, urodzony dekadę później, sumiennie zebrał fakty, przewertował dokumenty, dotarł do świadków. Spróbował nakreślić możliwie dokładny portret Karola Kota, przeciętnego ucznia technikum, który sukcesy odnosił głównie na strzelnicy, kolekcjonował noże i nie był lubiany w szkolnej społeczności z powodu dziwnych odzywek i ataków agresji. Co zaś najważniejsze – nie uważał morderczych fantazji, a potem realizacji (ataki na starsze kobiety, z których jedna zmarła, eksperymenty z truciznami) za nic złego. Mamy więc przekroczenie wewnętrznej granicy – i pytanie o powody, dla których się ono dokonało. Na sali sądowej rozegrał się wtedy spór między dwoma zespołami psychiatrów. Czy wyrok śmierci był (wedle ówczesnego kodeksu oczywiście) uprawniony, czy też nosił cechy „eutanazji sądowej" na życzenie społeczne? Czy stracono człowieka chorego? Semczuk obala pogłoskę o guzie mózgu, który miano wykryć u Kota podczas sekcji zwłok, ale pytania pozostają. Podobnie jak wciąż aktualne niebezpieczeństwo podsycania przez media społecznej histerii. W listach, słanych wtedy obficie do władz, domagano się nie tylko publicznej egzekucji Kota, ale i ukarania psychiatrów, którzy „przewlekają postępowanie". Wśród tekstów prasowych wyróżniają się rozwagą głosy z „Tygodnika Powszechnego" – ks. Adama Bonieckiego i Marka Skwarnickiego, a także oświadczenie redakcji „Przekroju", napisane zapewne przez Wandę Falkowską. Ponura jest to historia, autor mógłby nie przytaczać niektórych fragmentów zeznań Kota – ale nie można o niej po prostu zapomnieć. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Perły i wieprze

Czterdzieści. Tyle miliardów ma ponoć kosztować najnowsza piątka – tak się zwie w obecnej nowomowie podstawową jednostkę politycznej wymiany idei między władzą a elektoratem. Ciekawe, że idzie to wbrew ugruntowanej w naszych umysłach skłonności do układania ważnych treści w trójkach (z przyczyn dla każdego teologa oczywistych). Domyślam się, że jakiś konsultant do spraw „komunikacji" wykombinował w swoim kuglarskim łebku, iż pięć krótkich haseł to tyle, ile się akurat zmieści na Twittera, a poza tym dobrze się rymuje z liczbą pięćset.

Dlaczego pięć, a nie trzy, to drobiazg, ta lista budzi inne ważne pytania. Na przykład: dlaczego teraz? Andrzej Stankiewicz na początku tego numeru patrzy na tę kwestię swoim analitycznym wzrokiem. Tym razem jednak nie dostrzega pewnej ważnej, choć pozapolitycznej okoliczności: przecież kiełbasy – nawet jeśli jest tylko wyborcza – nie jada się w poście! Mamy końcówkę długiego karnawału, do tego schyłek niemrawej zimy, to więc ostatni moment, żeby jeszcze zaszaleć, zarżnąć ostatniego świniaka, o ile się w chlewiku uchował.

Ten tydzień zaiste mamy bardzo świński. Cóż to bowiem za „tłustość" będzie wam ściekać po buzi w tłusty czwartek? Ja wiem, dużo się w cukiernictwie i technologiach zmieniło i utwardzone tłuszcze roślinne coraz lepiej spełniają swoją rolę, ale dobry pączek albo chrust wymagają usmażenia w smalcu. Zza słodkiego i lepkiego od lukru rytuału wesoło wystaje różowy ryjek i małe, bystre oczka, tudzież ogonek, równie zakręcony jak ten, w którym stoicie przed cukiernią. Przed świnią nie ma ucieczki, z całą jej symboliczną ambiwalencją. W co Pan Jezus wpędził demony tkwiące w ciele dwóch opętanych? Ano w stado świń, które akurat się pasły obok. Demony same o to poprosiły, to było dla nich oczywiste, jakby poczciwa trzoda tylko na to czekała, aby stać się naczyniem zła. W naszej zeświecczonej kulturze czuć nadal bliznę po biblijnym dziedzictwie. Nawet wśród ludzi o wygaszonej do popiołu duchowości niechęć do wieprzowiny jest jakoś bardziej żywa, niż mogłyby to sugerować względy medyczne (zresztą zmistyfikowane). Krąg moich potencjalnych gości za stołem nie dzieli się tylko na dwa obozy mięsożerców i wegetarian. Ci pierwsi mają w sobie wcale spory podzbiór niewieprzowych – dlatego umawiając po raz pierwszy z kimś kolację, ustalam tylko dwie sprawy: czy ktoś ma jakieś serio alergie, a jeśli akceptuje mięso, to czy również świninkę.

Wlecze więc świnia cały swój bagaż brudu, nieczystości, wstydliwości jakiejś. Ilekroć podgrzewam na oliwie czosnek, to duma rozpiera, że nawet w najdalszych kątach mieszkania będzie niosła się wieść o obiedzie. Kiedy topię słoninę i tłuszcz z boczku, żeby podgrzać na nim cebulę do sosu bolońskiego (nie ma uczciwego *bolognese* bez odrobiny sadła, spójrzcie na wielkiego syna Bolonii Romano Prodiego: czy on wam wygląda na kogoś, kto liczy cholesterol?), to zaraz mam odruch, żeby przepraszać sąsiadów, że im smrodzę, choć to równie piękny i obiecujący pyszności zapach. Kiedy tydzień temu w tekście o Jakubie Błaszczykowskim pojawił się wątek zapachu murzynka, który piekła jego mama i który do dziś budzi w nim wewnętrzne dziecko, to nie mogłem w sobie znaleźć analogicznego ciasta-klucza, ale, owszem, słoninka na patelni to jest coś, co mnie otula wspomnieniami. Żałuję bardzo, że urodziłem się w zbyt późnej epoce, by przeżyć w dzieciństwie takie świniobicia, o jakich pisuje Hrabal w co bardziej ekstatycznych fragmentach swojej prozy.

Jest taki obraz Pietera Bruegla „Myśliwi na śniegu" – niesprawiedliwie traktowany jak błaha dekoracja jadalni, choć jest arcymądrą metaforą daremności ludzkich starań na tym świecie. Oto widzimy, jak kroczą ciężko myśliwi, jeden tylko niesie jakiegoś nędznego lisa, ich piękne psy wydają się czuć ciężar bezużyteczności. Cokolwiek byśmy zdziałali w trakcie intensywnego życia, wraca się zawsze do punktu wyjścia z zaiste lichym urobkiem. Może trzeba było spędzić lata na zabawie, jak ci wieśniacy

KUNSTHISTORISCHES MUSEUM WIEN

widoczni w tle, zajęci figlami na ślizgawce... Jedno jest tylko na tym chłodnym obrazie źródło ciepła: ognisko przed karczmą, na którym zaraz będą opalać zarżniętego wieprzka. Zapach osmalonej szczeciny nie bywa zaliczany do przyjemnych, ale krzątanina jako jedyna daje wytchnienie tym łowcom bez celu i nadziei. Bo niezależnie od tego, jak bardzo brak nam sensu i spełnienia w życiu, to nie powód, żeby odmówić sobie kolacji. ©℗

Na czas ostatkowy opowiem wam o wyrafinowanym risotto, powściągliwym w smaku, ale bardzo hedonistycznym, bylebyśmy użyli dobrych składników. W garnuszku na 6 łyżkach oliwy podgrzewamy parę minut garść czerwonego pieprzu. Odławiamy ziarenka, oliwę dajemy na szeroką patelnię, podgrzewamy na niej wolniutko drobno posiekaną szalotkę (lub małą cebulę). Kiedy się zeszkli, wsypujemy 320 g odpowiedniego ryżu (kupcie najlepszy, na jaki was stać), zwiększamy nieco ogień, prażymy ryż kilka minut, podlewamy szklanką mocno wytrawnego białego wina, po odparowaniu dolewamy wrzący bulion warzywny, dodajemy ze dwie gałązki tymianku i dalej procedujemy jak zwykle przy risotto, sukcesywnie uzupełniając płyn. Kiedy już ryż będzie prawie gotowy, w ostatniej dosłownie minucie, dodajemy 200 g serka mascarpone, mieszamy dość intensywnie, żeby wszystko było kremowe. Wyłączamy ogień, dodajemy 40-50 g tartego parmezanu (ale nie więcej, bo przykryje wszystko) i obficie posypujemy ziarenkami czerwonego pieprzu lekko rozgniecionymi w moździerzu lub w palcach (ale uważajcie potem, żeby nie dotykać oczu).

ZŁOTE GODY SŁONIA

Kiedy lądował pierwszy raz, nieprzyzwyczajonym do jego proporcji obserwatorom wydawało się, że zawisł w powietrzu – i zaraz runie na ziemię. Jumbo jet, ikona lotnictwa, lata już pół wieku.

MARCIN ŻYŁA

DOBRZE USIĄŚĆ Z TYŁU. I z lewej strony – zwłaszcza gdy to dzienny lot do Afryki (światło zachodzącego słońca najpiękniej wyciągnie pastele Sahary) bądź nocny ze Stanów (w czystym północnym powietrzu oświetlony Reykjavík zostawi w oczach bajeczne powidoki). Z tyłu skrzydło nie zasłoni wszystkiego. Przy dużym wietrze, obciążone dwoma silnikami po trzy tony każdy, będzie falować niczym most pontonowy – tyle że w chmurach.

A jeśli przed startem samolot obróci się na początku pasa o 180 stopni, właśnie z tyłu, gdy lekko zakołysze nami w bok i przód, poczujemy jego wielkość. Zaraz zwolnią się hamulce i plastikowe panele w kabinie zaskrzypią charakterystycznie. W zbiornikach pod skrzydłami paliwo z trzech cystern. Wewnątrz więcej ludzi niż w pendolino. Ale zamiast myśli o masie, maszynie i pędzie, nagle – przebłysk z przeszłości. Stara tapicerka siedzeń... Taka kiedyś była na tapczanie babci.

GETTY IMAGES

Boeing 747-200M należący do linii Air France podchodzi do lądowania nad plażą Maho, wyspa Sint Maarten.

Boeing 747, jumbo jet: jedność techniki, człowieka i wspomnień.

NIEWIELE BRAKOWAŁO, A KWESTIA TAPICERKI WYWOŁAŁABY SKANDAL NA PÓŁ ŚWIATA. Skargi przyszły z Afryki i, jak to w sporach z dawną metropolią, posypały się też oskarżenia o kolonializm.

Wiosną 2017 r., przed rejsem z Londynu do Akry, w obiciach fotela jumbo jeta linii British Airways odkryto kilka pluskiew. Samolot zastąpiono innym, ale w Ghanie incydent wywołał furię. Na nic zdały się wyjaśnienia. „Rażąca ignorancja brytyjskiego przewoźnika wobec naszego kraju została wreszcie udokumentowana", komentowali publicyści. Z satysfakcją zauważano, że o pluskwach na pokładzie napisał nawet „New York Times". Skargi na jakość usług towarzystwa lotniczego płynnie przeszły w lament o upokorzeniu. Komentowano: „Najwyższy czas, aby Ghańczycy stali się asertywni, aby odzyskali kontrolę nad swoim przeznaczeniem i swoim krajem". Ostatecznie rozmowy z liniami lotniczymi podjął sam prezydent.

A przecież o tym, że wnętrze jumbo jeta żyje własnym życiem, wiadomo było od dawna. Na początku lat 90., prowadząc jego starsze modele, piloci zabierali w rejs ściereczki. Pod koniec długiego lotu na aluminiowych ramach okien kokpitu skraplała się para wodna – skutek wielu godzin oddychania pół tysiąca ludzi na pokładzie.

POCZĄTKOWI PRAC NAD JUMBO JETEM sprzyjały czasy, lecz przeszkadzały marzenia.

Złota era lotnictwa rozpoczęła się w latach 50. XX w., gdy do służby wprowadzono pierwsze pasażerskie odrzutowce. Były szybsze i pojemniejsze od samolotów turbośmigłowych. Potrzeby rynku były jednak o wiele większe – dekadę później w Stanach Zjednoczonych pasażerów przybywało w tempie 20 proc. rocznie. Lotniska okazywały się za ciasne, jeszcze zanim kończono je budować. Najbardziej popularny odrzutowiec w kraju, czterosilnikowy boeing 707, zabierał na pokład niecałe dwieście osób.

Mówi się, że na pomysł zaprojektowania jumbo jeta wpadli, podczas wycieczki na ryby, zbliżający się do emerytury szef linii Pan Am Juan Trippe oraz dyrektor Boeinga Bill Allen. Pierwszy poprosił o samolot dwukrotnie większy od współcześnie używanych – taki, który obniży koszty i sprawi, że na podróże lotnicze będzie stać prawie każdego Amerykanina. „Jeśli go kupisz, zbuduję go" – miał odpowiedzieć Trippe'owi Allen.

Jednak ludzie pragnęli czegoś innego. Trwał wyścig technologiczny, startowały pierwsze misje Apollo, Stanley Kubrick przystępował do pracy nad „2001: Odyseją kosmiczną". Modernistyczne lotniska, choć ciasne, swoją architekturą – nowoczesnymi bryłami, zawieszonymi w hallach terminali ruchomymi chodnikami – wyrażały inne marzenia: o pędzie do nowoczesności. I to z prędkością ponaddźwiękową.

Wprawdzie Boeing otrzymał zamówienia na nieistniejący jeszcze model samolotu-giganta, oznaczony liczbą 747, jednak w firmie większe nadzieje pokładano w projekcie budowy odrzutowca zdolnego latać z trzykrotną prędkością dźwięku. Inżynierowie pracujący nad „amerykańskim concordem" byli w firmie elitą, zadzierali nosa przed innymi. Wydawało się, że jumbo jet ma sens – ale tylko jako samolot towarowy.

I DZIĘKI TEMU POWSTAŁ JEGO SŁYNNY GARB. W wersji cargo zdecydowano, że przesyłki będą ładowane z przodu kadłuba, po uchyleniu do góry całego dzioba samolotu. Co jednak zrobić z kabiną pilotów? Przeniesiono ją wyżej, ponad właściwy kadłub, dodano miejsce dla klasy biznes – oraz fotogeniczne spiralne schody, które prowadziły na główny pokład.

Wstępnych projektów było kilkadziesiąt. Linie Pan Am, główny zamawiający, chciały podwójnego pokładu na całej długości kadłuba. Sprzeciwił się temu Joe Sutter, szef programu 747, który przyzwyczaił się do nieoficjalnej nazwy samolotu, pochodzącej od bohatera znanej kreskówki Disneya. „Żaden to słoń, co najwyżej indyk", miał powiedzieć, zanim wyrzucił projekty Pan Am do kosza. Zwyciężył argument, że w sytuacji zagrożenia górny pokład byłby trudny do ewakuacji – pasażerowie musieliby wyskakiwać z wysokości 8 metrów.

Wtedy postanowiono, że zamiast dwóch pokładów, można prościej – wystarczy zamontować podwójne rzędy foteli. Tak powstał pierwszy szerokokadłubowy samolot pasażerski. Aby go zmontować, na północ od Seattle w miejscowości Everett ↦

FRANÇOIS PAGES / PARIS MATCH / GETTY IMAGES

Kabina klasy turystycznej boeinga 747 prezentowana podczas 28. Air Show na paryskim lotnisku Le Bourget w 1969 r.

postawiono największy pod względem kubatury budynek na świecie (rekord ten dzierży do dziś). Tempo budowy samolotu było tak duże, że pierwsze ekipy monterów wprowadziły się do nowej hali, gdy jeszcze trwała budowa dachu, a firma Pratt & Whitney, która projektowała silniki, musiała je zamontować do testów na pożyczonym od wojska bombowcu B-52. Aby nauczyć pilotów kołowania samolotem o rozpiętości skrzydeł równej 60 metrów, ćwiczono na specjalnym wysięgniku zamontowanym na dachu samochodu.

Miliony dolarów wydano na testy w tunelu aerodynamicznym. Cztery i pół miliona części złożono ze sobą korzystając z pomocy 72 tys. rysunków technicznych. A gdy wreszcie powstał, samolot torturowano: zniszczono dwa egzemplarze, żeby sprawdzić, które części są najwrażliwsze, i jak bardzo można wygiąć mu skrzydła (wynik: 7,5 metra w górę i w dół). Łamano statecznik pionowy, podczas startu ocierano tylną część kadłuba o pas, badając wytrzymałość.

Wreszcie, pół wieku temu, 9 lutego 1969 r., pięć miesięcy przed lądowaniem człowieka na Księżycu – jumbo jet pierwszy raz wzbił się w powietrze. Kiedy podchodził do lądowania, nieprzyzwyczajonym do tych proporcji obserwatorom na ziemi wydawało się, że zawisł w powietrzu – i zaraz runie na ziemię.

MALOWANO GO W ZGODZIE Z OBOWIĄZUJĄCĄ MODĄ: w latach 70. długi ciemny pas maskował okna i przydawał smukłości sylwetce maszyny, a charakterystyczne koło na dziobie dodawało jej jakby pocieszności. Niektóre linie zostawiały metaliczną dolną część kadłuba. Potem moda się zmieniła – dominującym kolorem większości samolotów stał się biały, a najważniejsze, nazwę linii lotniczych, malowano dużymi literami. Tak zostało do dziś.

W 1970 R. JUMBO JET ZABRAŁ PASAŻERÓW W PIERWSZY REJS – z Nowego Jorku do Londynu. Po problemach z silnikiem na lotnisku Kennedy'ego linie Pan Am podstawiły samolot zastępczy. Egzemplarz okazał się pechowy – choć dziewiczy lot przebiegał już potem bez kłopotów, pod koniec dekady maszyna uczestniczyła w najtragiczniejszym w dziejach wypadku lotniczym. 27 marca 1977 r. zderzyła się na pasie startowym lotniska Los Rodeos na Teneryfie z jumbo jetem holenderskiego towarzystwa KLM. Zginęły 583 osoby.

Jumbo jet – statystycznie jeden z najbezpieczniejszych samolotów świata – brał udział w wypadkach, za które winę rzadko ponosiła technologia. Każda katastrofa z jego udziałem oznaczała jednak ryzyko wielu ofiar.

Wrzesień 1983 r. Jumbo jet koreańskich linii lotniczych lecący z Nowego Jorku przez Anchorage do Seulu naruszył sowiecką przestrzeń powietrzną u wybrzeży Sachalinu i został zestrzelony. Zginęło 269 osób.

Grudzień 1988 r. Maszynę należącą do linii Pan Am rozerwała bomba znajdująca się w luku bagażowym. Skrzydła i poszycie przedniej części kabiny spadły na szkockie Lockerbie. Zginęło 259 osób znajdujących się na pokładzie i 11 mieszkańców miejscowości.

Były i inne sytuacje. W sierpniu 1990 r. Irak zajął Kuwejt tak szybko, że nieświadomi powagi sytuacji piloci rejsu z Londynu do Kuala Lumpur jak co dzień wylądowali w Kuwejcie, aby uzupełnić paliwo – Irakijczycy wzięli 385 pasażerów i członków załogi na zakładników, a samolot zniszczyli.

Do historii zarządzania kryzysowego (i angielskiej powściągliwości) przeszedł też szczęśliwie zakończony incydent: w czerwcu 1982 r. jumbo jet linii British Airways wleciał nad Indonezją w chmurę pyłu wulkanicznego, w wyniku czego po kolei wyłączyły się wszystkie cztery silniki. Samolot zamienił się w najcięższy szybowiec świata, piloci zastanawiali się nad wodowaniem na oceanie, nie przeszkodziło to jednak poinformować pasażerów: „Panie i panowie, mówi kapitan. Mamy mały problem. Wszystkie cztery silniki przestały działać. Robimy, co w naszej mocy, aby je uruchomić. Mam nadzieję, że nie są państwo zbyt zestresowani". (Ostatecznie silniki udało się ponownie włączyć).

JUMBO JET STAŁ SIĘ IKONĄ LOTNICTWA PASAŻERSKIEGO. Dzięki niemu w latach 70. można było podróżować w dowolne miejsce globu. Każda licząca się linia lotnicza miała go w swojej flocie.

Jeśli nie dla prestiżu, kupowano go z konieczności. Kiedy w czasach apartheidu wiele państw afrykańskich zamknęło przestrzeń powietrzną przed samolotami z RPA, linie South African tylko dzięki jumbo jetowi mogły latać do Europy. Rejsy, z konieczności, prowadziły daleko nad Atlantykiem.

Fotografowano go na najbardziej spektakularnych ścieżkach podejścia do lądowania na świecie – a to na lotnisko Kai Tak w Hongkongu, gdzie, z powodu górzystej rzeźby terenu, tuż przed przyziemieniem wykonywał ostry zwrot w prawo, prostując lot na wysokości 40 metrów nad ziemią – a to w St. Maarten na Antylach Holenderskich, gdzie przelatywał nisko nad głowami obserwatorów, bo pas startowy zaczyna się tam tuż za wąską plażą.

Jako Air Force One transportował amerykańskich prezydentów, przewoził „na plecach" promy kosmiczne, a na jednym z egzemplarzy zamontowano teleskop. Dziś jest najszybszym samolotem pasażerskim świata (tylko 12 km na godzinę dzieliło go podczas lotów testowych od prędkości dźwięku). Najnowsza wersja jumbo jeta jako jedyna może oddalić się od najbliższego lotniska na całe pięć i pół godziny lotu (ograniczenia wprowadzono na wypadek konieczności przymusowego lądowania po drodze). I jeszcze jeden rekord, którego nie pobił nawet większy od niego airbus 380: w maju 1991 r. izraelski Mosad w ramach operacji „Mojżesz" – ewakuacji etiopskich Żydów – przewiózł wynajętym od linii El Al jumbo jetem 1122 pasażerów podczas jednego lotu.

ŚWIAT ZMIENIAŁ SIĘ W JEGO KABINIE. Kiedy zaczynał służbę, w posiadanych przez siebie maszynach American Airlines urządziły bary i wstawiły do nich pianina, linie Continental zaś zorganizowały przestrzeń do odpoczynku z wygodnymi skórzanymi sofami. Pasażerowie nie latali jeszcze w dżinsach i sportowych bluzach – w pierwszych jumbo jetach na najdłuższych rejsach obowiązywał raczej styl przeniesiony tu z pokładów transatlantyków: garnitury i eleganckie suknie.

Pod koniec lat 70., gdy trwał pierwszy kryzys naftowy, w samolotach zrobiło się coraz ciaśniej i mniej wytwornie – minęła jednak cała dekada, zanim wprowadzono zakaz palenia papierosów. W latach 90. pechowo rozdzieleni podczas rezerwacji pasażerowie szukali się na pokładzie dzwoniąc do siebie z telefonów komórkowych – potem i tego zabroniono. Dziś w niektórych modelach instaluje się nadajniki umożliwiające dostęp do internetu podczas lotu.

Wszystko to działo się jednak z dala od polskich lotnisk. LOT operował samolotami produkcji radzieckiej. Pod koniec lat 80., kiedy kupował pierwsze maszyny z Zachodu, wybór padł na nieco mniejsze boeingi 767, dopiero kilka lat temu zamienione na dreamlinery, samoloty nowej generacji. Poza okazjonalnymi przylotami jumbo jetów z młodzieżą z Izraela, jumbo jet UPS w wersji *cargo* zatrzymuje się w Warszawie w drodze z Kolonii do Hongkongu. Zwykle nocą.

ERA JUMBO JETA POWOLI SIĘ KOŃCZY. Choć w produkcji jest jeszcze najnowocześniejsza, oznaczona numerem 8, wersja (to dziś najdłuższy samolot pasażerski), a o każdej porze dnia i nocy ok. 100 tys. ludzi podróżuje tym modelem, montownia w Everett ma już niemal wyłącznie zamówienia na wersje *cargo*. Pasażerski jumbo jet podzieli zapewne los największego samolotu pasażerskiego, airbusa 380, który za trzy lata przestanie być produkowany. Nadchodzi czas nie mniej spektakularnych maszyn, choć to, co w nich szczególne – konstrukcje z kompozytów, szklane kokpity, nowe systemy klimatyzacji i oświetlenia znacząco zwiększające komfort podróży – nie jest już widoczne z zewnątrz. Co najważniejsze dla linii lotniczych, ze swoimi czterema silnikami jumbo jety są coraz droższe w utrzymaniu – w najdłuższy regularny rejs na świecie, prawie 19-godzinną podróż z Newark do Singapuru, zabiera się pasażerów dwusilnikowym airbusem 350.

NA KONIEC PODPOWIEDŹ. Tylko w jumbo jecie można, jako pasażer, usiąść przed pilotami – tę możliwość daje miejsce 1K na głównym pokładzie. Kokpit będzie się wtedy znajdował nad nami, nieco cofnięty. Z przodu okna wprawdzie nie ma, ale przez to pierwsze, obok fotela, z racji krzywizny szerokiego dzioba świat będzie się poruszał inaczej niż w rzeczywistości. Gdy samolot kołuje – wszystko skręca w bok. Gdy wlatuje w chmury – jakby je rozpruwał.

Po kilku godzinach na miejscu 1K rzeczywistość i marzenia, człowiek i maszyna – znów połączą się może w jedno? Jak to często się dzieje w jumbo jecie. ©℗ MARCIN ŻYŁA

podkast TP powszechny: weź, słuchaj!
powszech.net/podkast

BERND MELLMANN / ALAMY / BEW

Zmierzch skrzydlatych gigantów

Jeden świętował kilka dni temu 50. urodziny. O drugim dowiedzieliśmy się właśnie, że przestanie być produkowany. O dwóch olbrzymach: boeingu 747 „jumbo jet" i airbusie A380 **Marcin Żyła** opowiada **Michałowi Kuźmińskiemu** w najnowszym odcinku Podkastu Powszechnego. Usłyszą Państwo też o tym, jaka przyszłość czeka lotnictwo pasażerskie, i o tym, czy da się jakoś poprawić smak podawanych na pokładzie posiłków.

Słuchaj w RSS | iTunes | Google Podcasts | Spotify

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STANISŁAW

Mancewicz: *Przekopy*

Na wyrost są oczekiwania najszerszych rzesz, że podejmiemy się teraz analizy składu mleka matki Polki na przestrzeni wieków. Musi się tym zająć Ministerstwo Spraw Zagranicznych naszego mocarstwa, widać bowiem gołym okiem, że analizowanie jest bardzo mocną stroną tego urzędu. Wraże mniemania, jakoby jego szef był uosobieniem klinicznej bezradności, z żelazną konsekwencją kierującym naszą dyplomacją wedle rymowanki „pamiętaj zawczasu, by wlewać wodę do kwasu", należy uznać za brednie. Dość rzec, że jest to jegomość skuteczny, który wziął na swe barki postawienie kraju naszego w srogim konflikcie równocześnie z Izraelem i Iranem, co jest absolutnym mistrzostwem, jeśli idzie o aktywność międzynarodową. Brawo, choć zdajemy sobie sprawę, że to zaledwie początek i próbka naszych możliwości.

W świetle tych faktów projekt sprężystego pochodu naszych wojsk na Teheran i Tel Awiw zaczyna nabierać jakiego takiego kształtu. Trasa ta jest zresztą plus minus przetarta przez nasze bociany oddalające się rok w rok w tamte rejony na zimową żabią wyżerkę. Po drodze – to nieuniknione – nauczymy moresu niesforne kraje tzw. Trójmorza czy, jak kto woli, Międzymorza. Owe państwa co rusz przyprawiają o ból głowy tutejszych strategów, kumając się po cichu z naszymi odwiecznymi przeciwnikami – to znaczy ze wszystkimi. Plany te przestają być zaledwie chorą wizją po spożyciu smażonej cebuli tuż przed snem. Nareszcie słychać chrzęst naszego oręża na Bliskim Wschodzie.

Wołając „Naprzód!" musimy się jednak zająć sprawami bieżącymi, nie mniej ambitnymi, one bowiem takoż wymagają co najmniej wojskowej skoczności, choćbyśmy próbowali się tłumaczyć nadwagą, przetłuszczeniem wątroby bądź tzw. niedowidzeniem starczym. Koniecznie trzeba tu rzec kilka słów o technologiach, które dzierżymy w ręku. Nikt nie może spać spokojnie, ani Żyd, ani Saracen, ani nawet Chińczyk, gdyż nasze możliwości pozwalają wysuszyć wszystko, najpewniej też ryżowisko dowolnych wymiarów. Dowodem są doświadczenia robione na koniach w państwowych stadninach. Oficjalnie ogłoszony sukces tych placówek, przez niektórych uważany za klęskę, jest właśnie zasługą suszenia. Tylko amatorom bądź niewtajemniczonym głupkom może się wydać, że fatalna sytuacja w tych placówkach jest wynikiem katastrofy naturalnej. Jest to w istocie oczywisty sukces, i nie ma innego wytłumaczenia dla oficjalnego komunikatu Ministerstwa Rolnictwa. Możemy się domyślać, że niepojenie koni było planowanym eksperymentem o znaczeniu militarnym i politycznym.

Suszenie to pikuś wobec technologii moczenia. Już niebawem nasze kajaki i kilka rodzin szprotek przepłyną na luzie przez otwór w Mierzei Wiślanej, który wydłubiemy wydatkiem ogromnych sum. Koszty owego Suezu na naszą miarę – zważywszy na poziom nauczania matematyki w Polsce – nie mają żadnego znaczenia. W kraju upowszechnionego tzw. humanizmu ważna jest duma, a nie forsa, ważne są wrażenia, a nie rzeczywistość. Moczenie jest ważne i gnębienie nim wroga.

Czymże jest jednak przekopywanie, moczenie bądź suszenie czy też lanie wody do kwasu w dyplomacji wobec obietnic wyborczych? Te ostatnio ogłoszone zrobiły większe niźli wszystko wrażenie, zwłaszcza że obietnice dane poprzednio spełniono z naddatkiem. Doprawdy jest się z czego cieszyć, że oto Srebrny Lis zwany czasem Gospodarzem nie poszedł po bandzie, w odróżnieniu od Prezesa Rady Ministrów, którego poczucie humoru zwala z nóg nawet człowieka niepijącego. Otóż w przemówieniu Srebrnego Lisa najważniejsze było to, czego nie obiecał, czyli wydatków choćby na zdrowie i edukację. Zapowiedź wzmożonego nauczania matematyki kłóciłaby się z jego programem wyborczym w sposób fundamentalny i wywołałaby powszechne rozczarowanie, by nie rzec oburzenie. A tak się wszyscy cieszą, że znowuż ktoś policzył za nas. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

Z okazji
60. URODZIN WYDAWNICTWA ZNAK

Wydawnictwo Znak oraz Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN zapraszają na wyjątkowe spotkanie

HISTORIA JUTRA

spór o pamięć, fakty i fikcję w czasach internetu

udział wezmą

NORMAN DAVIES
NATALIA HATALSKA
AGNIESZKA HOLLAND
TIMOTHY SNYDER

W JAKI SPOSÓB HISTORIA MOŻE OBRONIĆ NAS PRZED NACJONALIZMEM I POPULIZMEM?
JAKĄ PRZYSZŁOŚĆ ZOSTAWIMY NASTĘPNYM POKOLENIOM?
CZY GOOGLE I FACEBOOK ZAGRAŻAJĄ NASZEJ WOLNOŚCI?

Spotkanie poprowadzą Dominika Kozłowska oraz Jacek Stawiski.

ŚRODA, 6.03.2019
GODZ. 18.00

Muzeum POLIN
ul. Anielewicza 6, Warszawa

Bezpłatne wejściówki na spotkanie w audytorium będą dostępne w kasach Muzeum oraz internetowym systemie sprzedaży www.bilety.polin.pl od piątku 1 marca, od godziny 12.00. Spotkanie będzie można śledzić przez internet na www.facebook.com/WydawnictwoZnak

Podczas spotkania będzie możliwość zakupu m.in. najnowszej książki Timothy'ego Snydera *Droga do niewolności* (premiera 27 lutego 2019).

60 znak

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

REKLAMA

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

www.teatrzeromskiego.pl

140 lat Teatru w Kielcach

Jonas Hassen Khemiri

≈[prawie równo]

Zabawna i jednocześnie nieco brutalna opowieść o tym, jak współczesna forma kapitalizmu zawłaszcza nasze życie.

tłumaczenie: Halina Thylwe

reżyseria: Una Thorleifsdottir

scenografia, kostiumy, światła: **Mirek Kaczmarek**

muzyka: **Gisli Galdur Thorgeirsson**

ruch sceniczny: **Szymon Dobosik**

asystentki reżyserki:
Sigurlaug Sara Gunnarsdottir, Dagna Dywicka

asystentka językowa: **Magdalena Dąbrowska**

PRAPREMIERA POLSKA
16.03.2019 r.

występują:
Anna Antoniewicz, Dagna Dywicka, Ewelina Gronowska, Joanna Kasperek, Beata Pszeniczna, Beata Wojciechowska, Bartłomiej Cabaj/Tomasz Włosok, Jacek Mąka, Wojciech Niemczyk, Andrzej Plata, Łukasz Pruchniewicz, Dawid Żłobiński.

Prawa autorskie do sztuki „≈ [prawie równo]" Jonasa Hassena Khemiriego reprezentuje ADiT Elżbiety Manthey w porozumieniu z Colombine Teaterförlag.